BIBLIOTEKA

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY ▒ PISMO PZPR | PL ISSN 0208-6840

51-52 (271-272)
KONTAKTY
1985-12-22
1985-12-29

cena 25 zł

CZESŁAWA KONOPKA z Kadzidła specjalnie dla naszych Czytelników przygotowała piękne wycinanki.

Na tę jedną noc

Kiedy noce takie u nas,
jakby złodziej dnia się zakradł
— leci gwiazda.
Karp, śledź wtedy kreskę mają.
Tłok się robi w postnym niebie
— śnieg na ziemię.
Wszyscy w domu. Dom każdemu.
Uszy w barszczu, kluski w miodzie
— dobroć w modzie.

Dzieciom drobiazg pod choinkę,
w Mikołaja jeszcze wierzą
— niech się cieszą.
A my, nasze ludzkie prawdy
wciskamy, by lżej nam było
— w świńskie ryło.
Nie puść, śniegu, do nas śmierci,
tej kostnicy, bladzichy.
Przykryj wszystkie zło wieści,
Niech się człowiek uciszy.

Przysyp grubo ludzkie złości,
nasze jędze, pokraki.
Sercu, kroplę daj czułości,
niech za piołun wypłaci.
Niech co złe idzie do nieba
na szybkie naprawianie.
A co dobre, co nam trzeba,
z nami niech pozostanie.
Na tę jedną noc.

Ja się kiedyś narodzę na nowo,
w ciszy takiej, że śnieg zaśnie.
Spokój będzie w głowie i nad głową,
i wszystko co ciemne, będzie jasne.
Od błysku łza bolesna nie błyśnie
i serce nie umrze w pół marzenia.
Zło się własną złością zachłyśnie
i ojczyzną ludzi będzie Ziemia.
Na tę jedną noc.

HENRYK GAŁA

KONKURSOWA FUTRYNA Z WIERSZYKIEM | PODREDAKCYJNA | W TYM | Z POBIEGŁA STRASZLIWEJ HAŃBIE! Słuchałem tej przemowy z pamiętnika

W NASTĘPNYM NUMERZE, KTÓRY UKAŻE SIĘ 2 STYCZNIA: czemu ci młodzi tacy niecierpliwi ◆ szopka nadnarwiańska ◆ rajgrodzkie bajorko obojętności ◆ kaczki kaszę zjadły, a magazyniera posadzili, bo nie taki znowu z niego niewinny bocian ◆ ligawkowy Mikołaj w Ciechanowcu ◆ nowa twarz w łomżyńskiej plastyce ◆ „The Power Station"

Z UDZIAŁEM POSŁÓW Ziemi Łomżyńskiej, przewodniczących rad pracowniczych, przedstawicieli organizacji społecznych i administracji największych przedsiębiorstw regionu, Plenum KW PZPR zajęło stanowisko wobec założeń Wojewódzkiego Planu Społeczno-Gospodarczego na lata 1986—1990. Po uprzednim zapoznaniu się z wynikami ogólnowojewódzkiej dyskusji i zebrań przedwyborczych, łomżyńska organizacja partyjna opowiedziała się za przyznaniem największych funduszy rolnictwu, następnie gospodarce komunalnej i mieszkaniowej, oświacie i służbie zdrowia. Za zadania priorytetowe w najbliższej pięciolatce Plenum uznało regulację stosunków wodnych na wsi, rozwój rolniczej bazy przetwórczej, poprawę stanu infrastruktury komunalnej, wzrost budownictwa mieszkaniowego oraz rozwój oświaty i placówek służby zdrowia. Stanowisko Plenum przedstawione zostało Wojewódzkiej Radzie Narodowej (sesja WRN w tej sprawie odbywa się dziś, tj. 19 grudnia br.).

IDĄ ŚWIĘTA.

◆ Krystyna Domańska z WPHW: — Szczególnie ułatwiamy zakupy panom, proponując im gotowe zestawy upominkowe kosmetyków, rajstop, bielizny ocieplanej z chińskiej bawełny. Do 23 grudnia w godzinach od 10.00 do 18.00 a w niedzielę handlową do 16.00 — w hali targowej przy pl. Żeglickiego trwa kiermasz wszystkich artykułów na i pod choinkę. Oferujemy dużo zabawek dziecięcych z importu: najnowsze modele samochodzików, samolotów, przeróżnych gier i układanek, a także po przystępnej cenie, do dwóch tysięcy złotych, serwisy do kawy i obiadowe.

◆ Ireneusz Chrostowski z WSS „Społem": — Mięsa i wędlin będzie tyle, co na kartki. Nie zabraknie karpia, choć po cenie około 330 złotych za kilogram. Wojujemy jeszcze o większe dostawy śledzi. Mniej będzie bułek, więcej chleba i to niezbyt świeżego. Nie zabraknie też ciasta.

◆ Teresa Bączkowska z WUP-u: — Przybywa już nam przesyłek, listów, telegramów i kart świątecznych. Szczyt co roku następuje w dzień wigilijny. Dochodzą wówczas życzenia dla Ewy i Adama. Wzmocniliśmy już obsługę ekspedycyjno-rozdzielczą i doręczycielską.

◆ Władysław Depa, nadleśniczy łomżyński: — Dostarczamy 2000 choinek, z czego znaczną część będziemy sprzedawać sami, w Podgórzu, Giełczynie i Stawiskach. Ceny: do 1 m — 80 złotych, do 1,5 — 100, do 2,6 — 150, do 3,5 — 200, do 5 — 250, powyżej 5 m — 500 złotych.

SPROSTOWANIA. Dziennikarski diablik psoci do ostatniego dnia roku! W publikacji „Czas śmieci" przekręcił imię i nazwisko wojewódzkiego inspektora sanitarnego i ze Stanisława Podolaka uczynił Zbigniewa Polaka. W informacji w „Zdarzeniach" konkurs, w którym red. Stanisław Zieliński otrzymał nagrodę za wiersze dla dzieci, przeniósł z Płocka do Kłodzka. Poza tym ukradł literkę „r" z nazwiska literata Lesława Bartelskiego.

Ucieszą się też zapewne uczestnicy balu sylwestrowego w „Polonezie" dowiadując się, że wstęp kosztuje 10 000 zł od pary, a nie od osoby, jak nas wcześniej informował niezbyt kompetentny pracownik.

Zainteresowanych i Czytelników serdecznie przepraszamy.

DO NIEKTÓRYCH KIOSKÓW „Ruchu" dotarł już specjalny dodatek „Kuriera Podlaskiego" — „Kalejdoskop krzyżówek", zawierający diagramy o różnej skali trudności, rysunki satyryczne, humor, ciekawe ilustracje graficzne. Kto się weń zaopatrzy (kosztuje tylko 35 złotych), ma zapewnioną dobrą rozrywkę przez długie wieczory.

„23 CUDA FIZYKI" tylko za 50 złotych! Ukazał się już w kioskach „Ruch" — w formie książeczki — specjalny numer miesięcznika dla dzieci „Szkiełko i Oko", prezentujący proste, możliwe do wykonania w domu, ćwiczenia i doświadczenia fizyczne, opatrzone czterokolorowymi rysunkami. Na uwagę zasługuje komunikatywny, wprowadzający w arkana nauki, komentarz, sporządzony przez doświadczonych publicystów-naukowców z Filii Uniwersytetu Warszawskiego. Ze wszech miar polecamy to pismo: uczniom młodszych klas — ku poznaniu, starszym — ku przypomnieniu.

300 KILOGRAMOWA JAŁÓWKA już od miesiąca bezskutecznie szuka swego właściciela! Póki co korzysta z gościnnej zagrody Teodora Kozłowskiego z Giełczyna.

19 DZIENNIKARZY z całej Polski (Szczecin, Gdańsk, Piła, Konin, Ostrów Wielkopolski, Kraków, Dębica, Lublin, Warszawa, Wrocław) zgłosiło swój udział w ogłoszonym przez „Kontakty" konkursie na etat reportera. Do ścisłego finału redakcyjne jury zakwalifikowało 3.

NASZ WSCHODNI sąsiad, Białystok — choć znacznie młodszy od Łomży — liczy już ćwierć miliona mieszkańców. Gratulujemy i życzymy, by wielkość w zgodzie i zdrowiu mu przeszła.

10 GRUDNIA 1985 roku wojewoda łomżyński odwołał Witolda Jórczykowskiego ze stanowiska naczelnika gminy Szepietowo z powodu ciężkiego naruszenia podstawowych obowiązków pracowniczych, tj. niestawienia się do pracy po zakończonym urlopie wypoczynkowym i podania fałszywych danych w kwestionariuszu o wydanie paszportu. WKKP PZPR równoznacznie wydaliła go z szeregów PZPR.

UWAGA, LAUREACI konkursu „Powtórka z ordynacji wyborczej". Nagrody rzeczowe (wartości 1500 zł) oraz upominki książkowe wysłaliśmy pocztą. W przypadku nieotrzymania przesyłki prosimy o kontakt.

WSPOMNIENIA PRAWIE ŚWIĄTECZNE

inteligent z odciskami

Nie wiem, czy któremuś z nauczycieli prowadzących lekcje wychowania obywatelskiego wpadł do głowy pomysł, aby na jednej z nich wykorzystać wstrząsający w swej wymowie pamiętnik „Cienia", zatytułowany „Żyłem w dwóch światach", a pomieszczony w wydanym przez LSW tomie „Moja droga do wiedzy". Łomżyńskie, jak wiadomo, nigdy nie było zbytnio rozpisane czy skłonne do autobiograficznej refleksji. Wszystkie wielkie konkursy pamiętnikarskie obywały się prawie bez udziału mieszkańców nadnarwiańskiego obszaru. A tu masz, prawdziwa perła w gąszczu wiejskiego życia. Miąższ faktów i realiów, będących udziałem chłopca z podzambrowskiej wsi.

„Czułem trochę w sercu urazę do ojca, że najstarszego syna uczył, najmłodszemu przeznacza gospodarstwo, a nam dwom, średnim, każe z torbą i kijem szukać szczęścia po świecie. Ojciec pędził do roboty, naukę uważał za odpoczynek po pracy fizycznej. Zniecierpliwiony naszym ciągłym ślęczeniem i dulczeniem nad książkami niejednokrotnie powtarzał: «Psy na to gospodarstwo srać będą przychodzić»."

Autor jednak nie rezygnuje, wygrzebuje na strychu stare książki — od żywotów świętych, przez „Gazetę Świąteczną", aż po wypożyczone z biblioteki parafialnej „Wypisy z literatury staropolskiej" — i chłonie wiedzę, przygotowuje się do nauki w gimnazjum zambrowskim, do którego zostaje przyjęty w 1948 roku już jako 21-letni mężczyzna. A później: *„Kilka godzin w mieście (w szkole), a resztę dnia i noc na wsi. W owych czasach takie podwójne życie kończyło się niekiedy tragicznie. Na wsi rządzili «leśni». Tak jak w mieście spotykałem funkcjonariuszy MO i żołnierzy KBW, tak znów we wsi umundurowanych członków podziemia".* Część gospodarzy jest niechętna jego i innych kształceniu. Nawet krewni w oczy mówili mu, że zdobywa *„komunistyczne wykształcenie, które w przyszłości do niczego mu się nie przyda, ponieważ przyjdą uczeni z Anglii, Londynu, i nas na bruk wyrzucą jako młodzież otumanioną komunistyczną propagandą. «Głupiś! Skoda casu. Nic lub gówno z tego będzie. To nie jest nauka. Pocekaj, aż się zmieni»."*

Wieloletnia odyseja szkolna i samokształceniowa pamiętnikarza zakończyła się dyplomem wyższej uczelni w Poznaniu i belfrowaniem w jednej ze szkół na wschodzie kraju. Takich jak on, z odciskami, była wśród inteligencji naszego pokolenia większość. Dlatego nazywaliśmy ją, i nazywamy, ludową.

Ale przecież nie tylko dlatego przypominam ten pamiętnik. W życiu każdego z nas, zbiorowości, wsi, miast i miasteczek, istnieją różne możliwości i szanse, które musimy wykorzystywać, jeśli nie chcemy wstydzić się z powodu zmarnowanych lat. A jeśli same możliwości nie przychodzą, człowiek, zbiorowość, musi sobie je stwarzać przez wyznaczanie coraz to ambitniejszych celów. Nikt o to nie zapytał, ale chyba warto zastanowić się, ile szans przespały miasta i wsie łomżyńskie, ile czasu zabrało im leczenie uprzedzeń do władzy ludowej. Jaką wreszcie cenę zapłaciło wiele z nich za to kołtuńskie: „Poczekajmy, aż się zmieni"! To właśnie zawołanie było, i nadal jeszcze jest, kulą u nogi dla wielu inicjatyw społecznych, bruździło i bruździ ludziom, którzy chcą popychać życie naprzód, zmieniać korzystnie otoczenie. Nikt tych hamulcowych jakoś nie oskarża publicznie, nie piętnuje, a przecież ich postawa najbardziej szkodzi łomżyńskiej zbiorowości, sprzyjając obcemu naszym zespołowym interesom przekonaniu o powszechnej niemożności.

Na szczęście ową niemożność przerywa co rusz czyjeś śmiałe myślenie i odważne działanie, nie dopuszczając do całkowitego zastoju. W te świąteczne dni znajdźmy czas na chwilę refleksji nad naszą rodzinną historią Polski, nad jej pięknymi i ciemnymi kartami i pokłońmy się tym z nas, którzy robili i robią więcej niż nakazuje obowiązek.

STANISŁAW ZAGÓRSKI

zdarzenia

REDAGOWAŁ STANISŁAW ZIELIŃSKI

„NIEPOKORNI — NIEPRZEKUPNI"

Takie hasło proponują organizatorzy — „Kontakty", Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza oraz Wydział Kultury i Sztuki w Łomży — drugiej edycji ogólnopolskiego Turnieju Reporterów o Nagrodę i Medal Melchiora Wańkowicza.

Godność czy wygodnictwo, oportunizm, koniunkturalizm; święty spokój czy podjęcie rękawicy w nieobliczalnym starciu z głupotą; „być" czy „mieć" — to zaledwie wstępne pytania zmuszające do wnikliwej penetracji tych obszarów psychiki i działalności człowieka, które wyznaczają kształt i jakość, a więc i sens życia. Dlaczego określają go tak graniczne wybory? Kogo stać na wykroczenie poza własny interes? Jakie towarzyszą temu motywy i okoliczności? Odpowiedź na te pytania przynosi życie, a za nim — reportaż.

Medal Melchiora Wańkowicza zaprojektowany przez artystę rzeźbiarza — Piotra Gorola. Fot. Mieczysław Pietkiewicz

Prace w trzech egzemplarzach (do 12 str. maszynopisu znormalizowanego), wcześniej nie publikowane, opatrzone godłem i zamkniętą kopertą z danymi o autorze, należy nadsyłać do 30 kwietnia 1986 r. pod adresem redakcji „Kontaktów": ul. Świerczewskiego 7a, 18-400 Łomża. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwodruku nadesłanych reportaży, a za tematy wzięte z Łomżyńskiego (udokumentowane i zakwalifikowane do druku) przyznają wadium (po otwarciu kopert) wysokości 10 000 złotych.

Jury w składzie: Stefan Kozicki (przewodniczący), Jan Bijak, Krystyna Goldbergowa, Leon Jańczak, Andrzej Mularczyk, Stanisław Zagórski i Stefania Henczelowa (sekretarz) — ogłosi wyniki w czerwcu 1986 r. i przyzna:

★ Medal Melchiora Wańkowicza i nagrodę wartości 100 000 zł,

★ trzy wyróżnienia po 40 000 każde.

Ogólna suma wyróżnień może zostać podzielona inaczej.

JAK MINĄŁ ROK?

● WŁODZIMIERZ MICHALUK, sekretarz KW PZPR w Łomży: — ...k 1985 władze wojewódzkie po...więciły działaniom stabilizującym ...cie społeczno-polityczne i umacz...aniu idei porozumienia narodo...ego. W mijającym roku głównym ...centem kończących się obchodów ...lecia Polski Ludowej była 40 ...cznica zwycięstwa nad faszyz...em. Temu między innymi podpo...dkowane zostały nasze starania ...uhonorowanie spacyfikowanej ...dczas okupacji wsi Krasowo ...ęstki Krzyżem Kawalerskim Or...ru Odrodzenia Polski, o uzyska...e zgody Krajowej Rady Ochrony ...mników Walki i Męczeństwa na ...cjatywę rozpoczęcia budowy w ...olicy województwa parku-pomni..., upamiętniającego udział społe...eństwa Ziemi Łomżyńskiej w wal...e z okupantem, w zwycięstwie nad ...szyzmem i walce o utrwalenie ...adzy ludowej.

W roku 1985 przypadło także 10-...ecie województwa, co skromnie ...notowaliśmy na sesji WRN-u, a ...rganizowane z tej okazji imprezy ...ały się sposobnością do łączenia ...storii z teraźniejszością i zmusza...do refleksji nad przyszłością wo...ewództwa. Oczywiście najważniej...ym wydarzeniem roku stała się ...ardzo demokratyczna, po nowemu ...zeprowadzona kampania wybor...za do Sejmu PRL, zakończona ...yższą niż podczas wyborów do ...d narodowych frekwencją wybor...ów oraz powierzeniem mandatu ...sła ludziom powszechnie akcep...owanym przez społeczeństwo woje...ództwa. Jako sukces chciałbym ...notować także pojawienie się na ...apie społeczno-politycznej wo...ewództwa nowego partnera władz ...Wojewódzkiego Porozumienia ...związków Zawodowych. Rok 1985 ...ył rokiem dalszego rozwoju i u...acniania się, po głębokim kryzy...e, naszej partii, czego najbardziej ...ymownym dowodem jest dopływ ...owych kandydatów. Tylko w cią...u 11 miesięcy przyjęliśmy ich 304, ...odczas gdy w 1984 r. zaledwie 181. ...zięki temu, po raz pierwszy od ...erpniowego kryzysu, zrównoważy...iśmy przyjęcia do szeregów partyj...ych ze skreśleniami i wydaleniami. ...ok 1985 to także dalsze doskonale...ie pracy wewnątrzpartyjnej, do ...zego w pewnym stopniu przyczy...iła się drobna korekta struktury ...rganizacyjnej wojewódzkiego apa...atu partyjnego. Wdrożyliśmy nową ...oncepcję planowania pracy, gwa...antującą drożność podejmowanych ...rzez partię problemów na wszy...kich szczeblach od góry do dołu, ...jednocześnie nie ograniczającą i...icjatywy własnych POP i instan...ji terenowych. Tej koncepcji pod...rządkowany został system kon...roli działań wewnątrzpartyjnych.

Obok wspomnianych i innych ...iałań staraliśmy się również w ...ym roku utrzymywać bardzo blis...ie kontakty ze społeczeństwem, ...ozwiązując przy okazji wiele prob...emów ludzkich w wymiarze społe...nym i indywidualnym.

Reasumując, jako działacz partyj...y mogę powiedzieć, że rok 1985 ...ył dla mnie udany. Z optymiz...em i pewną satysfakcją wkracza...y w nowy — 1986 rok, rok X ...jazdu naszej partii i nowego jej ...rogramu.

Korzystając z okazji, mieszkań...om naszego województwa życzę ...erdecznie pomyślnego Nowego Ro...u.

● JERZY ZIENTARA, wojewoda ...mżyński: — Był to rok pomyślny ...przełamywaniu skutków kryzy...u społeczno-gospodarczego i reali...acji podstawowych zadań woje...ódzkiego planu rocznego. Zamyka ...ż on plan 3-letni pełnym wykona...iem bądź przekroczeniem zdecydo...anej większości zadań i celów.

Osiągnięcia: umocnienie wzrosto...ych tendencji w hodowli, co znaj...uje odzwierciedlenie w zwiększo...ym o 28 proc. skupie żywca, a ...ożliwe było to dzięki rozszerze...iu produkcji pasz własnych: zme...orowanie 44 000 ha użytków rol...ych i dalsza poprawa stanu tech...icznego wyposażenia rolnictwa ...mamy już ponad 20 tysięcy ciągni...ów, co oznacza, że 1 ciągnik przy...ada na 20 ha; tyle też wynosi ...rednia krajowa); poprawa lokaty ...ojewództwa w globalnej produk...ji towarowej rolnictwa, uzyskiwa...ej z 1 ha przeliczeniowego (awanso...waliśmy na 21 miejsce); wzrost in...westycji w oświacie (oddano do ...ksploatacji 4 szkoły, a w budo...ie 19, w tym kolejna duża szko...a w Łomży oraz 11 przedszkoli o ...200 miejscach). Coraz większy wkład Narodowego Czynu Pomocy Szkole w budownictwo oświatowe; radykalne zmniejszenie ilości nauczycieli bez kwalifikacji; nadal trwa dobry czas dla budownictwa ochrony zdrowia m.in. jeszcze w tym roku oddany zostanie do eksploatacji zespół przychodni specjalistycznych w Łomży o 80 gabinetach, a w osiedlu Południe lekarska przychodnia rejonowa o 19 gabinetach. Dobiega końca budowa przychodni w Zambrowie i ośrodka zdrowia w Czyżewie. Po raz pierwszy wykorzystane zostały w pełni wszystkie środki uzyskane na budowę wojewódzkiego szpitala zespolonego, co daje szansę oddania go do eksploatacji w 1988 roku. Finalizowane są prace przygotowawcze do utworzenia w roku przyszłym Przedsiębiorstwa Budownictwa Ogólnego w Ciechanowcu.

Mówiąc o dorobku mijającego roku mamy świadomość wielu niedostatków i nieprawidłowości, a także niejednakowego wkładu wszystkich zakładów i pracujących. Mamy też świadomość trudnych warunków życia wielu mieszkańców kraju i województwa, także niespełnionych oczekiwań. Liczymy, że wspólnym wysiłkiem, zwłaszcza poprzez doskonalenie gospodarowania, skala tych problemów w dalszym rozwoju województwa będzie zmniejszona. Realizacja zadań 1985 roku na wielu odcinkach przebiegała w trudnych warunkach. Tym bardziej więc należą się słowa uznania ludziom uczciwie i solidnie pracującym.

Wszystkim mieszkańcom regionu życzę, aby praca w Nowym Roku była dla nich źródłem głębokiej satysfakcji osobistej, a każde zamierzenie tworzyło lepsze warunki życia i pomnażało piękno Ziemi Łomżyńskiej.

● CZESŁAW GARTYCH, prezes Wojewódzkiego Komitetu ZSL w Łomży: — Rok upłynął pod znakiem aktywności zarówno kół, jak i gminnych komitetów. Przyniósł nam wzrost dyscypliny partyjnej, większe zaangażowanie naszych członków w sprawy własnego środowiska (budowy sklepów, szkół, dróg). Kampania sprawozdawczo-wyborcza była bardzo ożywiona i konstruktywna. Nasi członkowie zaangażowali się także w kampanię wyborczą do Sejmu PRL. Ważnym wydarzeniem dla Stronnictwa stała się przypadająca na ten rok 90 rocznica powstania zorganizowanego ruchu ludowego w Polsce. Z tej okazji odbyło się wiele uroczystości m.in. 6 gminnych komitetów ZSL otrzymało sztandary. W Muzeum Rolnictwa w Ciechanowcu została otwarta stała ekspozycja rzeźb portretowych miejscowych działaczy ludowych, Zespół Szkół Rolniczych w Niećkowie otrzymał imię Bolesława Podedwornego oraz tablicę pamiątkową. Tablicę ku czci Stanisława Tońskiego odsłoniliśmy w Nowogrodzie. W minionym roku ważnym wydarzeniem była dla nas budowa mostu na Narwi w Bronowie, którą objęliśmy patronatem. Ze spraw rodzinnych: udało mi się po raz pierwszy wyjechać za granicę z całą rodziną. W nowym roku oczekuję dalszego pogłębienia współdziałania z PZPR i SD, aktywnego uczestnictwa naszych członków w realizacji zadań społeczno-gospodarczych, a także pogody ducha towarzyszącej wszystkim naszym zamierzeniom.

● WIESŁAW DĘBIŃSKI, prezydent miasta: — Był to rok bardzo korzystny dla miasta, ponieważ udało nam się zrealizować wiele zamierzeń z planu społeczno-gospodarczego uchwalonego przez Miejską Radę Narodową. Najważniejsze przedsięwzięcia: wodociąg na ulicy Poznańskiej, Dom Harcerza, kanał deszczowy i sanitarny na ulicy Senatorskiej i Placu Zielonym (przy pomocy mieszkańców i Komitetu Osiedlowego), wysypisko śmieci w Piątnicy, targowica miejska przy ul. Nowogrodzkiej, około 23 tys. m² terenów zielonych przy ul. Gwardii Ludowej i Zawadzkiej, wyremontowaliśmy 20 budynków komunalnych, poprawiliśmy stan ulic i chodników, rozpoczęliśmy budowę dwóch szkół podstawowych w osiedlu Południe, uzyskaliśmy dwa obiekty przy ul. Spółdzielczej i POM-ie, które zaadaptujemy na oddziały przedszkolne, rozpoczęliśmy budowę nowych punktów sygnalizacji świetlnej (skrzyżowanie ulic Świerczewskiego i Skłodowskiej oraz Armii Czerwonej i Wojska Polskiego), oświetlenie bloków przy ulicy Turlejskiego i ich podłączenie do centralnej kotłowni miejskiej, pawilon zieleni miejskiej i usług pogrzebowych przy ul. Nowogrodzkiej, oddaliśmy do użytku po raz pierwszy od 1975 r. nowy budynek komunalny — w osiedlu Południe, na 30 mieszkań, rozpoczęliśmy wiele inwestycji związanych z infrastrukturą podziemną. Nie udało nam się kontynuować rozbudowy ratusza miejskiego i modernizacji hali targowej (trudności w skompletowaniu dokumentacji), włączyć do ruchu odcinka ul. Gwardii Ludowej od ul. Zawadzkiej do Szosy Zambrowskiej (brak funduszu). Dla mnie osobiście rok 1985 nie był udany: prawie 4 miesiące byłem wyłączony z życia zawodowego z powodu choroby. Mam satysfakcję, że wiele postulatów, zgłoszonych przez mieszkańców podczas kampanii wyborczej do rad narodowych i samorządu, udało nam się zrealizować. W nowy rok wchodzimy, niestety, z długami prawie 50 mln złotych za wykonane prace. Po remoncie zostanie oddana do użytku Szkoła Podstawowa nr 6 oraz budynki mieszkalne przy ul. Wojska Polskiego. W Nowym Roku życzę sobie, aby mieszkańcy Łomży mieli więcej wyrozumiałości dla naszych przedsięwzięć i dbali o estetykę miasta. Myślę, że nie będę musiał znowu korzystać ze zwolnień lekarskich.

● FRANCISZEK ALIŃSKI, prezes Sądu Wojewódzkiego w Łomży: — Dla wymiaru sprawiedliwości był to rok bardzo pracowity. Staraliśmy się udoskonalić orzecznictwo, zwłaszcza w sprawach karnych, aby było adekwatne do społecznego zagrożenia przestępczością, co umożliwiły ustawy Sejmu z 10 maja 1985 r., oraz zmiany niektórych przepisów kodeksu karnego. W efekcie nastąpiło nie tylko zahamowanie, ale wyraźny spadek ilości przestępstw w województwie łomżyńskim. Przez cały rok dopisywało mi zdrowie. W 1986 oczekuję dalszej stabilizacji życia społeczno-politycznego i gospodarczego w kraju i województwie oraz zmniejszania się przestępczości.

● Płk ANDRZEJ MARCINKOWSKI, szef Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Łomży: — Miniony rok, bardzo dla nas pracowity, charakteryzuje zahamowanie wzrostu przestępstw pospolitych. Niestety, zdarzały się poważne. Sprawcy wszystkich zabójstw, dokonanych w okresie ostatnich dwóch lat, zostali wykryci. W pozostałych kategoriach przestępstw wskaźnik wykrywalności wynosi 81,1 proc. i jest wyższy od przeciętnej krajowej. Zmniejszenie zagrożenia przestępczością to efekt wysiłku organów ścigania, i nie tylko, ale także wyraz stabilizacji życia kraju i wzrostu dyscypliny społecznej. W minionym roku odnotowaliśmy dalszy postęp w zwalczaniu spekulacji. Od 1 lipca weszły w życie nowe ustawy o zaostrzeniu odpowiedzialności karnej, co miało wpływ na szybkie i skuteczne zwalczanie przestępczości kryminalnej, spekulacyjnej i chuligaństwa. Życzymy sobie, aby wysiłkiem nie tylko organów ścigania, ale także przy pomocy społeczeństwa stworzyć wspólny front walki z przestępczością. Liczymy na to tak, jak do tej pory, a głównie na samoobronę społeczną w ramach samorządów mieszkańców. W nowym roku życzę mieszkańcom województwa dobrych efektów w pracy, nauce, poczucia bezpieczeństwa osobistego i spokoju.

CIĄG DALSZY NA STR. 6

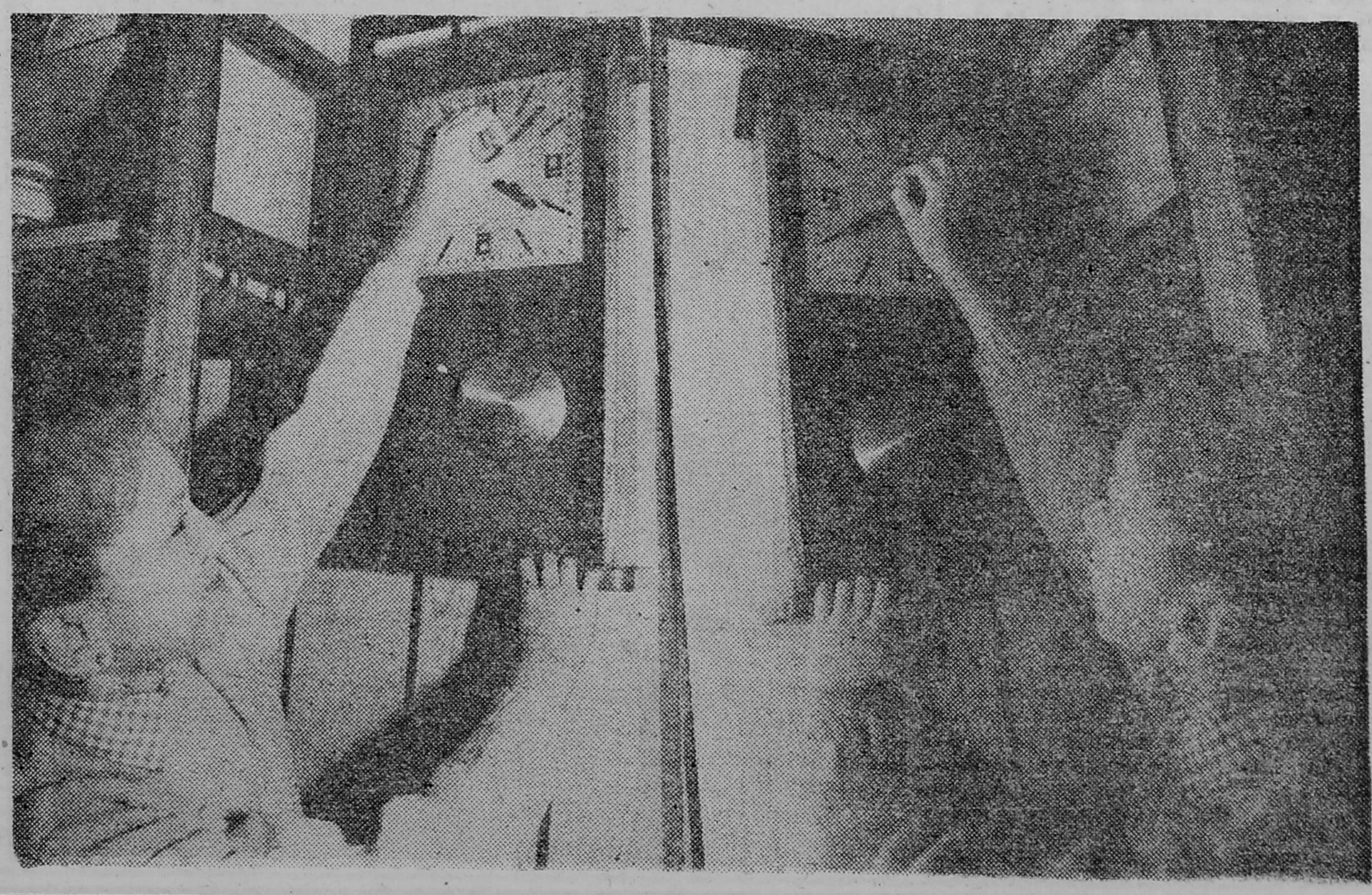

solidarność

WIEJSKI

Najpierw specjalna delegacja, w osobach byłego i obecnego naczelnika gminy oraz dwóch prezesów straży z sąsiednich wsi udała się do domu prezesa miejscowej straży, by namówić go do przybycia — stąd półgodzinne opóźnienie w uroczystości otwarcia Wiejskiego Domu Kultury w Downarach. Okazało się jednak, że Władysław Moniuszko jest obłożnie chory, co zebrani przyjęli z dziwnym uśmieszkiem.

W referacie okolicznościowym szef goniądzkiego Zarządu Miejsko-Gminnego OSP mówił uroczyście o 58-letniej tradycji strażaków z Downar, by równie podniośle zakończyć: „Wasz wkład pracy to 2366 tysięcy złotych, co stanowi 43,5 proc. kosztów budowy. Za piękną inicjatywę i uzyskany efekt serdecznie dziękuję!"

Przyszedł czas na odznaczenia; po dekoracji obecnych — przedstawiona już — komisja ruszyła z tacą dostojnie przez wieś, do prezesa. Obłożnie chory stał w kuchni, dopinając galowy mundur. Ponieważ wszyscy jednomyślnie orzekli, że odznaczać w kuchni nie uchodzi. Medal 40-lecia PRL przypięto do piersi w alkowie, po czym komisja wróciła do świetlicy, by dokończyć rozpoczętą uroczystość.

Rutkowski, prezes straży z Białosukni: „My też będziemy budować podobny budynek, ale tak nie damy się wykiwać!"

Nagle zrobiło się cicho i co niektórzy zaczęli klaskać. Na salę wszedł nie kto inny, jak obłożnie chory Władysław Moniuszko — z Medalem 40-lecia na piersi. Rozległo się „Sto lat". Potem były uściski ręki i wiwaty. Podziękował wszystkim za owację. Głos mu drżał, gdy mówił o włożonym wysiłku i poświęceniu całej społeczności Downar. Lecz nie takiego zakończenia się spodziewał.

Młody strażak poprosił mnie na bok: — Ja panu wszystko wyjaśnię. W zeszłym roku były wybory sołtysa i Władysław Moniuszko nie przeszedł. Wybrano innego rolnika, mimo że on sołtysował przez dwie kadencje, i stąd ten żal. I powiedz pan, czy pasuje poważnemu człowiekowi taką komedię grać: raz obłożnie chory, raz zdrowy. Ludzie to widzą i śmieją się. Wieś jest podzielona na strażaków i na tych, których żony lub znajomi będą pracować i korzystać z Wiejskiego Domu Kultury. Nam, młodym, wszystko jedno, jak ten dom będzie się nazywał: wiejski czy strażacki, byle był dobrze wykorzystany.

Zbigniew Marcinkowski, wiceprezes Zarządu Wojewódzkiego Ochotniczych Straży Pożarnych, też ma swoje obawy: — Administracji gminnej zabrakło dyplomatycznego podejścia. Można było zapytać: „Może chcielibyście świetlicę, kiosk, bibliotekę? Proszę bardzo, a z KGW dogadacie się sami". A nie w trybie nakazu, tu ma być to i kropka. Tego ludzie nie lubią, dlatego buntują się. I obym był złym prorokiem, ale takie postępowanie administracji może zahamować, tak ładnie rozwijającą się w naszym województwie, inicjatywę społeczną.

GABOR LÖRINCZY

CZY STRAŻACKI?

Po piosenkach i tańcach w wykonaniu dziecięcego zespołu Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury w Goniądzu zaproszono gości do — naprędce ustawionych — stołów. Do herbatki podano parujący bigos i zimne półmiski. Oranżada była do wyboru; wyborowa i cytrusowa. Po trzeciej „wodzie naprzód" głos zabrał prezes goniądzkiej Straży Pożarnej, ubolewając, że tak piękny budynek, wzniesiony przez miejscowych strażaków, nie może im służyć w całości. Dziwił się, jak to się dzieje, że na działalność kulturalną fundusze się znalazły, a dla straży gmina grosza nie ma. Wspomniał jeszcze o dobrej woli i żalu w sercach.

Nie powstrzymał się od riposty Adam Grabowski, dyrektor Miejsko-Gminnego Domu Kultury w Goniądzu: „Z tym domem jest tak, jak z mieszkaniem: rodzina je otrzymuje, ale ciepło i dobry klimat tworzą żona, mąż i dzieci. Wyście zbudowali, a my, wasze dzieci i żony, zadbamy o twórczą atmosferę". Odpowiedzi padały z wielu stron naraz, a najgłośniejszy był Alfons

zbliżenia

kontakty kontaktów

Przeczytałem artykuł redaktor Marii Kaczyńskiej „Premia" („Kontakty" nr 48/85) i pragnę go uzupełnić kilkoma przypadkami złego traktowania i wystawiania na pośmiewisko pracowników naszego zakładu.

Jestem tym pracownikiem, o którym wspomniano w rozdziale „Po łapach". Wypracowałem dokładnie 325 normogodzin, a nie 300. Dodam jeszcze, że do premii kwartalnej dodano mi tylko 2000 zł — obniżając mi premię miesięczną, obniżono także kwartalną. A te 6000 zł zostało podzielone między sześciu pracowników, którzy nie wykonali zadań produkcyjnych na 100 proc. Z tego powodu byłem obiektem kpin kolegów: „Pracuj, pracuj, a my i tak premię weźmiemy". I mieli rację.

Myślę, że kłopoty pracowników zaczynają się na niższym szczeblu, nie tylko u kierownika. Oczywiście są brygadziści, którzy bronią pracownika. Brygadzista, wypisując raporty na parę dni przed końcem miesiąca, często jednemu zaniża, a drugiemu zawyża wyniki. Niektórzy zapisali swoją pracę, ale interwencje u mistrza lub zastępcy kierownika nigdy nie dały rezultatu. Lepiej byłoby, gdyby raporty były wypisywane na bieżąco. Wówczas każdy pracownik widziałby swój raport i bardziej mobilizował się do pracy. A brygadzista tak dzieliłby pracę, aby każdy pracownik zarobił. A w tej chwili dwóch pracowników siedzi przy półkach od kilku lat, więc wiadomo, że nikt ich w tej robocie nie zagnie, ale co będzie, jeśli się zdarzy, że ich zabraknie.

Pamiętam, jak interweniowałem w sprawie swojej podwyżki u zastępcy kierownika, który obiecywał, że postara się załatwić moją sprawę pozytywnie. Na drugi dzień poszedł na zwolnienie lekarskie i kilka dni był nieobecny. W tym czasie przyniesiono mi angaż, którego nie podpisałem. Za moim przykładem poszli inni. Po powrocie kierownika dowiedziałem się, że „gdybym podpisał, to może dałoby się coś zrobić. Jeśli teraz nie podpiszę, to nie gwarantuje mi, czy nie stracę tego, co dostałem. A przy najbliższej podwyżce też nie będę uwzględniony, bo szkoda pieniędzy; lepiej niech dostaną tacy, którzy będą się cieszyć z każdej złotówki". Nie było innego wyjścia i każdy z nas podpisał.

Na piętnastolecie zakładu pracownicy pracujący 10—15 lat — w uznaniu zasług w służbie łączności — typowani zostali do nadania odznaki „Zasłużony Pracownik Łączności" (na podstawie uchwały 147 Rady Ministrów) i dodatkowo mieli otrzymać po 1000 zł od zakładu pracy. Na akademii parę typowanych osób było nieobecnych; i tu jest pytanie — na podstawie jakiej uchwały dostali figę.

Niedawno przyjęto pracownika, który powiedział nam, że musiał zapisać się do związków. Pracownikowi temu nie przedłużono umowy o pracę, bo nie zgłosił się na egzaminy, o których nikt go w dostateczny sposób nie poinformował. Zwrócił się o pomoc do ZZ i tam dowiedział się, że nie ma podstaw do jego obrony, bo jest na okresie próbnym. Interwencja mistrza nie pomogła. Związek powinien bronić każdego pracownika. Ale niezrzeszeni mają swoją ambicję i nie pójdą prosić o pomoc związku, do którego nie należą. A sprawa premii i podwyżek była tak głośna, że nie wierzę, by nie doszła do uszu pani przewodniczącej.

Zimą ubiegłego roku w zakładzie było bardzo zimno. Mistrz montażu powiedział pracownikom, żeby poszli do kierownika Misztala, może on coś poradzi. Kierownik, po lekceważącym wysłuchaniu skargi, zakomunikował, że „jak komu zimno, to niech weźmie urlop bezpłatny".

Na koniec chciałbym napisać kilka słów o sobie. W PZT pracuję od 1975 roku, w związku z czym udekorowany zostałem odznaką „Zasłużony Pracownik Łączności". Nie byłem karany żadnymi karami zakładowymi, nie mam spóźnień. Należę do ZSMP. Do kwietnia tego roku pracowałem na montażu zespołów, na własną prośbę zostałem przeniesiony na obróbkę mechaniczną. Chociaż nie brałem udziału w rozmowie z panią redaktor, część załogi podejrzewa mnie o to. Chcąc być w porządku wobec innych, zmobilizowałem się do napisania tego listu. Myślę, że nie będzie to jedyny, ponieważ problemy mamy duże, których nie sposób opisać.

JĘDRZEJ CZERWIŃSKI
pracownik ZZ PZT
w Zambrowie

Złoto w błoto (2)

KACZKI GRYKĘ ZJADŁY BOCIANA OBILI

Andrzej Zapędzki potwierdza słowa Krogulskiego tylko w części Rzeczywiście, podzielili się z Parzyńskim: on wydawał narzędzia, a Parzyński „DS-y" i kondensatory. Ale nie był to sztywny podział i nie raz zdarzało się, że wyręczali się w tych czynnościach.

Eugeniusz Parzyński — średniego wzrostu, szpakowaty, z lekko zarysowanym brzuszkiem — nie sprawia wrażenia wyrafinowanego przestępcy. Na jego zmęczonej twarzy często gości uśmiech, ni to ironiczny, ni bezradny, jak u kogoś święcie przekonanego o własnej niewinności. Mówi chętnie, choć bezładnie, ma kłopoty z rozumieniem pytań i z logiczną budową odpowiedzi. Jest spokojny; jeżeli nawet chwilami daje się ponieść emocjom, pouczony — natychmiast tonuje głos.

Raz tylko zupełnie przestaje panować nad sobą, kiedy ktoś podczas przerwy w rozprawie podsuwa mu gazetę: — Przeczytaj, to o tobie: *„Wielka przemiana w świadomości magazyniera P. nastąpiła jesienią 1980 r. Akurat zaczął się czas rozliczeń i paru prominentów, także z «Mery», dostało po łapach. Nie były to żadne wielkie afery, ale przecież jednemu dyrektorowi wypomniano działkę budowlaną, drugiemu — talony na kolejne samochody, innemu — niczym nie uzasadnioną nagrodę za efekty gospodarcze, których w istocie nie było. Wówczas to magazynier P. przejrzał na oczy i zrozumiał, że tuż obok niego «każdy orze, jak może», tylko on sam, «ciemna masa», klepie biedę.*

Jakoś tak równocześnie, może w związku z czasami, nastąpiło zniesienie merytorycznej kontroli nad stanowiskiem pracy Eugeniusza P. Po prostu przestano mu się wtrącać w sprawy magazynowe [...]. Na domiar złego Eugeniusz P. akurat w tym czasie rozwiódł się z żoną, spadł na niego obowiązek alimentacyjny [....]. I wówczas w głowie magazyniera P. zrodził się pomysł «zorganizowania» dodatkowego zarobku [...]. Tak magazynier P. stał się złodziejem złota".

— Niech ten redaktor przyjedzie do mnie i zobaczy, jak się dorobiłem na tym złodziejstwie — w zdenerwowaniu zaciska dłonie, aż mu bieleją kciuki. — Niech sobie obejrzy te dywany, kryształy, kolorowe telewizory. Żeby tak nakłamać... Musiałem kraść na alimenty dla dzieci? Z żoną nie żyję od 15 lat, a te moje maleństwa mają już po 28—30 lat i zdążyły być w Stanach. Gdyby nie one, nie miałbym na adwokata. Złapali jednego głupiego Parzyńskiego i teraz robią z niego wielkiego przestępcę. Dlaczego nie posłuchają tego, co ludzie mówią na mieście: „Kaczki grykę zjadły, bociana obili".

Eugeniusz Parzyński nie podaje jednak żadnych konkretnych nazwisk. Żeby kogoś obciążyć, trzeba mieć niezbite dowody. Woli więc na ten temat zamilczeć. Wystarczy, że udowodni swoją niewinność, a o niej świadczą **obiektywne fakty**. Pierwszy — i bodaj najważniejszy — nigdy nie był magazynierem, więc dlaczego obciąża się go odpowiedzialnością za coś, czego nie miał w zakresie obowiązków?

— W Zakładach „Mera-Błonie" w Zambrowie — wyjaśnia sądowi — zacząłem pracować w 1974 roku jako robotnik w magazynie elektrotechnicznym i narzędziowym. Ponieważ byłem sam, spełniałem też obowiązki wydawcy, a więc oprócz pomocy przy rozładunku samochodów i dostarczaniu towarów do magazynu wydawałem go pracownikom rozdzielni. W 1980 roku przyjęty został z galwanizerni Andrzej Zapędzki, początkowo na stanowisko wydawcy, a po trzech latach — brygadzisty, więc zastępcy kierownika magazynów. W tym samym roku dopisano mi w angażu słówko „wydawca", co w niczym nie zmieniło moich obowiązków ani zakresu materialnej odpowiedzialności. Odpowiadałem w 10 proc. tak jak Zapędzki i kilka osób z administracji, które (czego się potem dowiedziałem) miały etaty w magazynie, natomiast kierownik magazynów, Mirosław Krogulski, w 30 proc.

Parzyński uważa, że te cyfry świadczą same za siebie. Czy można w takiej styuacji mówić o wyłącznej odpowiedzialności? Mirosław Krogulski nie ma wątpliwości: oczywiście, można. Wprawdzie Parzyński z Zapędzkim pracowali w tym samym magazynie, ale „DS-ami" zajmował się wyłącznie Parzyński. Natomiast on, Krogulski nigdy samodzielnie nie przyjmował ani nie wydawał towaru. Sprawował nadzór nad wszystkimi magazynami, czuwał nad prawidłowością przyjmowania i wydawania, dbał o zabezpieczenie pomieszczeń, ale absolutnie nie czuł się materialnie odpowiedzialny za magazyn elektrotechniczny. Gdyby przy podpisywaniu umowy o pracę o czymś takim była mowa, nigdy nie zgodziłby się zostać kierownikiem.

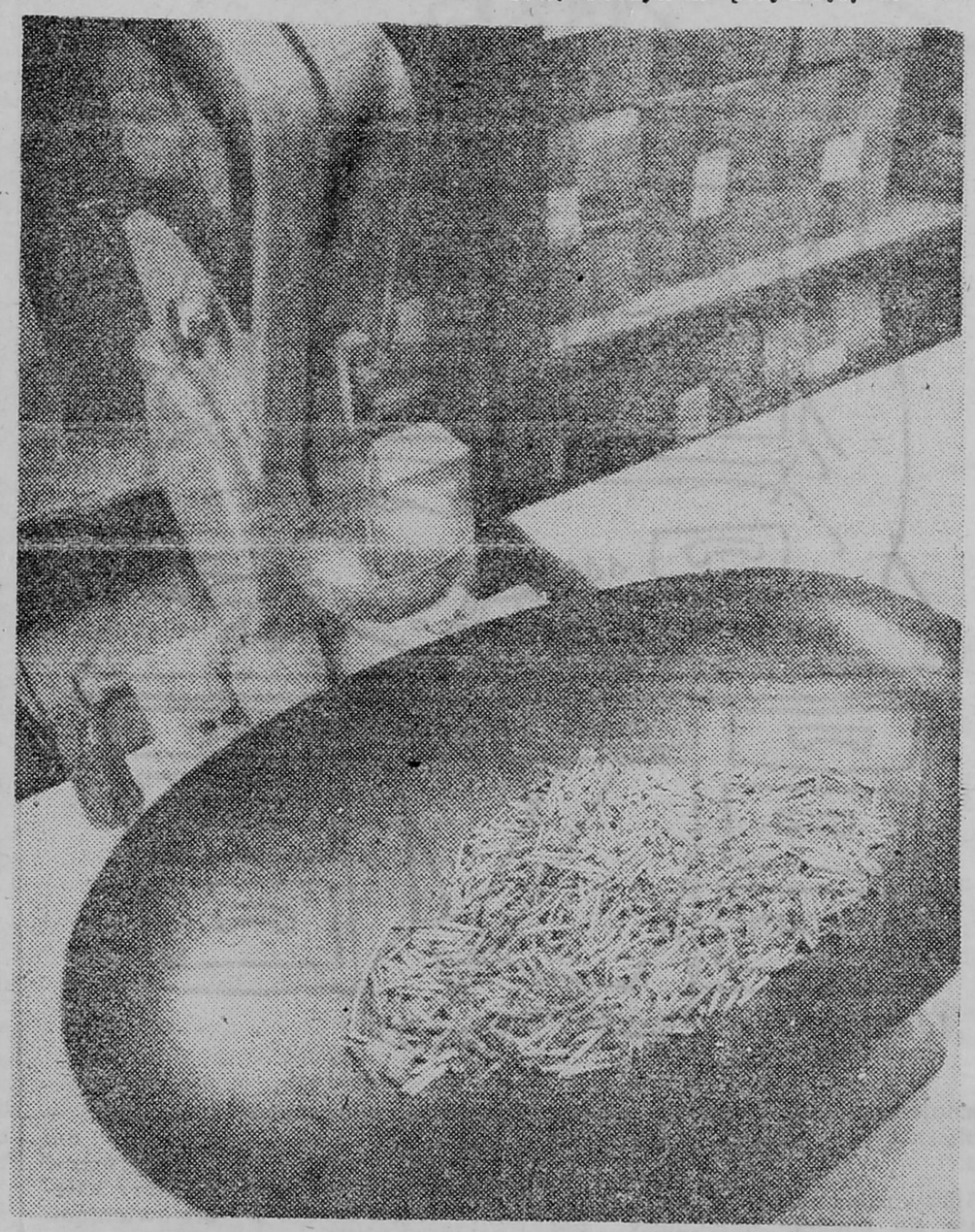

Natomiast na pewno można byłoby mieć zastrzeżenia co do **sposobu** przyjmowania i wydawania materiałów. Oczywiście, Parzyński nie obwinia o to siebie ani Zapędzkiego. Taką praktykę zastali w zakładzie i się do niej dostosowali. Tłumaczono im, że to w ramach odbiurokratyzowania czynności. Teraz widzi, że sam pod sobą kopał dołek. No, może nie dosłownie. Jaki np. wpływ mógłby mieć na godziny rozpoczynania pracy przez produkcję i magazyny? Tymczasem już samo ustalenie ich na 6.00 i 7.15 stwarzało sytuację umożliwiającą powstanie niedoborów. Wszyscy wiedzą o tym teraz, a wtedy wydawało się, że wystarczy wzajemne zaufanie.

Samochody z zaopatrzeniem wracają z terenu z reguły w późnych godzinach popołudniowych. Ponieważ magazyny pracują tylko do piętnastej, często muszą czekać na rozładunek aż do następnego dnia. Dostawy zazwyczaj są bardzo nieregularne, więc zdarza się, że w danym dniu brakuje do produkcji jakiegoś materiału. Jeszcze w 1984 r., zamiast czekać bezczynnie do 7.15, na polecenie kierownika produkcji lub rozdzielni, pobierano go prosto z samochodu, a Parzyński z Zapędzkim dostawali do ręki tylko faktury potwierdzające przywóz towaru. Bywało też, że nie dostawali nic, a faktura przychodziła pocztą dopiero po kilku a nawet kilkudziesięciu dniach. Odszukiwali wówczas tego, kto materiał pobrał, i przypilnowywali, aby dział planowania wystawił „Lm-kę", będącą podstawą do wydania z magazynu.

— W jednym przypadku — mówi Eugeniusz Parzyński — w ogóle nie wiedziałem o dostawie. Dotyczyło to 80 gniazd szufladkowych ze złoconymi końcówkami. Któregoś dnia zorientowałem się, że mam coś takiego na stanie, ale nie w magazynie; widocznie branżysta zaniósł dowód „Mm" (przekazania międzymagazynowego, wystawiony w Błoniu — D.A.W.) prosto do kartotekowej. Poszedłem do kierownika produkcji: „Czego pan będzie szukał — odpowiedział na moje pytanie. — Dawno już zostały wmontowane i poszły do Błonia". Początkowo wykazano mi to jako manko, ale potem księgowy hojną ręką wliczył 200 000 złotych w koszty produkcji. Były też przypadki, że podsuwano mi dowody bez towaru. Kiedy się to wydało, poprzedni kierownik magazynów zarządził, że „Mm" nie może być zaewidencjonowany, jeśli nie ma na nim parafki wydawcy, tzn. mojej lub Zapędzkiego.

Nie kończy się na tym lista odstępstw od obowiązujących przepisów. Parzyński przyznaje, że sam też wydawał towar z magazynu bez dowodu „Lm" — znajomym lub na polecenie kierownika produkcji Stanisława Orłowskiego, kiedy brakowało druczka albo nie było komu go wypełnić. Bo produkcja jest ważniejsza od papierka. Poza tym: jak tu odmówić przełożonemu? Ale nie przypomina sobie, by potem nie dopełniono wymaganych formalności.

— Poprawki na dokumentach? — Parzyński uśmiecha się ironicznie. — To nie było fałszerstwo; taka obowiązywała w Zakładach praktyka. „Lm-ki" wystawia planowanie, a od kilku lat jest to dział, w którym pracują ludzie nie mający pojęcia o swojej robocie: taka „przechowalnia" tych, którzy wracają ze Stanów. Poprawki numerów indeksowych na dokumentach wynikały więc po części z tego, że pracownicy mylili się przy ich wystawianiu, a po części — że mylne oznakowania wypisywane były już w Błoniu.

— Drażniły mnie te poprawki — wyznaje księgowa, Bronisława Zielińska — ale główny księgowy, Sławomir Pokora, polecał przyjmować takie dokumenty. Wtedy nie wiedziałam, że to jest niedozwolone. Instrukcję obiegu dokumentów Pokora miał zamkniętą w biurku; mogłam się z nią zapoznać dopiero we wrześniu 1984 roku.

Poprawki nanosiłem także i ja — przyznaje się Parzyński. — Z różnych powodów. W czerwcu 1984 np. branżysta Gawlik przywiózł z Błonia 1500 sztuk złącz „DS", ale do magazynu dotarło tylko 500; 1000 wzięła produkcja bezpośrednio z samochodu. Niedługo potem Mariola Ptak z rozdzielni pobrała 240 złącz. Ponieważ ciągle jeszcze nie byłem rozliczony z tego tysiąca, poradziłem się jednego z pracowników. Kazał mi dostawić jedynkę na dokumencie Marioli Ptak. Uważał, że nie ma sensu na ten sam materiał wystawiać dwóch dowodów. Miałem zamiar porozmawiać o tym z Ptak, ale akurat poszła na pielgrzymkę do Częstochowy. Poprawiłem więc dokument na 3 egzemplarzach. Potem chciałem też na czwartym, ale nie mogłem go znaleźć. Innym razem produkcja pobrała z magazynu dwa rodzaje złącz, ale przez pomyłkę na obu dokumentach znalazły się identyczne numery indeksowe. Planowanie musiało wystawić nowe dokumenty: stare powinienem zniszczyć, ale widocznie, przez zapomnienie, zostawiłem na biurku, a Zapędzki zgarnął je i zaniósł do kartotekowej. Na kolejnym dowodzie „Lm" poprawiłem numer indeksowy obudów na złącza. Nie zgadzały mi się stany kartotekowe. Za dużo miałem pierwszych, za mało drugich. Zdarzało się bowiem, że z Błonia (mimo iż na oryginalnych opakowaniach widniał symbol złącza) faktycznie przychodziły obudowy. Ponieważ w trakcie przyjmowania z reguły nie otwierało się pudełek nieuszkodzonych, o tym fakcie dowiedziałem się dopiero przy wydawaniu towaru. A że wydać musiałem właściwy, powstały sporne nadwyżki obudów. Zgłaszałem to branżyście, który dostarczał towar. Poradził mi, bym zmienił numer indeksowy. Z kolei w listopadzie czy grudniu 1983 r. magazynier w Błoniu, przez pomyłkę, zamiast obudów wydał złącza.

Oczywiście, mogły się też zdarzyć faktyczne braki. Parzyński przypomina sobie, a potwierdzają to pracownicy transportu i kontroli jakości, że opakowania, w których przywożono towar z Błonia, często były uszkodzone. Sprawdzali je wtedy komisyjnie. Praktycznie nigdy jednak nie liczyli końcówek. Wystarczało, że zgadzała się ilość złącz. Z jednym wyjątkiem: kontroler jakości, Celina Rolińska, zeznaje, że na początku 1984 r. brygadzista z produkcji, Włodzimierz Nowak, powiadomił ją o braku końcówek w złączu. Zaczęli wtedy liczyć dokładniej. Losowo. Zawsze brakowało najwyżej dwóch—trzech. To jest normalne przy pokawaniu automatycznym. Dali spokój.

Do obowiązków kontrolera jakości należy bycie przy każdej dostawie. Celina Rolińska przypomina sobie jednak, że czasami o dostawie dowiadywała się dopiero wtedy, gdy towar znajdował się już na półkach w magazynie. Potwierdza natomiast, że reklamowali nieraz dostawy z powodu pomyłek w asortymencie. Ale czy dotyczyło to „DS-ów"? I czy kiedykolwiek sporządzali na okoliczność braku złącz protokoły? Nie pamięta.

Parzyński tłumaczy to tym, że w sytuacji gdy branżysta przywożący dany towar zobowiązywał się w krótkim czasie dostarczyć brakujące ilości, odstępowano od tego typu formalności. Chciażby w przypadku ostatniego, sierpniowego transportu; przyjął go, złożył w pomieszczeniu z kablami, a następnego dnia zaopatrzeniowiec Antoni Gawlik dostarczył mu „Mm". Przeliczyli. Brakowało 84 złącz. Ponieważ Gawlik zobowiązał się załatwić to w Błoniu, nie spisali protokołu. Potem zapomniał o zobowiązaniu branżysty, a kiedy mu przypomniano, okazało się, że Gawlik słowa nie dotrzymał. Antoni Gawlik twierdzi, że brakowało tylko 16 złącz i że przywoził je nie on, a kierowca Łostowski.

— Całkiem możliwe — przyznaje Parzyński. — Nie raz tak było, że zaopatrzeniowiec polecał załatwić wszystko kierowcy, a sam wylegiwał się w tym czasie w domu.

(Cdn.)

DANUTA i ALEKSANDER WRONISZEWSCY

Wszystkie nazwiska zostały zmienione.

penetracje

JAK MINĄŁ ROK?

● CECYLIA JANKOWSKA, wicedyrektor Delegatury NIK do spraw Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej: — Ciekawie i intensywnie. Tak najkrócej mogłabym podsumować mijający rok. Dla mnie osobiście był szczególny, gdyż wystartowałam do nowej pracy zawodowej: podjęłam się organizacji i rozpoczęcia merytorycznej działalności IRCh-y, nowej formy kontroli społecznej. Uważam, że start Inspekcji wypadł obiecująco. Jej działalność, od chwili powstania, skutecznie propagują „Kontakty" — dziękujemy. W życiu rodzinnym najważniejsze wydarzenie to fakt, że mój syn stał się pierwszoklasistą.

● Chor. MORIAN HERBACZEWSKI, komendant posterunku MO w Piątnicy: — Rok jak poprzednie, zawsze dużo pracy i nadzieja, że każdy przyszły przyniesie oprawę dyscypliny społecznej. W życiu rodzinnym: jeden syn odbył służbę wojskową, drugi pracuje, trzeci po zaręczynach. Zdrowie dopisywało.

● WANDA HALINA KUBRAK: sekretarz ZW PCK w Łomży: — Był to rok normalnej pracy. Niektóre zamierzenia udało nam się zrealizować, m.in. powstał nowy punkt opieki społecznej w Goniądzu, utworzyliśmy 2 kluby Honorowych Dawców Krwi, przeszkoliliśmy 48 sióstr pogotowia PCK, przeprowadziliśmy 2 konkursy czystości piekarń i sklepów spożywczo-przemysłowych, opieką otoczyliśmy 630 osób (w 1984 — 551), oraz 150 — pomocą sąsiedzką. W tym roku przybyło 70 szkolnych kół PCK (istnieją już we wszystkich szkołach podstawowych w województwie). Myślę, że w 1986 roku uda nam się pozyskać krwiodawców na wsi, bo mamy tylko jednego w Trzciannem. Mam też nadzieję, że poprawią się nasze warunki lokalowe. To także moje osobiste marzenie.

● WANDA PRABUCKA, przełożona pielęgniarek ZOZ-u w Kolnie: — Przyjęliśmy do naszego szpitala młode pielęgniarki, absolwentki Studium Medycznego w Kolnie i spoza województwa. Mamy dobrą obsadę pielęgniarską, co umożliwia sprawowanie właściwej opieki nad pacjentem. Pod tym względem był to rok udany. Zależy nam na pozyskaniu specjalistycznie wyszkolonych położnych. Mam nadzieję, że w nowym roku poprawi się zaopatrzenie w sprzęt jednorazowego użytku. W moim życiu osobistym miniony rok niewiele zmienił i życzyłabym sobie tego również w 1986. Z natury jestem tchórzliwa i boję się mówić głośno o planach. Żeby nie zapeszyć.

● KRYSTYNA BOGUCKA, dyrektor Przedszkola nr 1 w Zambrowie: — Rok pomyślny. Udało nam się częściowo wyposażyć przedszkole w nowy sprzęt (meble, firanki). W życiu rodzinnym także zmiana: przyszła na świat wnuczka. Osobistą satysfakcję dała mi nagroda kuratora oświaty i wychowania. W przyszłym — marzy mi się wyposażenie całej placówki w nowy sprzęt i zamiana mieszkania na większe.

● WIKTORIA ŚWIĘCKA, kierowniczka stoiska w Wiejskim Domu Towarowym w Wysokiem Mazowieckiem: — Brakuje ciągle towarów, których poszukują klienci: lodówek, pralek, kolorowych telewizorów (w tym roku było ich około 10). Na szczęście nie mieliśmy skarg, choć taka sytuacja wywołuje emocje po obu stronach lady. Od nowego roku oczekujemy, oczywiście, poprawy zaopatrzenia. A moim osobistym marzeniem jest doczekać się narodzin córki.

● JANINA POPIOŁEK, naczelniczka Urzędu Pocztowo-Telekomunikacyjnego w Wiźnie: — Dla nas był to rok spokojny. Nikt nie skarżył się na ginące listy zagraniczne ani paczki. Nasi pracownicy otrzymali awanse i nagrody. Ja — Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski i Medal 40-lecia PRL. W życiu rodzinnym wszystko układało się pomyślnie: zdrowo chowają się wnuki (mam jednego pierwszoklasistę), syn robi doktorat z matematyki. W roku 1986 wybieram się na emeryturę.

Jan Serce kuską w dłoni uwiarygodnia statystykę

— Sprawozdawczość jest bazą tworzenia przyszłości — definiuje naczelnik, Mieczysław Jaworowsk. — Bez danych radni nie uchwalą planu rozwoju, a ja nie wykażę stopnia jego realizacji.

Naczelnik składa Radzie sprawozdania dwa razy w roku, kilka razy wystąpi z informacją o sytuacji społeczno-gospodarczej gminy na naradach, złoży od czasu do czasu meldunek województwu i to wszystko. Nie może więc stwierdzić, że sprawozdawanie przykuwa go do biurka.

— Naczelnik jest władzą — wyjaśnia „nieróbstwo" statystyczne szefa sekretarz Urzędu, Barbara Wasiulewska. — Wszystko, czego sobie zażyczy, otrzymuje na talerzu.

Sprawozdawaniem w gminie zajmuje się bowiem urzędniczy dół. Świadczy o tym klarowny schemat gromadzenia, przepływu i opracowywania danych w poziomie (sprawozdawczość wewnętrzna) i pionie (zewnętrzna):

* pracownicy referatu (działu),
* kierownik referatu (działu),
* naczelnik (prezes, dyrektor) — WUS, zwierzchnicy branżowi jednostek wojewódzkich.

W Urzędzie Gminy w Kołakach Kościelnych pracuje 21 osób.

— Formalnie sprawozdawczością zajmuje się pięć: kierownicy referatów i dwie od statystyki. W rzeczywistości — uważa sekretarz Wasiulewska — ma swój udział każdy. Wziął się pan za naprawdę skomplikowaną sprawę.

Speszony ostrzeżeniem, postanawiam wypróbować przyjętą metodę penetracji (kto, komu, z jaką częstotliwością sprawozdaje; ilu ludzi, w jakim czasie, z jakim materialnym efektem) na obiekcie lżejszego kalibru. Tę pierwszą próbkę notuję w standardowej postaci statystycznego formularza: kto — ajent „Baru Popularnego", Bogusław Sierzputowski; komu — GS-owi, wydziałowi finansowemu; częstotliwość — co dziesięć dni, miesiąc, kwartał, półrocze, rok; ilu ludzi — jeden; ile czasu — około 2[illegible] dni w roku; efekt — 90 dekagramów sprawozdań wyjściowych, trzy księgi i jeden zeszyt z zestawieniami bieżącymi.

Zapisuję treściwy wniosek, wynikający z analizy danych: *„Fasolka po bretońsku nie idzie — wódka i piwo tdą b. dobrze."* Wysuwam hipotezę weryfikacyjną: *„Kto nie wcina — się ucina"*. Weryfikuję konsultatywnie z przedstawicielką Koła Gospodyń: *„Chlają na puste żołądki i upijają się jak świnie. Obywatel pseudo Jan Serce w stanie upojenia oddał publicznie mocz i biegał z kuską w dłoni"*. W tym stanie rzeczy uznałem, iż statystyka godna jest poznawczego wysiłku.

Moralność lochy polskiej w świetle demarche inspektora Malinowskiego

Inspektor ds. produkcji zwierzęcej Referatu Rolnictwa, Gospodarki Żywnościowej i Leśnictwa, Stanisław Malinowski, jest bardzo niespokojny. On powie, ja napiszę, wyjdzie na to, że robi się zbędną robotę, i przyjdzie redukcja. W związku z tym pragnie złożyć *demarche:* jest pracownikiem długoletnim i rzetelnym. Jeżeli w tej chwili powierzy mi wykaz ilości loch pokrytych w październiku, da za te cyfry głowę. Inspektor Malinowski nie przeczy, że w sukurs wiarygodności sporządzanym co miesiąc sprawozdaniom z życia płciowego świń przychodzi brak dzikich rozpłodników.

— Są punkty kopulacyjne knura — wyjaśnia — i każde pokrycie zostaje skrupulatnie odnotowane.

Poza punktem locha polska na pewno się nie puści, gdyż nie ma gdzie i z kim. Taki stan rzeczy jest niezwykle cenny w statystyce, czego nie można powiedzieć o sytuacji w reprodukcji krów. Na szczęście tego tematu inspektor Malinowski nie sprawozdaje i dzięki temu jest kryty na sto procent.

— Różnie bywało — rozluźnia się wreszcie przy szefie. — No, teraz, gdy coś znajdzie się w rubryce, znaczy, że jest w chlewie lub na polu.

Stało się tak dzięki przewietrzeniu rzeczywistości w 1980 r. i nowemu kierownikowi Referatu. Poprzedni, jeszcze sprzed reformy służb rolnych, bywał niezwykle podejrzliwy. „Co to, kolego, za spadek w hodowli trzody chlewnej?" — pytał z troską. „Cóż, ludzie mówią, że się nie opłaci; wiozą maciory na spęd" — wyjaśniał inspektor Malinowski. „To niemożliwe! Te świnie gdzieś muszą być. Idzie pan, panie Stasiu, i poszuka." Pan Stanisław szedł i zawsze (choćby na rozmokłej drodze) natykał się na *„tendencje świadczące o stabilizacji"*, a niekiedy nawet *„minimalnie wzrostowe"*.

— Sprawozdawczość dusiła nas strasznie — dokłada słusznie minionemu okresowi inspektor ds. produkcji roślinnej, Władysław Gosk. — Dopiero od trzech lat papierków jakby mniej.

Dla Referatu, który również sprawozdaje w poziomie i w pionie, to palec Opatrzności: i tak nie ma już gdzie trzymać dokumentów! Gromadzi się je w kartonach w garażu.

Inspektor Gosk dochodzi jednak do wniosku, że rolnicy znaczenia Referatu nie rozumieją i nie cenią. Ujawnia się to zwłaszcza w czasie przeróżnych akcji, a przykładem może być planowa wymiana nasion siewnych. Bo też czego w związku z nią się nasłucha! „Siedzi taki i grzywną straszy!" Siedzi, to znaczy: nic nie robi. Kto nic nie robi? On, inspektor Gosk! Tymczasem akcja planowej wymiany jest okresem wzmożonego wysiłku.

— Wobec szczególnie opornych stosuje się nacisk administracyjny. Rzeczywiście siadam wówczas — wyznaje inspektor Gosk — i piszę: *„Obowiązek... paragraf... artykuł"*. No, straszę.

Dlaczego są oporni?

Inspektor Gosk zdejmuje z gwoździa cennik czterech podstawowych zbóż oferowanych przez Centralę Nasienną. Wynika z niego, że rolnik musi sprzedać przeciętnie półtora kwintala własnego ziarna, by nabyć kwintal kwalifikowanego. Ludność potrafi dziś znakomicie bilansować i ujemne saldo portfela natychmiast ją wnerwia.

— Na tego, co jest pod ręką — gorzko uśmiecha się inspektor i wskazuje właściwy adres: zatwierdzających cennik.

Memoriał dla idiotów

Mojżesz — pierwszy w historii prezes urzędu statystycznego — wraz ze swym bratem, wiceprezesem Aaronem i dwunastoma ankieterami, w jeden dzień spisał wszystkich obywateli Izraela. A było tych spisanych 603 550!

Prezes David, zblazowany nieoczekiwanym mistrzostwem świata wszechwag po znokautowaniu Goliata, wymyślił nową rubrykę w ankiecie: zdolni do służby wojskowej. Napędził tym roboty rachmistrzom na dziewięć miesięcy i dwadzieścia dni. Bo też zdolnych okazało się aż 1 570 000.

Prezes August, parający się ponadto cesarzowaniem Rzymowi, wydał dekret, „aby spisano cały świat"! I tak to się zaczęło...

Dziś ja, skromny reporter, zdaję sprawę ze spisu spisów przeprowadzanych w gminie Kołaki Kościelne, najmniejszej w Łomżyńskiem: 2592 głowy; na głowę — 0,9 krowy, 0,18 lochy, 70,3 kilograma nawozów potasowych, 0,02 telefonu i, licząc do Centrum, prawie cały statystyk-sprawozdawca, czyli spec „systematycznie obserwujący ilościowo zjawiska społeczno-gospodarcze".

MEMORIAŁ

DLA IDIOTÓW

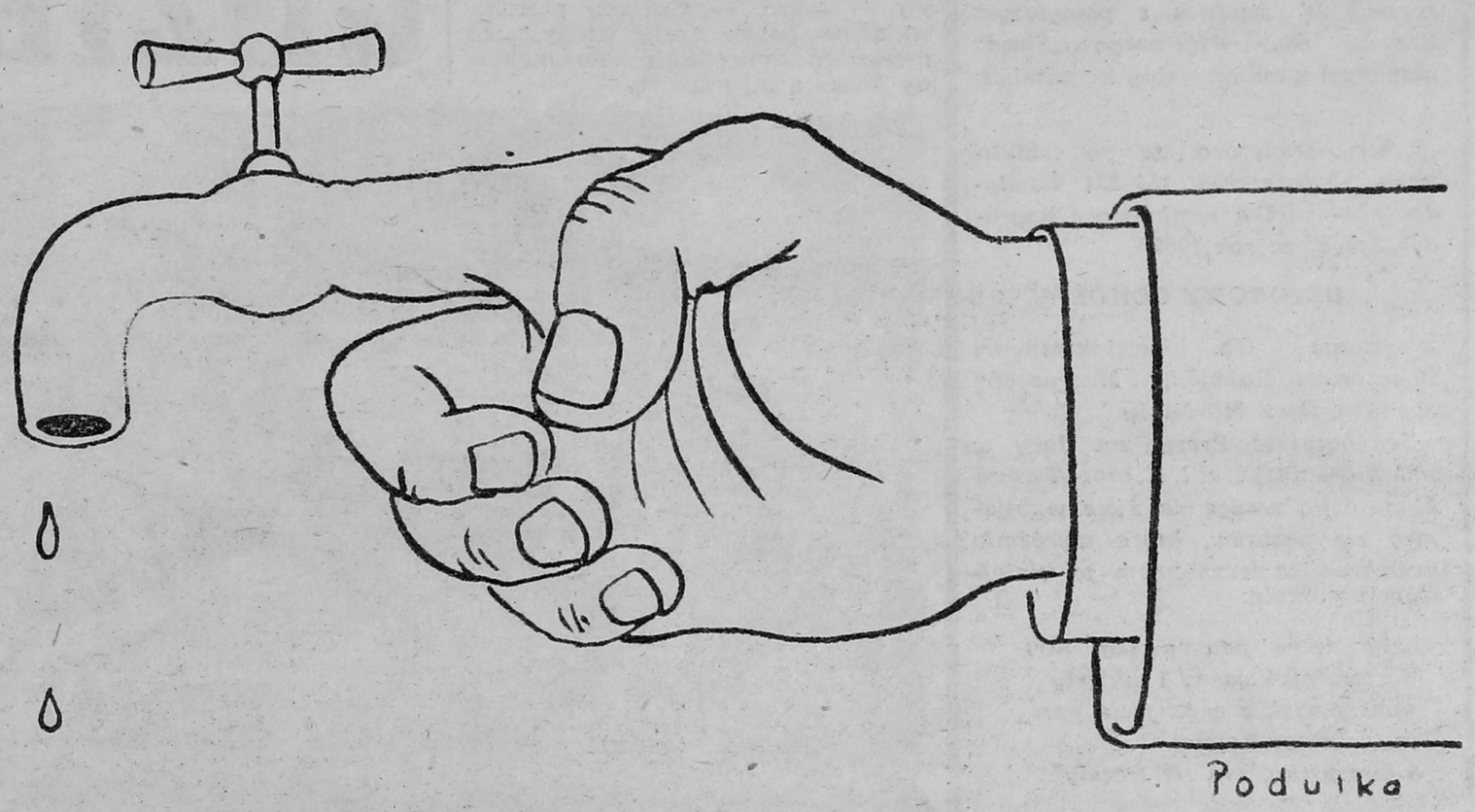

Przed reformą służby rolnej, która dotknęła ją trzy lata temu, siedem osób zajmowało się i papierkami, i doradztwem. W dzisiejszej strukturze Referat jest komórką wyłącznie administracyjną i sześciu ludzi zajmuje się tylko sprawozdawaniem. Inspektor Gosk sporządza szacunki plonów łąk, dwa badania reprezentacyjne plonów zbóż, bilans zbóż i ziemniaków...

— Nie przekopie pan tego przez tydzień — zniechęca do szczegółów kierownik Referatu, Stanisław Łubnicki, a inspektor Malinowski rozwiewa ostatnie wątpliwości: — Jeżeli jeździmy w teren, to tylko dla statystyki i informacji.

Odchodzę więc od szczegółów do ogółu: Referat wyprodukował w ciągu dziesięciu miesięcy 1985 r. 68 teczek informacji, zestawień, wykazów i spisów. Jedna teczka waży przeciętnie 30 dekagramów. Sześciu ludzi poświęca im dziennie 48 godzin pracy.

— Ci na świeczniku — z nabożeństwem patrzy w sufit inspektor Malinowski — chyba z tego korzystają. Jak pan myśli?

Niezwykłe peregrynacje łajna Krasuli rasy nizinno-czarno-białej

Każda krowa, oprócz mleka, dostarcza gospodarce narodowej wysokowartościowego łajna. Łajno pomieszane ze ściółką daje niezwykle cenny nawóz naturalny: obornik. Pożytek z obornika leżącego w pryzmie jest żaden, w związku z tym najzacofańszy nawet chłop stara się go rozrzucić po polu i przeorać. Głębokie procesy dynamicznych przemian cywilizacyjnych wsi spowodowały odejście od zapieprzania w oparciu o siłę mięśni i wymusiły rozwój usług rolniczych. W Kołakach Kościelnych świadczy je Spółdzielnia Kółek Rolniczych. Konkretnie zaś chodzi o to, że łajno Krasuli coraz częściej trafia tu na pole przy pomocy spółdzielczej maszyny, zwanej rozrzutnikiem obornika. Gdy tak się stanie, łajno zaczyna swój byt udokumentowany. Traktorzysta odnotowuje je w karcie pracy, kierownik zweryfikuje dane i przekaże je fakturzystce fakturzystka kontystce, kontystka głównej księgowej, skąd — zbilansowane statystycznie, w formie przyjemnej dynamiki — pędzi, *via* województwo, do Warszawy.

— Tam — główna księgowa, Zuzanna Burak, ma nadzieję, że ogrom ich pracy nie idzie jednak na marne — chyba nad tym medytują.

Pracę w kółkach rolniczych pani Zuzanna podjęła w 1970 r. W gromadzie Lachowo na etacie były wówczas dwie osoby: księgowa i dyspozytor. Ona, księgowa, pisała wtedy w ciągu roku jedno sprawozdanie z chemizacji i bilans końcowy. Teraz w biurze SKR-u w Kołakach pracuje 11 osób. Bezpośrednio sprawozdawczością zajmuje się 5, pośrednio — wszyscy. Zbierają dane szacunkowe, faktyczne, wstępne i ostateczne. Oto teczka kopii znormalizowanych formularzy statystycznych. Oto 51 segregatorów, dzięki którym teczka mogła powstać. W samej księgowości. Dział techniczny też spęczniał w tym roku o 10. Jeden segregator waży przeciętnie 3,5 kilograma.

— Wyprowadzenie sprawozdań miesięcznych zabiera mi dzień, kwartalnych aż 15 dni, a nad rocznymi trzeba posiedzieć ponad miesiąc — liczy Zuzanna Burak i wnioskuje, że od biurokracji nie ma odwrotu. Nawet gdyby nikt z zewnątrz nie żądał marnego papierka, segregatorów nie ubędzie: wymusi je rozbudowany system kontroli. — Kiedyś zakładano, iż każdy jest uczciwy — mówi pani Zuzanna. — Dziś w każdym widzi się złodzieja. Uczciwi muszą gromadzić dowody niewinności.

Bumerang środkowoeuropejski czyli nieoczekiwany powrót kuśki Jana Serce

Komendant posterunkowy MO sierżant sztabowy Stanisław Nurczyk, akurat coś pisze. Niestety, nie mogę zerknąć przez ramię ani popytać o szczegóły, gdyż zastrzegł je sobie rzecznik prasowy RUSW w Zambrowie. Rozmowa jest więc ogólna, a wnioski — odautorskie.

— Pisanie zajmuje mi około trzech godzin dziennie — informuje komendant.

Dedukuję: jeżeli sierżant nie opisuje w czasie pracy drzew na tle zachodzącego słońca, musi sprawozdawać przebieg służby i zaistniałe wydarzenia.

— Rocznie uzbiera się tego całkiem niezła teczka — pokazuje zapełnianą przez siebie kartkę.

Dedukuję: jeżeli sprawozdaje tak skrupulatnie i systematycznie, na którąś z kart musiała trafić również kuśka Jana Serce. Wniosek: kuśka wróci do mnie w najnowszym wydaniu annałów statystycznych, w sumie wykroczeń przeciwko porządkowi i spokojowi publicznemu. Smutne, ale jest to jedyna droga kuśki do nieśmiertelności.

Wszystkie nasze dzienne sprawy na szali „made in Lubelskie Fabryki Wag"

— Daj pan spokój! I bez pana głowa człowiekowi pęka — opiera się kierowniczka Urzędu Pocztowego, Zofia Misiewicz.

Głęboko współczuję. To przecież poczta dźwiga moje codzienne troski, przelane w liście do rodziny! To ona pędzi z depeszą, w której zawiadamiam, że wrócę, nie zasmucę! Nikt poza nią nie przytarga mi pięciu kilogramów soczystych jabłek, nadanych przez dobrodusznego szwagra! Za to wszystko, okazuje się, odpłacam poczcie bezceremonialnym właźeniem w bilans codzienny, wykaz wpływów dla ludności i znaczków, zestawienie ewidencyjno-sprawozdawcze wykonania usług, wykaz wpływów z usług, spis rozmów telefonicznych, rejestr opłat radiowo-telewizyjnych i formularz WUS-u. Precyzyjny aparat Lubelskich Fabryk Wag dokładnie odmierza, że moje i innych sprawki powierzone poczcie zbilansowały się do października w 8 kilogramach 300 gramach sprawozdań i dokumentów pomocniczych.

— Doliczy pan teraz swoje trzy deko — wskazuje mój notatnik pracownica pani Misiewicz.

Percepcja anoplury albo ilość wszy na główce

Sosnowy las szumi posępnie. Zza ściany wdziera się przytłumiony krzyk dziecka. Odruchowo przenoszę wzrok z okna na stół. Krew! Zapalam lampkę. Uff! Przecież to tylko znajomy druczek, tyle że wypełniony czerwonym wkładem. Tymczasem doktor Jakub Ruman, kierownik Gminnego Ośrodka Zdrowia, już sprowadził pomoc.

— Na szczęście — mówi wesoło — panie przyjęły na siebie większość papierzysk, więc dokładniej o nich opowiedzą niż ja.

Roczną pracę samego Ośrodka dokumentuje 66 sprawozdań „w pionie". Oddzielnie ze swej pracy wykazują się pielęgniarki, położna i pracownik socjalny.

— Na sprawozdanie tego, co zrobiłam — liczy pielęgniarka środowiskowa — tracę około pięćdziesięciu procent czasu.

Elżbieta Pączka, przemiła dentystka (to chyba w jej gabinecie krzyknęło dziecko), każdą czynność wykonaną nad „fotelem płaczu" odnotować musi w specjalnym dzienniku pracy. Nie ma prawa zgłnąć jej bezimiennie żaden usunięty korzeń, nie może rozpłynąć się nie udokumentowany gram materiału wypełniającego szczerby. Co kwartał pomoc zbilansuje dane z dziennika, doda liczbę przebadanych dzieci, stan wykonania fluoryzacji, i skonstruuje zestawienie kwartalne, nad którym pieczołowicie zmarszczy czoło zwierzchnik, by ocenić, czy pani doktor Pączka zasłużyła na premię.

Pomoc sprowadzona przez doktora Rumana rzeczywiście okazała się pomocna; zanurzam się ponadto w bilans sześciolatka, percypuję kondycję wszy (*anoplurae*), przerzucam plan i wykonanie szczepień, sprawozdania z przypadłości świerzbowych i innych zakaźnych, mogę policzyć ilość brudnych rąk, obejrzeć książkę pracy pielęgniarki terenowej, zeszyty spraw bieżących bilans potrzeb potrzebujących etc.; zadaję pytania proste i zza węgła a jednak coraz bardziej ogarnia mnie rozpacz: wyjdę i, mając pierwszy siwy włos na skroni, nadal nie będę wiedział, ile wszy zmieścić się może na główce. Choćby tylko dziesięciolatka.

Trup na szafie — czytaj: haniebne upupienie „Zbrodniarza, który ukradł zbrodnię"

— Tę szafę przerobię na szafę na dokumenty — melduje kierowniczka Gminnej Biblioteki Publicznej, Janina Dłużniewska, instruktorce Oddziału WBP w Zambrowie Wandzie Łuniewskiej.

Janina Dłużniewska ma maturę, dwuletnie studium, parę miesięcy pracy i nadal nie bardzo może się połapać, co, gdzie, kiedy ewidencjonować, zestawiać, sumować i wykazywać zwierzchności dlatego instruktorka poświęci ten piątek na przeszkolenie. Zaczyna od rzeczy koniecznych: sprawozdania z realizacji wyjazdów i wymiany książek w punktach, cyfrowego zestawienia działalności kulturalno-oświatowej, ilości czytelników, wypożyczeń, zakupów, ubytków, form pracy z czytelnikami. Dzięki tym zabiegom jestem dziś w stanie puścić w świat informację, iż w III kwartale br. gmina Kołaki miała 491 czytelników, w tym powyżej 30 lat — 96, w tym robotników 12, pracowników rolnych 111, umysłowych 45, młodzieży uczącej się 306, niezatrudnionych 8 i takich, o których brak bliższych danych, 9. A jest to tylko wyimek bilansu sporządzonego w oparciu o 41 informacji nadsyłanych każdego miesiąca przez każdy z ośmiu punktów, zbieranych starannie w „Dzienniku Punktu Bibliotecznego" w każdy dzień otwarcia. Dysponując tak szczegółowym raportem alfabetyzmu ludności — już w kilka godzin jest się w stanie odpowiedzieć na zarządzenie nr 7/85 naczelnika gminy, nakazujące *„przekazanie analizy i oceny dotychczasowej realizacji zadań"* tutejszemu urzędowi.

— Wprawny poradzi sobie z miesięcznym sprawozdaniem w parę godzin — pociesza panią Janinę pani Wanda, a ja w tym czasie z troską lustruję szafę na dokumenty, skąd nagle błyska mi chitynowy, sczerniały trup muchy. Od tej chwili męczy mnie maniakalna myśl, że w momencie zgonu mogła wyciąć zyg-zyg marchewka samemu „Zbrodniarzowi, który ukradł zbrodnię" Krzysztofa Kąkolewskiego.

Mądrym dla memoriału?

Kołaki Kościelne są siedzibą 14 instytucji. Sprawozdaje każda z nich (szkoła — 294 informacje tylko dla WUS-u; Gminna Spółdzielnia: „Sprawozdawczość to dziki zwierz" — mówi prezes; Bank Spółdzielczy — 5 XI 1985 r. „wyprodukował" 107 dokumentów, z których dane powtórzą się w zestawieniu miesięcznym, kwartalnym, okresowym, półrocznym, rocznym; sołtys — imienny wykaz właścicieli rozpłodników, psów, zapotrzebowania na usługi SKR-u). Spisywaniem „całego świata" Kołaków zajmuje się codziennie 78 osób. Na samo wypełnienie syntetycznych druczków statystycznych przeznaczają 342 dni w roku. W tym czasie tworzą około 420 kilogramów dokumentacji wyjściowej i końcowej. Kartka formatu listowego waży 4 gramy. W ciągu roku w Kołakach Kościelnych pomysł prezesa Augusta pochłania więc 105 000 kart. Mądrym dla memoriału, idiotom dla nauki, politykom dla praktyki melancholikom dla rozrywki?

WŁADYSŁAW TOCKI

Rys. Andrzeja Podulki

penetracje

spięcia

Uprzejmie donosimy, że wskutek wniosków, jakie upadły, a zwłaszcza pod wpływem konsekwentnej postawy mieszkańców wsi Trynd, jednoosobowy kolektyw „Spięć" — na posiedzeniu w trybie doraźnym — jednomyślnie potępił na dzień dzisiejszy dotychczasową doktrynę: „Za złe — karać!"

Jednocześnie na pamiątkę zakrętu i celem jednoznacznego odcięcia się ustanowił wielką nagrodę, będącą realnym śladem wkroczenia na drogę bez odwrotu do sytuacji sprzed! W związku z powyższym Rzecznik Biura Prasowego „Spięć" przekazał nam specjalny komunikat:

„Jury stwierdza, że po wnikliwym rozpatrzeniu 155 231 kandydatur — wielką symboliczną nagrodę „Spięć" za rok 1985

BETONOWY COKÓŁ

przyznano Ob. wielokrotnemu Bohaterowi Rubryki, Mecenasowi Kultury, Ojcu Młodzieży.

Jednocześnie Prezydium Jury w składzie Gałczyński I. K. oraz Tuwim J. zwróciło uwagę na dwie wybijające się postawy, które wyróżniło honorowo uwiecznieniem w niniejszym protokole:

„Był sobie pewien pan (dr)
na twarzy kwaśny i wklęsły
miał portek z piętnaście par
(a może szesnaście)
i weszystkie mu się trzęsły"

•

„Nadęty bałwan nad bałwany
Impertynencik, impotencik
Na żółć swą z braku spermy
zdany
Swiatłej pamięci
ćwierćinteligencik"

• • •

W związku z ostatnimi wydarzeniami w „Spięciach" — informujemy, iż dotychczasowe kierownictwo rubryki być może z powodu choroby odejdzie na zasłużony odpoczynek tym bardziej że, specjalna komisja w dzień później, w wyniku odkrycia tajnych dokumentów, odsłoni prawdziwe oblicze jej nadredaktora:

„Ledwo słoneczko uderzy
W okno złocistym promykiem,
Budzi się hoży i świeży
Z antypaństwowym okrzykiem.

Zanurzał się aż po uszy
W miłej moralnej zgniliźnie
I najserdeczniej uwłaczał
Bogu, ludzkości, ojczyźnie.

Zaśmiecał język z lubością,
Znieprawiał, do złego kusił.
Zakusy miał alkoholickie
I sączył jad w młode dusze

Często miał misje specjalne
To w Ciechanowcu, w Borzymach
Do domu wracał pogodny,
Lekki jak mała ptaszyna".

• • •

Z ostatniej chwili: sytuacja sprowokowana przez wiadomy nam element z „Kontaktów" została opanowana. Zdecydowana reakcja na nieodpowiedzialne akty, jako wybór mniejszego zła, umożliwi kontynuację naszego dzieła. Nadredaktor.

PORTRETY WSPÓŁCZESNE

— Pasę sobie krówki, tu mi świeci, tu mi wieje — określa swoje miejsce pan Józef Alicki. — Ale gdy wybija godzina, też kuka i moja kukułka.

Przykładowo: 14 grudnia pamiętnego roku, w mroźne przedpołudnie, pan Alicki zaglądnął, jak czyni to od lat, do kawiarni „Marago" w Iławie. Z przedwojennym rotmistrzem kawalerii, sędziwym adwokatem i równie dostojnymi emerytami zagadał się. A tu nagle trzech sprężystych gości prosi na stronę. „Co, aż was trzech po mnie, starego dziada; tak się boicie?" „Przygotowywał pan napad na pocztę!" „Na te bzdury nie odpowiadam." „Uczniowie technikum mechanicznego zeznali, że tworzą partyzantkę i oddają się pod dowództwo Alickiego. Co pan na to?" „Na starość pod moją komendą nie byłaby szkoła, ale korpus!" Na tym urwał się dialog.

Dwadzieścia lat temu zaszył się w Kamieniu, wśród mazurskich jezior, wtopionych w zieleń łąk i lasów. Znalazł tu wytchnienie, zniknął z oczu.

— Mój życiorys poleciał w plewy — mówi. — Czasami przesiewają na nowo. czuję wtedy, że przeszłość mnie kłuje, ale niekiedy ściskają mi prawicę.

Znany reżyser swego czasu widział w nim kandydata na konsultanta w filmie „Hubal". Wymienili przy koniaku poglądy na historię; okazało się, że uczyli się z innych książek. Gdy w końcu reżyser bąkał już coś niewyraźnie o współpracy, on zażyczył sobie: „Chociaż ze dwa razy pan mnie wezwie, żebyście nie spieprzyli, nie spaskudzili filmu. Ja wam naświetlę, jak było". Po takiej propozycji jego przeszłość dla reżysera nie miała znaczenia. „Hubala", po zastanowieniu, puścił płazem: „Ludzie się w kinie moczyli, poszło im do pięt. Czy w głowach coś zostało?"

Z równowagi wyprowadził go dopiero niejaki Markuszewski, gdy w jakimś piśmie PAX-owskim odsądził od czci i wiary majora oraz Wańkowicza, autora „Hubalczyków". Smagnął list otwarty, pełen oburzenia na przeinaczenie faktów. Dodał, że nie zna wprawdzie Wańkowicza, ale pisarz opisał sprawy tak, jakby sam w nich uczestniczył. Zaświadcza o tym jako pełny hubalczyk.

Przyjechał kolega z Londynu, Roman Rodziewicz. Zawadził w drodze do Kamienia o stolicę. „Wańkowicz chce ciebie poznać — powiedział Alickiemu. — Wszyscy żyjący hubalczycy już u niego byli, a ty omijasz." „Tylko ty prawdę mów, bo jak to będzie kłamstwo..."

W stolicy kupił naręcze kwiatów i napoleona. Pisarz milczał, słuchał. A on wsiadł na swego konika: przedwojenna Polska, zacofanie armii, poniżenie chłopów, magnateria itd. Gdy skończył, Wańkowicz powiedział: „Panie, ma pan rację, nawet mój brat się na mnie pogniewał, gdy zwróciłem uwagę, jak traktuje służbę".

Później, w żniwa, nadszedł list. Wańkowicz pisał, że może o każdej porze wpaść do niego, bo nie wychodzi już z domu. Oblał go zimny pot: to wielki pisarz ma czas i głowę, by korespondować z chłopkiem spod Iławy! Odpowiedział: *„Panie Wańkowicz, snopki zwożę z pola, co czarna chmura pojawi się na niebie, zamykam oczy. Na*

JERZY MORAWSKI

GDZIE POWIETRZE

jesieni, gdy odetchnę, na pewno się wybiorę".

Odwlekał wyjazd do stolicy, chociaż miał nieprzepartą ochotę na rozmowę w cztery oczy. Otrzymał telegram. — Szykowałem się, a on wziął i mi umarł.

W kondukcie pogrzebowym hubalczycy maszerowali w oddzielnej grupie. — Z pięćdziesięciu nas zostało. Wszystkich nie poznałem, pewnie odmienili się. Niektórzy to nawet ze dwa dni naszym koniom podawali siano.

Poglądy nie przysparzają mu przyjaciół, przeciwnie: czynią z niego samotnego harcownika. Osiem lat temp brał udział po raz ostatni — przyrzekł to sobie — w zjeździe kombatantów. Kością niezgody stał się, oczywiście, dziadek. Kolega Marian twierdził, że komendant Piłsudski słusznie rozpędził Sejm i Senat. Jego aż rzuciło: „Strzelał do ludzi, dopuścił się gwałtu na narodzie!" Kolega Marian na to: „Ty, Józek, jesteś komunistą!" „Marian, na głowę upadłeś!" Przedwojenny oficer Tomasz powiedział, że dobrze było. Alicki już go miał: „Tomek, żarłeś chleb przedwojenny całą gębą. Miałeś robotników darmowych, jeździłeś po Afrykach, po diabłach. Twojej rodzinie się świetnie powodziło". „Ty zacofana pało mazurska" — uszczypnął go towarzysz z partyzantki.

Ostrość spojrzenia buzowała w nim od dziecka. Dziadek wspominał pańszczyznę, ale ojciec już gospodarzył na dwunastu własnych hektarach w Wiśniówku na Podlasiu. Gdy rodziciel narzekał, że za cara płacił zaledwie dwa metry zboża podatku, a za niepodległości — aż pół świniaka, młody Józio buntował się przeciwko takiemu widzeniu chłopskiego losu. Był na patriotycznej fali, biegał z chorągiewką 3 maja. Dopiero po latach trafiła do niego prawda, że sławna „Konstytucja" nic nie dała przodkom, ale chłopom wsadzono łeb w gąsior, a włościan smagał, kto chciał.

Mówiąc językiem klasyków — radykalizował się. Jako ułan stał pewnego ranka na warcie koło Sokółki. Kobiety z czworaków maszerowały do doju w pańskiej oborze. Zatrzymały się w pokłonach przed dziedzicem i całowały go w rękę. Nie wytrzymał: „Kobieto, a nie cmokaj go w tłustą łapę! Uderz wiadrem w ten bęben, aż się, cholera, przewali". Dziedzic doniósł do oficerów. Dowódca szwadronu wezwał go do raportu. Opowiedział, jak było, i dodał: „To co, panie rotmistrzu, mamy dwudziesty wiek?"

Nie ukrywa, że do losów włościańskiego stanu ma stosunek krewki, zwany naukowo emocjonalnym. — Dlaczego każdy chłop to złodziej, lubi podwędzić? Bo jakby nie rąbnął czego, toby nie wyżył. Chwytał zwierzynę w pańskim borze, oczywiście: z głodu. Dziedzic uszczęśliwił go karczmą z Żydem, by przepił, co zarobił. Rodzina dalej biedowała. A kiedy to chłopu powodziło się lepiej niż innym? Nigdy! Zawsze najgorzej, na ostatku. Myśli od wieków: chwycę co, to sobie polepszę.

Magnateria opływała w dobra. Wertuje „Dzieje Polski" profesora Augusta Sokołowskiego, wydane w 1900 roku. Zatrzymuje się na przypadku Andrzeja Tęczyńskiego, który zabił krakowskiego rzemieślnika za to, że ten upomniał się o zapłatę za wykonaną zbroję. — Uszło to mu bezkarnie — mówi z oburzeniem — a Opalińskim, Radziejowskim i innym za zdradę kraju włos z głowy nie spadł. W pobłażaniu możnowładcom widzę początek upadku państwa. Taki Rousseau wskazywał na przyczynę słabości i klęski Polski w istnieniu *liberum veto*. Uważał to za prawo barbarzyńskie, które należy obłożyć karą śmierci.

Wczytuje się w opasłe tomiska (zgromadził największą bibliotekę w okolicy), notuje w kajecie uwagi, zbiera dowody na poparcie swych hipotez. Choćby tacy dowódcy oddziałów partyzanckich w Powstaniu Styczniowym jak skończyli? Frankowski — rozstrzelany, Piotrowski — powieszony, Korejwa — rozstrzelany, ksiądz Mackiewicz — powieszony w Kownie, Jankowski — powieszony itd.

— Jak można było się poddać na śmierć? To zastanawiające i niezrozumiałe: ci przywódcy tak mężnie bili się i nagle... A może to, że pochodzili z rodzin magnackich i bogatej szlachty, zaważyło, iż w beznadziejnej sytuacji zaczęli kalkulować, jak ocalić swoje życie? Broń Boże nie krzywdzę tych wspaniałych bojowników; pytam się tylko: dlaczego nie wytrwali w walce do końca?

Gdy zginął Hubal, w kilku zapadli w zagajniku. Zbliżała się niemiecka tyraliera. Umówili się, że do niewoli nie pójdą. Niemcy nagle skręcili w inną stronę. Później jeździł jako kurier w akowskim wywiadzie na trasie ze stolicy do

Wilna. Z lewymi dokumentami wymykał się niemieckim patrolom, wyskakiwał w biegu z pociągów, nie raz w pościgu gwizdały wokół niego kule. Dla uniknięcia przypadkowej wpadki i dostania się w ręce okupanta tajnych meldunków nie wolno mu było mieć przy sobie broni. Oswoił się z tym, że w momencie aresztowania musi liczyć tylko na — zaszytą w ubraniu — ampułkę.

Ręce do góry podniósł dopiero po wyzwoleniu. Ukrywał się w willi w Świdrze pod Warszawą. Obudziło go walenie w drzwi. Wyciągnął broń, chciał walczyć. Domownicy jednak błagali, by tego nie robił. Otworzył drzwi, poddał się. Oficer, który go aresztował, nazywał się Światło.

W postawie pana Alickiego, co tu ukrywać, można doszukać się tej odrobiny uporu zawziętego chłopstwa z Podlasia, czego dowody ten krnąbrny lud daje, niestety, do dzisiaj. Wówczas, po zatrzymaniu akowskim podporucznikiem zainteresował się radziecki oficer. Zaproponował aresztantowi pułkownikowskie szlify. Pan Józef za nic miał życiową szansę, ociągał się ze wskazaniem meliny, gdzie przebywali akowscy dowódcy. Dostał więc to, co mu się należało.

wpław, bezszelestnie jak ryba. Nie. ja nie umiem pływać.

Jak sobie powalczył, pozwyciężał i odsiedział swoje, wrócił do rodzinnego Wiśniówka. Pomagał matce w gospodarce. Pobyt — po latach nieobecności — w miejscu, z którego pochodził, dobrze mu zrobił. Nabrał ochoty na nowe życie. Wyjechał do Poznania, później osiadł we Wrocławiu. Handlował końmi, tuczył drób. Założył własną rodzinę, doczekał się syna. Mówi: — Na Ziemiach Zachodnich powiodło mi się, dopiero po latach mnie zamknęli.

Powojenne koleje losu, w wyniku których podupadł, wcale go nie przybiły ani strąciły na margines. O, nie. Chociaż głosi, że przegrało jego pokolenie, nie sprawia sam wrażenia pokonanego.

— Dostaliśmy w d... — mówi dosadnie — ale ja miejsce do siedzenia sobie znalazłem; nie przy reprezentacyjnym stole, ale pod gruszą, gdzie powietrze świeże.

Uwielbia pogaduszki o historii; lubi szczególnie to, co wybujało

ŚWIEŻE

Gdy oddalała się linia frontu, na oswobodzonych terenach wszystko się pomieszało. Partyzanci, którzy dopiero co przestali nimi być, łapali innych partyzantów, do niedawna swoich kolegów; wciąż ktoś przed kimś wiał. Za wierność dowódcom, którzy nie mieli już kim dowodzić (zgrupowanie AK, na rozkaz z Londynu, złożyło broń), wylądował w więzieniu. Dzień zwycięstwa witał mniej radośnie niż inni, bo od wolności dzieliło go jeszcze pięć lat. Amnestia ten wyrok uchyliła. Koledzy z partyzantki namawiali, by przedzierał się z nimi na zachód.

— Płynie sobie lodowata rzeka, a ja stoję na brzegu, za chwilę skoczę... Przypomniał mi się Bug. Setka partyzantów, którymi dowodziłem, płynęła w łódkach w biały dzień, na oczach Niemców. Osłupieli na ich widok, nie strzelali. I pomyślałem sobie: to była brawurowa przeprawa. A teraz miałem tak

w świadomości narodu, ściągnąć z postumentu na ziemię. Żona prosi na posiłek, krówki porykują niespokojnie, zbliża się pora doju, ale to wszystko musi poczekać, bo padło sakramentalne: legenda Hubala. Już widać po oczach, że pan Józef gorze: — Panie, ja dziwię się młodzieży, że daje się na to nabierać. Przecież nasza walka po wrześniowej klęsce nie miała sensu.

Sprawdza, jakie wrażenie poczyniły słowa, i mówi: — Ale co człowiek miał robić? Poddać się? Major przysięgał na naszych oczach, że munduru nie ściągnie. Zamierzaliśmy przebijać się na Węgry. Okazało się to niemożliwe. Pozostała walka. Odrzucałem myśli, że to na nic. Oszukiwałem siebie, że przyjdą Francuzi, jakbym nie znał historii.

— No, ale poczynaliście sobie mężnie, zostaliście bohaterami!

Zanosi się od śmiechu. — Człowieka tylko siła pędzi. Walczy, gdy go zaskoczą, bo wie, że jeśli się podda, to na zmarnowanie.

Gdy już w bojach pogubili piechotę, pewnej nocy przemykali w kilkunastu na koniach. Znużeni i zmęczeni, stale wymykali się kolejnym obławom. Żołnierze przysypiali, on ich budził, by pod nieruchomymi jeźdźcami zwierzęta nie dostały odparzeń.

Major, który jechał na czele, zatrzymał się. Powiedział do niego „Nikt nie chce zbadać młyna przed nami. Boją się" — wskazał na swych żołnierzy.

Zeskoczył z konia. Z granatem w ręce i sztucerem na plecach pomaszerował przed siebie. Też miał dość. Śnieg chrzęścił mu pod nogami, nie zważał na to. Młyn okazał się pusty, wieś była wolna. Gdy wrócił do oddziału, major krzyknął: „Gdzie, do cholery, tyle czasu byłeś?"

— Nerwy Hubala były już w opłakanym stanie — wspomina. — Nasze w nie lepszym.

To tak: ten oficer przyrośnięty do konia i jego wataha — to mit sienkiewiczowski, który naprawdę się zdarzył; kolejna pomyłka zagubionych w sytuacji bez wyjścia bohaterów. Nic więcej?

— Ostatniego powstania — twierdzi — na dobrą sprawę nie wywołałby żaden kapral. Bez broni na wroga uginającego się pod żelastwem?

Cwałuje przez historię susami, wybiera fakty, które mu pasują, pomija inne, według własnego uznania rozkłada akcenty. Czy Hubal to zabłąkany rycerz?

Major, gdy dyskutował z oficerami przy brydżu, słał po niego. Przychodził, siadał w kącie, słuchał. Dowódca krytykował przedwojenne stosunki, zaznaczał, że nic nie zrobili. Przed krajem widział tylko demokratyczną przyszłość.

— On był nie lada demokratą — wspomina Alicki. — Chłop, u którego kwaterowaliśmy, poszedł na posterunek i nas zasypał. Major, gdy o tym się dowiedział, wytrzaskał nieszczęśnika po pysku i kazał go pilnować w chlewiku. Nocą w słomiastym dachu wygrzebałem dziurę i wypuściłem więźnia. „Zmykaj" — powiedziałem. Major ochrzanił wartowników, że go nie upilnowali. Wtedy zagadałem: „Panie majorze, czy pan by wytrzymał na jego miejscu? Siedzimy tu tyle czasu, Niemcy w pobliżu. Ten chłop dostawał kręćka ze strachu. Pan też mówił, że obawia się śmierci". Hubal mnie w spokoju wysłuchał, zrozumiał, nie był mściwy, złość mu przeszła.

Na kanwie tego, co opowiedział przed chwilą, deklaruje: — Też w poglądach jestem demokratą, choć w gębę czasami trzeba dać.

Nie kończył szkół. Lektura, dyskusje, obserwacje i własne przemyślenia — to go ukształtowało. Bodajże doktor Korczak powiedział że wyznawane przez niego ideały i prawdy mają tylko taką wartość, jaką nadajemy im naszym życiem. Hubalczyk przykłada inną optykę: tak czynić, by było z tego coś.

— Przewoziłem pociągiem kiedyś do Wilna ukrytą w patefonie radiostację. Niemieccy lotnicy przy fokstrotach, które puszczałem na trefnym samograju, tańczyli całą noc. Zaciskałem zęby w obawie, że wykryją aparat. Dowiozłem. Była to pierwsza radiostacja w mieście. Za tę akcję otrzymałem Virtuti Militari. I co? Ponadawali, ponadawali i nie ma sprawy.

Uważam tak: to wszystko, co siedzi w głowie i się miesza, te myśli, te doświadczenia, kręcą się wokół przyszłości. Mądrości nałykało się od ucha do ucha, a nie wiesz, co będzie jutro. I dalej: co począć, by był pożytek dla ogółu? Gdyby miał radzić tym gorącym głowom... Nie, co im dziad może podpowiedzieć? Mają swoje rachuby i przekonania. Ale jeśli już, to wyzbyć się złudzeń i mitów, tych o bohaterszczyźnie; trzeba mimo wszystko trwać.

Od lat w rocznicę śmierci dowódcy zamawia mszę w jego intencji. „Kim dla pana jest Henryk Dobrzański" — spytał kiedyś ksiądz. „Przyjacielem."

BEZPIECZNIKI

Co każdego przyjezdnego oczarowuje u rodowitych łomżyniaków: wierność sobie (choć bywa ona często efektem rozczarowania wobec innych), hojność (szczególnie w rozdawaniu dobrych rad), umiar (gdy nie stać ich na zbytek), skromność (i tak dostaną to, co się im należy), dyskrecja (umieją dochować tajemnicy publicznej), odwaga (wygłaszają bardzo odważne tezy, choć przeważnie szeptem), powszechna czystość rąk (choćby myli je wyłącznie w Narwi). Oscylują pomiędzy doświadczeniem a nadzieją. Co jest pośrodku?

— ◆ —

Z wrodzonej uprzejmości często sprawiają takie wrażenie, jakby rozumieli, co się do nich mówi. A właściwie z jakiej racji miałby ktoś obcy cokolwiek mówić? Przychodzi z daleka — trudno sprawdzić jego słowa; bywa podejrzanie zadowolony, jakby nie wiedział, że swoje miejsce na ziemi znajdzie tu wyłącznie po swoim pogrzebie; nie może się szarogęsić w grodzie, skoro się w nim nie urodził, bo nie pomoże im z pewnością w osiągnięciu najwyższego celu: znalezieniu starej nucie nowego brzmienia.

— ◆ —

Nikt w Polsce nie posiada tylu talentów! Potrafią np. tak podzielić sznur wisielca pomiędzy znajomych, aby każdy myślał, że dostał największy kawałek. Umieją znakomicie sami nadrabiać niedobór szacunku wobec siebie. Genialnie wprost posiedli prawo do błędów na wyłączność.

— ◆ —

W Łomży niewątpliwie wszystko jest najlepsze, ale nie omijają jej niezdrowe (sąsiedzkie) wiatry. Przeto wielu rodowitych to rekonwalescenci, niestety. Część przeszła epidemię wielkoduszności (choć teoretycznie wielkość duszy nie jest zaraźliwa), inni wracają do sił po chorobie na władzę. Dobrze, że puls wielkich tradycji opiniotwórczych jeszcze bije!

— ◆ —

Doprawdy, na co się może przydać taki przyjezdny, który zazwyczaj ma większe ambicje od wykształcenia i żadnych zasług dla grodu, bo czyż jego przodkowie założyli Łomżę? Taki mógłby co najwyżej robić frekwencję na imprezach kulturalnych, działać społecznie (byle nie piastować) i wadzić się z drugim przyjezdnym (byle tym trzecim, co korzysta, pozostał rodowity), ale nie zapuszczać brody, bo insygnia mędrców należą się miejscowym.

— ◆ —

Każdy poszczególny outsider już wie, że tylko rodowici podejmują najkorzystniejsze decyzje dla swego miasta. Ich miarą jest konsekwentna realizacja: choćby trzeba było przemianować kilka ulic i przesunąć gmach użyteczności publicznej — zamierzona tablica pamiątkowa stanie na upatrzonym miejscu. A to dlatego, że nie są cyniczni: widzą sprawy nie takie, jakie są, ale jakie być powinny.

— ◆ —

Nawet prawo uznaje korzyści wynikające z zasiedzenia, dlatego wielu rodowitych piastuje funkcje. Podwładni porównują ich metody do wymagań fotografa: nie mrugać bez pozwolenia i ciągle się uśmiechać. Gdyby któryś z szefów postawił na rynku trybunę (którą, dla wygody, noszą z sobą) i zawołał: „Niepotrzebni mogą odejść" — a po chwili został sam, utwierdziłby się w swoim poczuciu wyjątkowości i nareszcie zaprowadziłby sprawiedliwość!

Autorem tekstu jest, specjalnie sprowadzony przez redakcję, podglądacz.

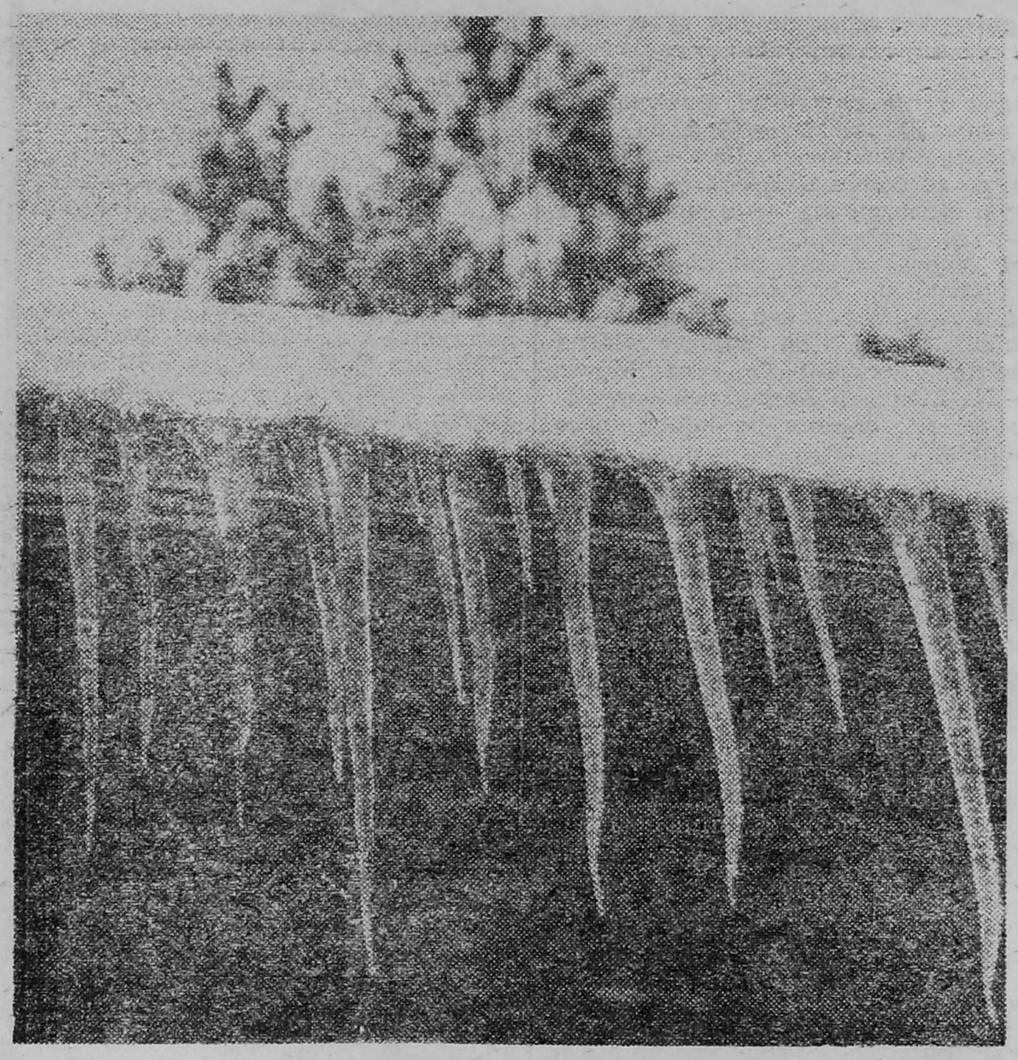

Dwudziestowieczne postępy w dziedzinie techniki wpłynęły również na medycynę, dając do dyspozycji współczesnym lekarzom fantastyczne narzędzia badania ludzkiego organizmu, mechanicznego i chemicznego reperowania ciała, niebywale skuteczne środki zapobiegania wielu chorobom. Niestety, nie można odnieść tego do wszystkich dolegliwości i nadzieje na odzyskanie zdrowia środkami tradycyjnej medycyny i farmakologii często zawodzą. Wtedy ludzie szukają ratunku poza nimi, u kręgarzy, zielarzy, znachorów, a także — w technikach leczenia ocierających się o magię.

AZJATYCKI SPOKÓJ

HENRYK GAŁA

Jedną z nieklasycznych gałęzi medycyny jest akupunktura, która uchodzi za metodę mało magiczną, ale jest też dość daleko sytuowana od medycyny akademickiej. Podczas kilkutygodniowego pobytu w Kołobrzegu kilkakrotnie miałem okazję rozmawiać o tej technice kuracyjnej z doktorem Mieczysławem Szczęśniewskim, dyrektorem jednego z sanatoriów, lekarzem, który od kilku lat stosuje akupunkturę.

— Przede wszystkim zacząć trzeba od tego, że akupunktura jest pierwszą medycyną świata, najstarszym rodzajem uśmierzania cierpień i podnoszenia kondycji człowieka. Można ją określić jako jedną z form stymuloterapii skórnej, w której efekt leczniczy uzyskuje się przez oddziałanie na odpowiednie punkty lub pola. Od kilkudziesięciu stuleci jest stosowana z dobrymi skutkami. Jej chińska nazwa (a stamtąd wywodzi się ten rodzaj leczenia) brzmi: *czeńtsju*, czyli kłucie i przypiekanie. W Chinach akupunktura była i jest częścią medycyny; podobnie w Korei i Japonii. W Europie historia jej liczy także kilka wieków i we Francji, na przykład, czy Austrii istnieje nieprzerwanie. W Polsce pierwszy raz pisał na jej temat Józef Domaszewski w jednym rozdziale pracy doktorskiej, obronionej w 1831 roku na Uniwersytecie Jagiellońskim, a zatytułowanej „De hydrocephae interno chronice item de acupunctura". Jednak większego zainteresowania tematyka ta nie wywołała. Dopiero działalność profesora Zbigniewa Garnuszewskiego w latach pięćdziesiątych XX w. zapoczątkowała rozwój akupunktury w naszym kraju.

— Wiem, że Pan od dawna interesuje się nią, stosuje z powodzeniem, a przy tym jest pierwszym w Polsce posiadaczem upoważnienia do samodzielnego praktykowania akupunktury. Na czym polega działanie owych nakłuć? Może idzie tu o sprytne znieczulanie bólu przez mechaniczne porażenie nerwu albo o przesunięcie tzw. bramy bólu. Ponoć, wszystko zaczęło się od tego, że któregoś z cesarzy chińskich przestała boleć głowa, kiedy uderzył się przypadkowo w palec u nogi.

— Świetne efekty uzyskuje się dzisiaj techniką bezinwazyjną, stosując promień lasera zamiast igły. To usuwa całkowicie ból przy zabiegu i jest znakomitą techniką w leczeniu np. dzieci. Czym jest akupunktura? W miarę rozwoju wiedzy medycznej i ogólnej o człowieku zaczynamy też coraz więcej wiedzieć o akupunkturze, wciąż jednak zbyt mało, aby udzielić wyczerpującej i pewnej odpowiedzi. Inny paradoks: choć akupunktura jest medycyną empiryczną, wydaje się, że dotyka zjawisk, których doświadczalnie na razie wykryć nie jesteśmy w stanie. Dlatego tak silny jest opór przeciwko niej ze strony zwolenników skalpela i pigułki. Tradycyjna teoria akupunktury zakłada, że w organizmie istnieje energia dwóch rodzajów: wewnętrzna i odrębna, specyficzna energia *qi* (czyt.: czi), przy czym obie krążą własnymi kanałami, zwanymi merydianami. Jest ich 12 par. Ochraniają poszczególne narządy. Energia wewnętrzna powstaje z dwóch składników: ziemskiego (przetworzone pokarmy) i kosmicznego (powietrze). Wzajemne ich oddziaływanie daje energię wewnętrzną, która, w wyniku stałej równowagi, krąży merydianami.

— Czy działamy więc na materię fizyczną, czy na energię?

— Akupunktura to złożony mechanizm, w którym działając na punkty, zawory, aktywizujemy mechanizmy bioenergetyczne, a równocześnie towarzyszy temu szereg zjawisk natury odruchowej i fizycznej. Z badań wynika, że działania te naprawiają zakłóconą czynność układu autonomicznego i za jego pośrednictwem normalizują czynność narządów ciała. W ten sposób akupunktura działa leczniczo na drodze odruchowej, przede wszystkim za pośrednictwem układu wegetatywnego. Dochodzi do rozszerzenia drobnych tętniczek i naczyń włosowatych, w chorym narządzie i w chorej tkance poprawia się krążenie krwi. Dzięki temu dochodzi do „oczyszczenia" chorego narządu i chorej tkanki z metabolitów i do jej odkwaszenia, a ponadto do dobrego odżywienia i utlenienia. Wykazano też, że hamowanie bólu bodźcem z nakłucia odbywa się na trzech piętrach układu nerwowego: w rdzeniu kręgowym, w pniu mózgu i korze mózgowej; przez nakłuwanie pobudzamy układ podwzgórzowo-przysadkowo-nadnerczowy otrzymując podobne działania, jak przy zastosowaniu ACTH.

— Jeśli skutki działania akupunktury mogą być tak rozległe i tak głęboko sięgające w procesy życiowe organizmu, nieumiejętność jej stosowania może przynieść wiele szkód.

— Nie ze strony lekarzy, bowiem do kursów akupunktury dopuszczani są dopiero po uzyskaniu drugiego stopnia specjalizacji. Jedynie w przypadku upowszechnienia jakichś popularnych „map" akupunktury można by spodziewać się nadużywania kłucia czy masowania niektórych punktów. Co innego w Chinach, gdzie np. zmęczeni żołnierze w czasie przerwy w marszu nakłuwają siebie sami lub nawzajem w miejscach pobudzających energię i zwiększających wytrzymałość. Tam akupunktura jest odwieczną medycyną ludową, stosowaną wobec siebie przez domowników, a zabiegi dotyczą zaledwie kilkunastu punktów. Oczywiście inaczej traktowaną jest akupunktura przez specjalistów: nie jako instrumentalny zabieg, ale część filozofii życia, przyrody, ciała i duszy człowieka.

— Czy nie jest to przypadkiem dorabianie głębi do spraw w gruncie rzeczy prostych? Kwieciste nazwy punktów, jak „Wrota Niebios", „Boska Pogoda Ducha", „Energia Świata", „Trzy Kumoszki" czy „Azjatycki Spokój", są śladem chińskiej skłonności do nazywania rzeczy w przenośni. A owe drogi energii w ludzkim ciele — merydiany, których przecież nie można wypreparować, jak choćby nerwu, czy to nie rezultat dawnej niewiedzy?

— Gdyby tak było, spełniałaby się wizja Włodzimierza Sedlaka, jaką zarysował w książce, „Homo electronikus", gdzie tak pisze: „przy określaniu nie tyle różnic, co analogii między życiem i świadomością stwierdzono, że psychologiczne pojęcie świadomości, wyprowadzone zresztą z fizjologii zmysłów, jest bardzo mylące w odniesieniu do kwantowych podstaw życia. W nich świadomość i życie zbiegają się i razem noszą cechy energetyczne". Przed rokiem byłem w Korei, gdzie uczestniczyłem w międzynarodowym spotkaniu akupunkturzystów; obserwowałem wiele zabiegów w ośrodku prowadzonym przez ich sławnego profesora, ale najbardziej zafrapował mnie sposób podejścia do stosowania akupunktury w przypadku choroby, którą nazywano „zimnymi wiatrami" w ciele chorego. Koreańczycy wyróżniają kilkadziesiąt zaledwie punktów na merydianach (Amerykanie aż dwanaście tysięcy), otóż miałem możność uczestniczenia w filozoficznym traktowaniu celu zarówno jako diagnostyki, jak i terapii. Tam, u źródła akupunktury, ogromne znaczenie przywiązuje się do medytacyjnych podstaw leczenia. Kilkadziesiąt igieł, ale używanych niebywale subtelnie, daje niezwykłe efekty. Trochę przypominało mi to strojenie jakiegoś mechanizmu, którego budowa i zasady działania są nieco odmienne w każdym egzemplarzu. Dlatego trzeba się uczyć akupunktury nie tylko jako systemu nakłuć pewnej liczby punktów na ludzkim ciele, ale także jako filozofii, która leży u podstaw tej dziedziny wiedzy. Merydianu rzeczywiście nie można wypreparować z ludzkiego ciała, natomiast już dziewięć lat temu doktor Hiroshi Motoyama opatentował w Stanach Zjednoczonych aparat do pomiaru stanu merydianów i stanu odpowiadających im narządów wewnętrznych organizmu: Jest to komputer, który dzięki 28 czujnikom w ciągu pięciu minut podaje diagnozę całego ciała. Czujniki przykłada się w miejscach końcowych merydianów, nazywanych z japońska *seiketsu*, a komputer odczytuje wartość prądu przepływającego wzdłuż każdego merydianu, analizuje zaburzenia równowagi elektrycznej i wskazuje punkty, w których należy przeprowadzić zabieg. Doktor Motoyama potrafi przewidzieć, co będzie wskazywał komputer w czasie przeprowadzania zabiegu. Akupunktura zyskała w ten sposób nie tylko wyraz doświadczalny, tym w końcu jest jej skuteczność, ale potwierdzenie teoretycznych założeń.

Doktor Szczęśniewski zajmuje się akupunkturą od lat pięćdziesiątych. Jeszcze na studiach zainteresował się nią poznając historię medycyny. Przed dwudziestu z górą laty, odbywając podróże zagraniczne, szukał kontaktu z uprawiającymi ją lekarzami. Odwiedził Kiszyniów, Odessę, Chicago, zyskał aprobatę dla swoich zainteresowań, teoretyczne informacje i wskazówki. Nigdzie jednak nie zademonstrowano mu tej sztuki praktycznie, już to tłumacząc się wstydliwością pacjentów, już to obawą przed naruszeniem ich prywatności. Dopiero w Polsce, na kursach zorganizowanych przez profesora Zbigniewa Garnuszewskiego (pierwszy w 1959 r.), miał okazję rozpocząć poznawanie praktyki nakłuwania. Pierwsze próby terapii rozpoczął w Kołobrzegu w 1977 r., a od pięciu lat stosuje leczenie akupunkturą.

— Posiadam trzeci stopień specjalizacji, ale często staję bezradny wobec różnych przypadków schorzeń. Wtedy odwołuję się do akupunktury i uzyskuję, niewielką choćby, poprawę. A w każdym przypadku osiągam znieczulenie, co jest jedną z form leczenia tak uciążliwych dolegliwości, jak mięśniowo-stawowe. Oczywiście, nie poprawię słuchu, jeśli jest zniszczony lub nie istnieje jego organ. Do pozytywnych efektów leczniczych zaliczam także poprawę poziomu różnych substancji w organizmie, co hamuje postępy choroby, choć nie likwiduje jej.

— Czy stosuje ją Pan na sobie?

— Wielokrotnie. A jeśli idzie o schorzenie prawego kolana, z doskonałym rezultatem. Zdarzyło mi się także skutecznie uśmierzać sobie ból zęba, a także ratować w ciężkim zatruciu pokarmowym. A pan jak się czuje? — spytał, wiedząc o zatruciach w stołówce sanatorium, z której korzystałem.

— Niewyraźnie i coraz gorzej.

— Odtrujemy pana. Proszę się rozebrać i położyć.

Po zabiegu poczułem się lepiej, a następnego dnia złe samopoczucie żołądkowe zaczęło ustępować. Ale przyjmowałem też enteroseptol i węgiel. Nie wiem więc, czemu zawdzięczać to, że nie uległem chorobie do końca. Wiem tylko, że dotknięci nią skarżyli się na dolegliwości dłużej niż ja. Jeśli zaś idzie o pewne testy dotyczące wpływu akupunktury na moje samopoczucie, wypadły one zadziwiająco zgodnie z zamierzonymi, choć nie zdradzanymi przez zabiegiem, skutkami. Za całkowicie wiarygodne uznać więc muszę wyznanie jednej z pacjentek (a była to pani nie należąca do szczebiotek), że po jednym z zabiegów zaczęła się śmiać. Kiedy powtórzyło się to jeszcze dwukrotnie, spytała doktora, co może być tego przyczyną. „Już trzy razy nakłułem punkt radości życia — odpowiedział. — Dziwiłem się, że nie ma reakcji, ale okazuje się, że jest."

Lekarzy z uprawnieniami do wykonywania akupunktury jest w Polsce ponad stu (może stu trzydziestu). Miesięcznie przybywa kilku; minister zdrowia, uznając akupunkturę za jeden z działów medycyny, zalecił powołanie w każdym województwie jednej choćby poradni refleksoterapii, jak ogólnie nazywa się w naszym języku takie sposoby leczenia. Początek został zrobiony. Byleśmy tylko nie ulegli nastrojowi „polskiego spokoju", że mamy dobre zarządzenie. Bo „azjatycki spokój" płynący od srebrnej igły — polecam. Od czasu do czasu bardzo nam się może przydać.

przezemnie

Kartka z pamiętnika

Rękawiczki

Na święta jechałyśmy razem z mamą do cioci do Warszawy. Kiedy wjechałyśmy schodami do wielkiej poczekalni, wypadły mi z rąk rękawiczki. Natychmiast schyliłam się, by je podnieść, ale szybsza ode mnie była jakaś duża, brązowa ręka. Kiedy wyprostowałam się, zupełnie zbaraniałam: przede mną stało chyba z tuzin Murzynów, a jeden z nich trzymał moje czerwone rękawiczki. Nigdy ich tylu nie widziałam, nigdy nie stałam tak blisko Murzyna, więc teraz kompletnie zaniemówiłam i tylko bezradnie wyciągałam rękę po swoją zgubę.

A znalazca uśmiechnął się do mnie bardzo biało i coś powiedział po angielsku Oczywiście, nic nie rozumiałam, ale jego koledzy pokazali mi na migi, że on chce się ze mną zamienić rękawiczkami. Cóż mógł widzieć pięknego w tych starych, wełnianych „łapkach". Nie potrafiłam jednak zaprotestować, więc skinieniem głowy zgodziłam się. Otrzymałam piękne skórzane rękawice z jednym palcem. Radośnie podziękowałam, pożegnałam się i z przerażeniem zauważyłam, że zgubiła mi się mama. Byłam już bliska płaczu, kiedy spostrzegłam ją — stała z boku, wszystko widziała i śmiała się z mojej przygody.

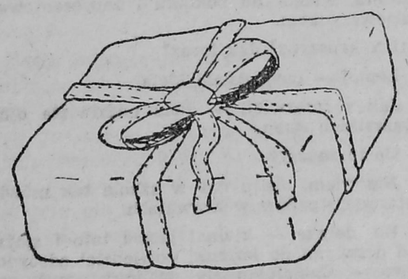

Łzawa wigilia

Już ponad pół roku nie było w domu tak uroczystego nastroju, jak tego dnia. Nawet mama — zawsze smutna — od rana nuciła ciągle tę samą kolędę, chociaż był jeszcze dzień, „Wśród nocnej ciszy" rozlegało się po mieszkaniu.

Nie mogliśmy doczekać się wieczoru i pierwszej gwiazdy. Już była ubrana choinka i nawet nakryty stół, a ona dopiero wyszła. Wtedy zapukał do nas gwiazdor.

Mój młodszy braciszek zląkł się dziwnego gościa i schował za mamę. Hania też miała niepewną minę, więc gwiazdor zwrócił się do mnie z pytaniem: co chciałabym dostać. „Chciałabym, żeby był z nami tato i aby było w domu tak wesoło, jak kiedyś, ale on mi tego nie da, więc nie chcę nic" — pomyślałam. Gwiazdor był zaniepokojony moim milczeniem i wręczył mi „W pustyni i w puszczy" z torbą słodyczy.

Hania opanowała już strach i pokrzykiwała, że zawsze marzyła o lalce z długimi włosami. I właśnie taką otrzymała. Krzysio, trzymając mamę za łokieć, wysplenił, że chciałby mieć duży samochód, bo tatuś już mu dawno obiecywał taki kupić. Dostał samochód, ale wtedy coś się stało i w nasze czarne sweterki zaczęły wsiąkać łzy...

„Con amore"

W szkole zwykłe nudy i straszenie egzaminami wstępnymi do szkół średnich. Byłam pytana z polaka — dostałam czwórkę. Na jutro „Pitagoras" zapowiedział sprawdzian z matmy.

Agata znowu wymyśliła sobie jakieś kłopoty: unika Michała. Ani ja, ani chyba również ona, choć jest moją przyjaciółką, nie wiemy, dlaczego tak postępuje. Przecież i jej, i Michałowi tak bardzo zależy na tej przyjaźni. Czy teraz też powinnam ich z sobą pogodzić?

Telewizja wyświetliła wspaniały film — „Con amore". Jeżeli oboje go oglądali, bez mojej pomocy dojdą do porozumienia. A ja zastanawiam się nad tym, dlaczego tak różnie układają się ludzkie losy. Czasami ktoś, wydaje się, że wcale na to nie zasługuje, zasypywany jest szczęściem, a inny — uczciwy człowiek — spotyka się tylko z kłopotami.

Dzięki filmowi poznałam miłość prawdziwą i upozorowaną. Zazdroszczę filmowej Ewie takiego chłopca, jakim jest Andrzej, zresztą pewnie nie tylko ja. Andrzej zafascynował mnie absolutnie. W gronie swoich znajomych szukałam takiej postaci, ale, niestety, nie znalazłam. Myślę, że tylko dobry człowiek może tak bardzo kochać kogoś drugiego. I chyba przez miłość w każdym z nas budzi się ta dobroć. Potrafimy wtedy zrezygnować z własnych radości, martwić się niepowodzeniami drugich jak swoimi, być bezinteresowni i szczerzy.

cie nie bały się, nie czuły samotne, no i nie siedziały do rana.

Wszystko to mama mówiła przebierając się w łazience. Dziewczynki westchnęły tylko na wiadomość o wizycie pani Kozłowskiej, ale nie protestowały. W tym roku, jako nastolatki, miały prawo bawić się aż do północy. Poprzedniego Sylwestra rodzice i ciocia Kasia z mężem oraz wujek Henio z jakąś panią spędzali w domu, więc dziewczynkom udało się dotrwać do północy na szalonej zabawie w bal. Dzisiaj miały całe mieszkanie dla siebie i swoich pomysłów. Dla pani Kozłowskiej zaplanowały także specjalną rolę.

— Melu, to ty nakroiłaś tyle ciasta czy Pola? I rogal z dżemem, i serwetki? Był ktoś, koleżanka?

— Ja nic nie kroiłam — zawołała z kuchni Pola. — Ale coś bym zjadła.

— To wszystko zeschło — biadała mama.

— Myślałam, że zjem, ale zapomniałam — niepewnie tłumaczyła się Mela.

— Zapomniałaś? Dobra jesteś, żebyś tylko kiedyś nie zapomniała całkiem o jedzeniu, bo umrzesz z głodu. A teraz sprzątnij to, bo ja już jestem zajęta relaksem — powiedziała mama i obłożywszy twarz płatkami gazy, którą czymś nasączyła, ułożyła się na narożnikowym tapczanie.

Mela zabrała talerz, łyżeczki, poskładała serwetki i rzuciwszy okiem na filiżanki z niedopitą herbatą, wstawione pospiesznie na swoje miejsce w oszklonej szafce poszła do pokoiku. Tak nazwała pokój dziewczynek babcia Stasia, kiedy odwiedziła ich po raz pierwszy. — Och, jaki słodki pokoik — powiedziała wtedy — całkiem jak ciasteczko od Bliklego. — Babcia Stasia miała nieograniczoną ilość dziwnych porównań i powiedzeń. W młodości uczyła się w prywatnej szkole rzemiosł artystycznych w Warszawie i chociaż przez całe życie pracowała jako pielęgniarka, zachowała niezwykłą fantazję i ostry język. Tato Poli i Meli był jedynym jej synem. — Niestety — mawiała niekiedy, oczywiście żartując — urodził się Karol, a ja tak chciałam, żeby to była Karolina. Myślałam tylko o posiadaniu córek, tymczasem przyszło na świat chłopaczysko. Ale on za to ma dziewuszki. Ty, Asiu — zwracała się do mamy — spełniłaś moje marzenia. Tylko bliźniaczki to tak, jakby jedna, przydałaby się jeszcze dwójka. — Tato słysząc to wychodził do innego pokoju i udawał bardzo zagniewanego. A może nie całkiem udawał?

W pokoiku siedziała Pola i zajadała wielką piętkę świeżego chleba, posmarowaną smalcem z cebulą.

— Pójdziemy na sanki? — wyciamkała niewyraźnie.

— Możemy, ale już ciemno.

— Jak nie chcesz, to będziemy robić sukienki na wieczór. Teraz mama leży, taty jeszcze nie ma, to nikt nie będzie widział, co chcemy zrobić. A może ty już zrobiłaś? — zaniepokoiła się nagle.

— Nie, nie miałam czasu.

— A co robiłaś?

Mela nie odpowiedziała. Pola patrzyła na nią marszcząc czoło.

— Wiem, byli u ciebie z klasy, z życzeniami?

— Nie.

— Ale ktoś był?

— Był, albo nie.

— Mela, masz dzisiaj imieniny i urodziny, więc muszę być dla ciebie dobra, ale nie bądź ta co ryje, no powiedz.

— Powiedziałabym, ale to tajemnica.

Teraz milczała Pola.

— Bo ten, kto był, nie chciał, żeby wam o tym mówić.

Pola nie odwróciła nawet głowy.

— Mogę ci powiedzieć, ale jak obiecasz, że nie wygadasz.

— Przysięgam — z największą powagą powiedziała Pola i nawet uderzyła się w pierś prawą dłonią, z której najpierw przełożyła do lewej pokaźnie już nadgryzioną pajdę.

— Był... — wyczekała chwilę, patrząc uważnie w oczy siostry — wujek...

— Henio?! — krzyknęła Pola.

Mela zgromiła ją wzrokiem.

— Dziewczynki, nie sprzeczajcie się, dajcie mi odpocząć — doleciał do nich głos mamy.

— I co ci przyniósł?

Mela zrobiła wielkie oczy. Zupełnie zapomniała, że wujek, gdyby przyszedł, na pewno przyniósłby jakiś prezent.

— Nic — odpowiedziała półgłosem. — Bardzo się spieszył — ciągnęła myśląc pospiesznie, co odpowiedzieć Poli. — Przyjdzie po Nowym Roku...

— Dla mnie też nic nie zostawił?

— Też nie. Ale pamiętaj, nie mów mamie ani tacie.

— Pewnie, że nie powiem. Tylko czemu on jest taki dziwny?

— Nie wiesz, jaki jest?

— Wiem, on zawsze coś wymyśli.

W drzwiach zachrobotał klucz.

— Tato! — krzyknęły razem i pobiegły do przedpokoju.

— Cześć, kruszyny — powitał je pan Laskowiak i zaraz dodał: — Tylko żadnych skoków i wieszania się na szyi, bo potłuczecie mi zakupy — cmoknął w policzek Melę — sylwestrowe i noworoczne — pocałował Polę. — Jest mama?

— Jest, ale jej nie ma — Pola wzięła od taty dużą torbę. — Daj, zaniosę do kuchni.

— Pokaż, pomogę ci — Mela chwyciła niewielki karton. — Mama się czymś obłożyła i się odświeża w dużym pokoju. Ale jest ładna, tato, takiej jeszcze nie widziałeś! Była u pana Ludwika.

— Musisz skarżyć, Melu? — doleciał głos mamy.

— Ja cię chwalę.

— Wiem, wiem, bardzo mi miło, ale na razie proszę tu nie wchodzić. Karol, słyszysz?

— Tak, kochanie — odpowiedział idąc do łazienki. — A jest coś do jedzenia?

CIĄG DALSZY NA STR. 5

ZIMOWE RYMY

Właśnie ojciec kiwa na matkę,
że już wyszła Gwiazda na niebie,
że czas się dzielić opłatkiem,
więc wszyscy podchodzą do siebie
i serca drżą uroczyście
jak na drzewie przy liściach liście.
Jest cicho. Choinka płonie.
Na szczycie cherubin fruwa.
Na oknach pelargonie
blask świeczek złotem zasnuwa,
a z kąta, z ust brata, płynie
kolęda na okarynie:
Lulajże, Jezuniu,
moja perełko,
lulajże, Jezuniu,
me pieścidełko.

KONSTANTY ILDEFONS GAŁCZYŃSKI

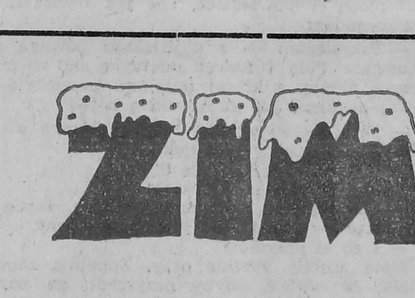

Jestem grudzień, mroźny pan,
szczypię w uszy — mówię wam.
Na co dmuchnę, to zamrożę,
nic wam wtedy nie pomoże.
Każde dziecko lubi mnie
i na sankach mknie,
Bo ja jestem grudzień-mróz,
wiozę śniegu wielki wóz.

ADAM ŚWIĘCKI, kl. VI
Zambrów

Dzwonił budzik od rana:
— że już herbata nalana,
— że Ola jeszcze ziewa,
— że ptaszek za oknem śpiewa.
A wieczorem zaszła zmiana:
— że zima będzie bez bałwana,
— że przycisną srogie mrozy,
— że na sanki wyjdą kozy.

KRZYSZTOF KRUSZEWSKI, kl. VII
Grądy Woniecko

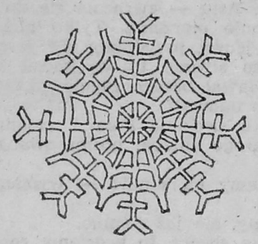

I nadeszła piękna dama,
cała z bieli usypana.
Z lic jej bladych chłodem wiało,
gdzie spojrzała, było biało.

Dłonie miała przezroczyste,
jak z kryształu — bryły szkliste.
I wór wielki w nich trzymała,
z niego śnieg wysypywała.

Włosy jej to sople lodu,
zmarzłe od wielkiego chłodu.
A na białym nosa brzegu
przysiadł właśnie płatek śniegu.

ELIZA SAMACKA, kl. VIII
Zambrów

CIĄG DALSZY ZE STR. 3

— Nie byłeś w stołówce?
— Nie miałem czasu. Pikuś znowu nawalił.
— Ojej, więc nie pojedziemy za miasto? — twarz Meli, która zatrzymała się przy drzwiach do łazienki, wydłużyła się smutnie.
— Z Pikusiem zawsze tak, jak mamy się gdzieś wybrać. Jutro święto, pojutrze niedziela i będziemy siedzieć w tym domu — Pola była zła i zrezygnowana.
— A co się stało? — w głosie mamy też nie było sympatii dla „malucha".
— Raz pali, a raz nie. Myślałem, że to zapłon, ale okazało się, że jest w porządku. Wymieniłem filtr powietrza i ruszył, a kiedy wjeżdżałem na osiedle, znowu zaczął fiksować. Jutro sprawdzę, co to.
— Jutro? Po balu? — mama była szczerze ubawiona.
— Po południu, przecież nie będę spał cały dzień. I pamiętaj, że wieczorem będziemy mieli gości.
— Dobrze, ale na razie o niczym nie chcę pamiętać. Dziewczynki, pomóżcie tacie zrobić coś do jedzenia.

I popołudnie, i cały wieczór płynęły u państwa Laskowiaków w ten jedyny sposób, niepodobne do innych popołudni czy wieczorów w pozostałe 364 dni roku. Każdy zajmował się sobą, ale tak, że drudzy nie bardzo wiedzieli, co on robi. Pani Laskowiakowa zamknęła się w łazience, obiecując, że nie zwolni jej prędzej niż za dwie godziny. Pan Laskowiak wyjął z szafy dwa garnitury i szczotkując je, a potem prasując spodnie wzdychał, mruczał coś do siebie tak głośno, że Pola i Mela, choć zajęte przygotowywaniem strojów na swój bal, co kilka minut zerkały do kuchni robiąc do siebie pytające i zdziwione miny. Wszyscy byli tak zajęci, że nikt nie pomyślał o włączeniu telewizora i tylko radio kuchenne bzykało jakąś muzyką.

Wreszcie, po godzinie chyba, pan Laskowiak wszedł do dużego pokoju, zapalił wszystkie światła i z wyraźnym zadowoleniem oświadczył:
— Ślubny smoking jest za mały! Chyba skurczył się w szafie, zobacz, Asiuniu.

Pani Laskowiakowa, owinięta w kąpielowy ręcznik, wyjrzała z łazienki.
— Pokaż się, nie mogę gola latać po mieszkaniu — i spojrzawszy na wystrojonego męża dodała. — Przytyło się, Karolku.
— A może tato jeszcze rośnie — z powagą zastanowiła się Mela.
— Wygląda jak kelner — stwierdziła Pola i wróciła do pokoiku.
— Pola ma rację. Nie pójdę w tym. Najchętniej założyłbym dżinsy i kraciatą koszulę.
— Do mojej balowej sukni?
— To wezmę garnitur.
— Przecież nie masz.
— Jak to? A ten od twoich rodziców?
— Boże... — westchnęła pani Laskowiakowa i wróciła do łazienki. Po chwili jednak uchyliła drzwi.

— Chociaż, jeśli idzie o kolor, to nawet mógłby być, tylko fason...
— Będzie modny w przyszłym roku, zobaczysz, a ja będę pierwszy. Raz Laskowiak będzie najmodniejszy.

Kiedy przebrał się w ubranie sprezentowane mu przed kilku laty przez babcię Annę i dziadka Józefa, wszedł do pokoiku i zaprezentował się dziewczynkom.
— No, kruszyny! Jak teraz?
— Lepiej — powiedziała Mela.
— Jak z Interwizji — Pola podziwiała ojca ze wszystkich stron.
— Co to znaczy?
— Nie wiem, ale u nas w szkole tak mówią na starszych panów w krawatach.
— No, dobrze — kiwnął głową tato i stojąc przed drzwiami do łazienki powiedział zdecydowanie: — Chciałbym się ogolić i umyć, czy przed dziesiątą będę mógł?
— A która teraz?
— Osma.
— Co? — w głosie mamy było kilka pytajników i wykrzykników.
— Ojej, a dobranocka?! — zmartwiła się Mela.

Tato dał jej znak, żeby była cicho, i wskazał na zegarek.
— Dochodzi siódma, ale muszę mamę popędzić — powiedział cicho. — Nie włączajcie za głośno, dobrze?

CIĄG DALSZY NA STR. 7

TELEGRAM

W miejsce kropek wpiszcie odpowiednie samogłoski tak, aby można było odczytać treść telegramu.

WIRÓWKA

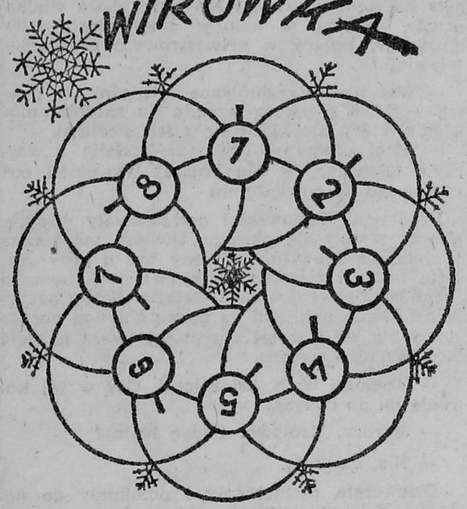

Hasła odgadnięte z poniższych określeń wpiszcie w wirówkę zgodnie ze wskazanym kierunkiem: 1) zjeżdżasz na nich z góry po śniegu, 2) drzewo iglaste, 3) zwisający kawałek lodu, 4) wybrany król do czasu koronacji, 5) robotnik w tkalni, 6) nakrycie głowy, 7) opryszek, chuligan, 8) zarys, plan, projekt.

Zagadka

Z połowy łyżki, z połowy kawy —
na lodzie śliskim dużo zabawy.

„Kontakciki" redaguje MARIA BAUCHROWICZ-TOCKA.
Rysunki STANISŁAWA TOMASZKA.

MAGICZNY BAŁWAN

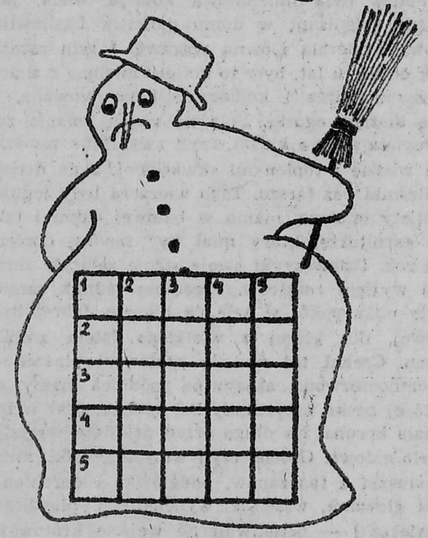

Do pól rysunku, poziomo i pionowo, wpiszcie wyrazy o podanych znaczeniach: 1) piosenkarka polska, 2) roślina ozdobna, pochodząca z Meksyku, 3) część pociągu, 4) imię dziewczynki, 5) przekop łączący koryta rzek.

GWIAZDA GEOGRAFICZNA

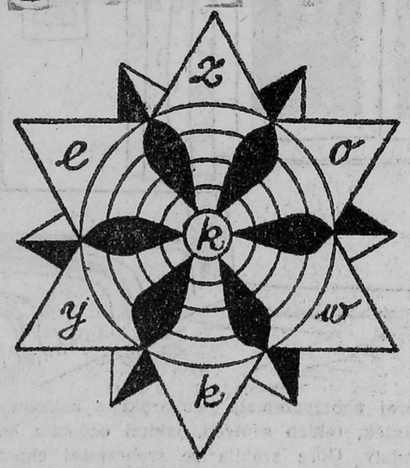

Do wolnych pól wpisz litery tak, aby czytane od środka — wraz z literą „K" — tworzyły nazwy 6 miast polskich.

Za przynajmniej dwa poprawne rozwiązania głowołamanek, nadesłane do 15 stycznia 1986 roku, zostaną rozlosowane nagrody książkowe.

głowołamanki

kontakciki

MAGAZYN DLA DZIECI

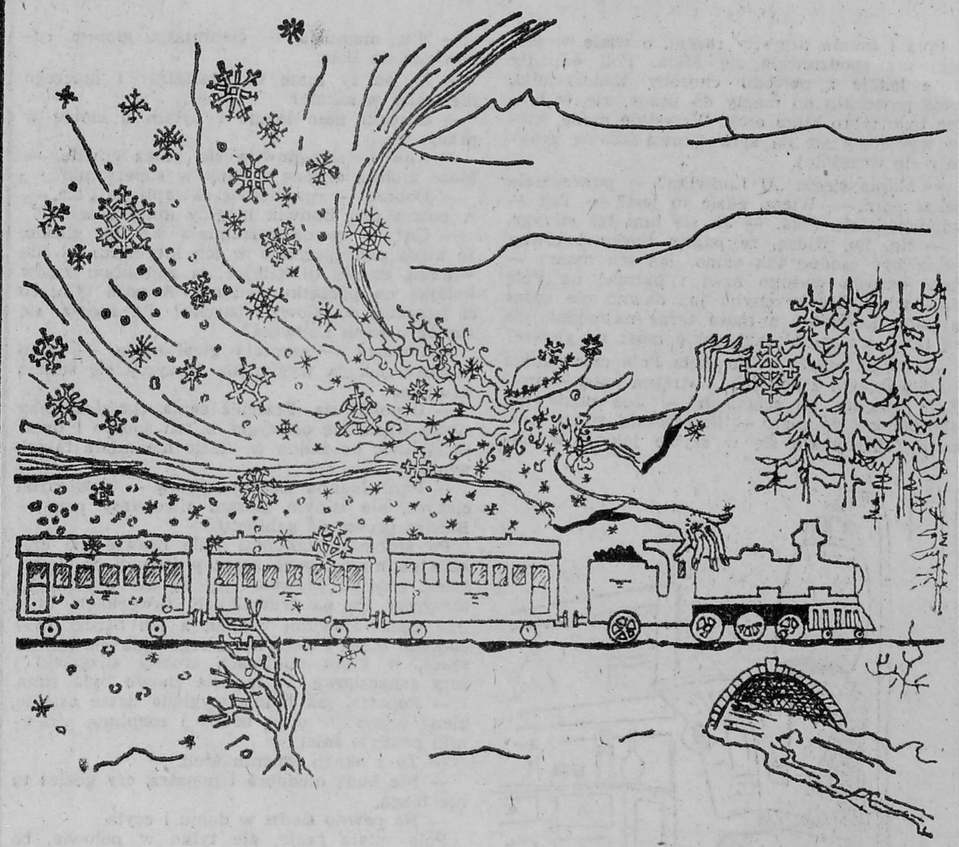

Przyszedł śnieg na stację
i głośno powiedział:
— Chciałbym kupić bilet
i zamówić przedział
albo
cały wagon
z miejscami do spania.

Bo muszę pojechać
z Kutna do Poznania.
— A jaki by panu
wagon odpowiadał?
— Taki,
w którym bym jechał
i padał, padał, padał...

DOROTA GELLNER

WYJEDŹMY ZA MIASTO TATO

(FRAGMENT POWIEŚCI)

Pola i mama przyszły razem, o wiele wcześniej niż spodziewała się Mela. Poli odpadły dwie lekcje z powodu choroby nauczycielki, więc pojechała do mamy do pracy, ale w biurze było tylko kilka osób. Wszystkie panie, które wybierały się na sylwestrową zabawę, zwolniły się wcześniej.

— Mama siedzi „U Ludwika" — powiedziała jakaś pani. — Wiesz, gdzie to jest? — Tak — odpowiedziała Pola. — Ja się tam też strzygę.

— Ho, ho, widzę, że panny Laskowiakówny lubią być modne tak samo, jak ich mama — pani uniosła wysoko brwi i patrząc na Polę dodała: — Ale ty chyba już dawno nie byłaś u pana Ludwika, a może teraz najmodniejsze są takie zmięte kłaczki, jakie masz na głowie?

— To od czapki — szepnęła Pola czerwieniąc się i wybiegła z pokoju. „Wstrętna baba — myślała biegnąc po schodach. — Już nigdy nie odezwę się do niej. — Przeczesała włosy palcami i przejrzała się w szybie jakiejś wysta-

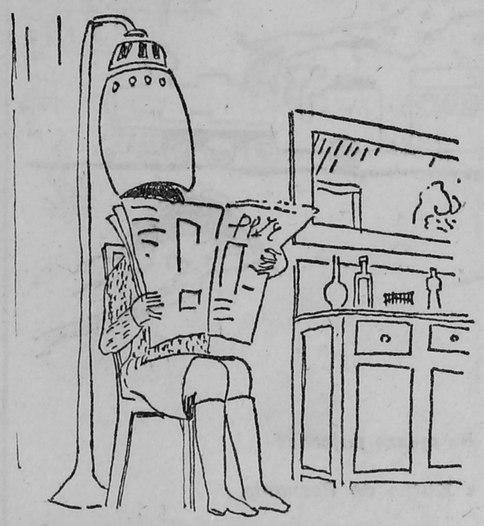

wy. — Czego ona chce? Ciocia Kasia ma taką samą fryzurę i wszystkim się podoba." Zaczął padać gęsty, mokry śnieg, założyła więc czapkę i kryjąc się pod daszkiem przystanku czekała na autobus. Kiedy dotarła do zakładu „U Ludwika", całe miasto było już białe. Tylko na jezdniach, pośrodku chodników i na przejściach dla pieszych ciemniała śliska chlapa.

— Mogłoby tak zostać — powiedziała do mamy — miałabym piękne urodziny.

— Najpierw imieniny Meli — mama siedziała z głową okręconą ręcznikiem i czekała na jakiś kolejny zabieg.

— Ona zawsze musi być pierwsza.

— Bo pierwsza się urodziła, ale przecież i tak wasze urodziny obchodzimy razem, w Nowy Rok, więc czego chcesz. Co cię ugryzło?

— Nic, mamusiu — cieniutkim głosem odpowiedziała Pola.

— A jak ty mnie tu znalazłaś? I dlaczego nie jesteś w szkole?

— Skrócili nam lekcje i byłam u ciebie w pracy.

— Aha — zastanowiła się przez chwilę. — Może zrobisz drobne zakupy w supersamie?

— Dobrze — zgodziła się skwapliwie Pola. — A potem pan Ludwik mógłby mnie uczesać?

— Co? — mama roześmiała się tak głośno, że kilka pań spojrzało w ich kierunku. — Nie widzisz, co się tu dzieje? Ja zapisałam się w kolejkę na początku grudnia. A poza tym, co ci przyszło do głowy, dziecko? Ty chcesz się czesać u pana Ludwika?

— Popatrz — szeptała gwałtownie — tylko popatrz, jak ja wyglądam. Wszyscy się śmieją ze mnie.

— Uspokój się. Przecież sama chciałaś, żeby ciocia Kasia cię ostrzygła w ten sposób i byłaś szczęśliwa, bo żadna w klasie nie miała takich włosów.

— Pani Joanna Laskowiakowa — powiedział cichym, ale silnym głosem siwowłosy pan. — Bardzo proszę do gabinetu.

Po zrobieniu zakupów Pola prawie nie czekała na mamę, więc zaraz pojechały do domu. Śnieg, chociaż zdawało się, że nie ma mrozu, utrzymał się na trawnikach, skwerkach, między tramwajowymi torami, a ich Strugi były całkiem białe. Dzieci, które tego dnia nie szły do szkół, w kilku miejscach zrobiły ślizgawki i tory saneczkowe. W mieście znowu była zima.

— Popatrz, jak ładnie wygląda nasze osiedle, kiedy wszystkie doły, brudy i zdeptane trawniki pokryje śnieg.

— To z okazji imienin Meli.

— Nie bądź niedobra i popatrz, czy gdzieś tu nie biega.

— Na pewno siedzi w domu i czyta.

Pola miała rację, ale tylko w połowie, bo Mela nie wyszła na dwór, ale też wcale nie czytała „Opowiadań zwierząt", które rano dostała w imieninowym prezencie. Kiedy otworzyła im drzwi, była zaskoczona.

— Już jesteście? — zdziwiła się. A kiedy rozbierały się, robiła coś pospiesznie w dużym pokoju. Po chwili, z książką w ręce, weszła do przedpokoju.

— Mamo — wykrzyknęła — jak ty prześlicznie wyglądasz.

Mama, wieszając szeroki szal, którym owinęła głowę, spojrzała do lustra i uśmiechnęła się.

— Naprawdę? — spytała.

— To fryzura zrobiona „U Ludwika" — z dumą powiedziała Pola.

— Tak? Będziesz podobać się wszystkim na balu.

— Nawet tacie? — mama przeglądała się w lustrze. Mela spojrzała na Polę i obie zgodnie wyrecytowały: — Tacie? Jemu musisz się podobać!

— Wobec tego czekamy na niego. Ja nic nie robię, odpoczywam, a potem zjemy kolację, imieninową oczywiście, ubierzemy się i znikamy. A do was wpadnie pani Kozłowska, żebyś

CIĄG DALSZY ZE STR. 5

Potem była imieninowa kolacja. Mela, jak każdy solenizant w domu państwa Laskowiaków, wybierała główną potrawę. I tym razem, jak od kilku lat, były to kotlety mielone z ziemniakami purée i koniecznie konserwowane, a nie kiszone ogórki. Pola na swoją kolację zamawiała śliskie kluski, czyli zwyczajne zacierki na wodzie z topionymi skwarkami, a na drugie naleśniki bez farszu. Tego wieczora były jednak kotlety mielone, mama w balowej sukni i tato w garniturze, który miał być modny dopiero za rok. Dziewczynki swoje stroje założyły zaraz po wyjściu rodziców. Przedtem jednak zamieniły duży pokój w salę na dworze dobrej królowej, dla której z wielkiego fotela zrobiły tron. Czekał też na nią królewski płaszcz — ciemnoczerwona, aksamitna spódnica mamy, do której paska przyczepiły lisi ogonek, oraz wspaniała korona. Na długo przed dziesiątą wszystko było gotowe. Goście, czyli wszystkie lalki, misie, poduszki z tapczanów, podgłówki z dorobionymi głowami, wszelkie wypchane i plastikowe zwierzaki — oczekiwali na wejście królowej i księżniczek. Obie wystrojone były jak nigdy dotąd. Mela miała, oczywiście, długą suknię zrobioną ze starej firanki w koronkowy wzór, do

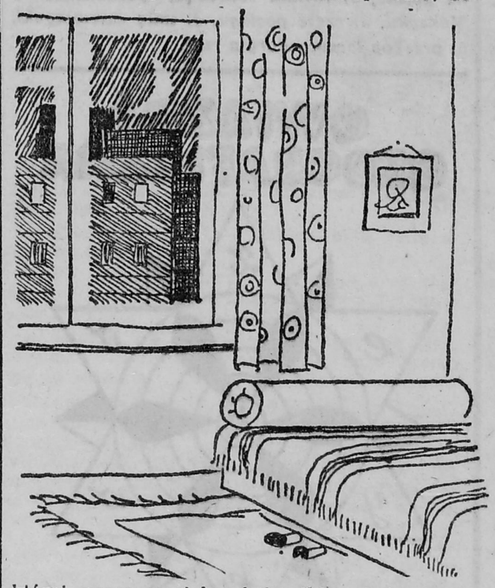

której poprzyczepiała kokardki z kolorowych wstążek, takich samych, jakimi ozdobiła białe sandały. Górę zrobiła ze srebrzystej chustki, którą podarowała jej mama. Włosy z pozszywanych czarnych frędzli. Nareszcie doczekała tego, że włosy spływały jej na plecy. Pola obmyśliła kreację zupełnie inną. Cała jej suknia składała się z kilku różnokolorowych spódniczek. Najmniejsza okalała szyję, następna przykrywała pierś, w pasie były aż dwie, różnej długości, a niżej — wąska spódnica mamy rozcięta po bokach. Na głowie kilka mini-warkoczyków zakończonych plastikowymi piłeczkami, każda w innym kolorze. Na lewej stopie miała czerwony, a na prawej zielony gimnastyczny pa-puć. Jedną tylko rzecz miały identyczną — srebrną gwiazdkę na srebrnej tasiemce opasującej głowę.

Przed dziesiątą zadzwonił gong przy drzwiach. Dały znak orkiestrze, aby przycichła, to znaczy ściszyły adapter grający w pokoiku, i wolno, kłaniając się, otworzyły drzwi.

— Co tak dłu... — zaczęła pani Kozłowska, ale zamilkła na widok dziewczynek.

— Witaj, Królowo Wesołej Nocy — usłyszała zgodny duet dziewczęcych głosów.

— Co? Ja? — roześmiała się. — Ależ wy macie fantazję. Bawicie się grzecznie?

— Królowo, prosimy, tron czeka — wyrecytowały, lecz dłużej nie mogły już wytrzymać sztuczności tonu, więc zaczęły zwyczajnie, jedna przez drugą, zapraszać, wprowadzać do pokoju i sadowić panią Kozłowską na fotelu.

— Ja tylko na chwilę. Tak, jak obiecałam rodzicom, że wpadnę ze dwa, trzy razy sprawdzić, czy za bardzo nie szalejecie — tłumaczyła sąsiadka, ale bez oporów siadła na fotelu i zerknęła na ciemny ekran telewizora. Miała wielką ochotę obejrzeć w kolorze amerykański film muzyczny, będący w sylwestrowym programie telewizji.

— Wszystko przygotowane i księżniczki proszą — Mela pierwsza wróciła do sposobu mówienia, który nie kłócił się z ich strojami.

— Król czeka — oświadczyła Pola i włączyła telewizor. — Ma Waszej Wysokości coś ciekawego do powiedzenia.

Brwi pani Kozłowskiej powędrowały w górę, a oczy zrobiły się okrągłe. Dopiero teraz zauważyła, że telewizor oklejony był u góry złocistą folią, a z szafki, na której stał, spływała jakaś bogato wyglądająca materia. Kiedy poczuła delikatnie nałożoną na głowę chłodną obręcz, domyśliła się i w tej chwili jej twarz nabrała królewskiego wyrazu.

— Dziękuję wam, księżniczki. Czy w tej koronie mi do twarzy?

— Bardzo, Królowo. Podać lustro?

— Nie, dziękuję.

Dziewczęta zachichotały i pomknęły do pokoiku. Pola w drzwiach zatrzymała się na moment: — Gdyby korona była niewygodna, proszę ją zdjąć.

Toast noworoczny wypiły z królową, z prawdziwych kieliszków, „Ptysiem". Pola wyjrzała za okno.

— Co tam? — zaciekawiła się pani Kozłowska.

— Chciałam zobaczyć, jak zmienia się rok. Ze starego na nowy, ale nie ma żadnej różnicy.

— Jak to nie ma, przecież Mela ma już jedenaście lat, a ty jeszcze dziesięć.

— Tak, teraz ty jesteś o rok młodsza i musisz mi usługiwać — z powagą powiedziała Mela.

— Ale to tylko przez kilkadziesiąt minut, bo zaraz i ty Polu będziesz miała jedenaście lat. Wszystkiego najlepszego, dziewczynki! — Pani Kozłowska objęła je obie i ucałowała.

Przez pół godziny zamieniały salę balową w swój pokoik, pościeliły łóżeczka i po bardzo krótkim myciu poszły spać. Przedtem jeszcze, w zamian za królewską koronę, wyprosiły u pani Kozłowskiej bajkę.

ADELA DROZDOWICZ

ZIEMIA — POWIETRZE

diabelski młyn

Udające dotąd pogłoskę wieści stają się faktem. Uroczyste otwarcie windy w bardzo poważnej instytucji wojewódzkiej nastąpi już wkrótce! Wbrew utartej procedurze i takimże obyczajom, czyli bez werbli i fanfar. I bez majowej czy też lipcowej gorączki. Natomiast w atmosferze rozsądku i zimnej kalkulacji, czemu pora roku sprzyja wyjątkowo, choć była już okazja przekonać się, że grudzień może być gorący, i to wcale nie ze względu na święta, które tak czy inaczej zaspokajają potrzebę ciepła, zwłaszcza rodzinnego, wyczerpując zarazem rezerwy finansowe. Często im bardziej wyczerpują, tym bardziej zaspokajają.

Zaplanowany, styczniowy termin uruchomienia windy z wielu powodów jest bardzo korzystny. Po pierwsze: jako jeden z nielicznych zapowiedzianych będzie dotrzymany. Po drugie: stanie się dobrym, mocnym wejściem naszego budownictwa w nową pięciolatkę. I to równie ze względu na po pierwsze, dobrze jest bowiem zaczynać bez poślizgów (vide: „Jak w poniedziałek, tak przez cały tydzień"), jak i samą rangę inwestycji.

Znajdą się — co prawda — niedowiarkowie, którzy, jak zwykle, będą wybrzydzać: „Styczeń? Niemożliwe!", lecz tych już z pewnością mniejszość, bo budowlani od dawna przekonują, że grudzień i styczeń pasują im jak żadne inne miesiące naszej strefy klimatycznej. I że do ich poczynań nadają się wprost c u d o w n i e.

Wbrew podszeptom złośliwców — ech, ci to dopiero mają pamięć! — przedsięwzięcie nie ma nic wspólnego z karuzelą, jak i diabelskim młynem, bowiem jego intencją jest zapewnienie zupełnie innego środka lokomocji czy też — schlebiając kulturze masowej, że się tak wyrażę — komunikacji.

Usytuowana w zaciszu kadrowych decyzji karuzela od lat paru wyszła jakby z mody, choć jej niegdysiejsze zasługi w dookolnym obiegu krzesełek (skąd, u diaska, to zdrobnienie?!) i osób są nie do przecenienia. Odsunięta nie w porę do lamusa, mimo że nie całkiem zapomniana, boć czasem mignie, to w Grajewie, to gdzie indziej, stała się jednak anachronizmem. Wszak prawo to ewolucji, że organ nie używany zanika. Niechęć do karuzeli wcale nie musi się przy tym wiązać z natręctwem wszelkich struktur i ciał poziomych. (Tak, tak, znam przynajmniej kilku, którzy cierpią z powodu stopy — płaskiej lub życiowej). Toteż spodziewać się można, że zmyślne to i ucieszne zarazem urządzenie nie wróci do łask bez pewnych, niezbędnych innowacji. Konstrukcyjnych oczywiście! Rezygnacja z łańcucha wydaje się konieczna; kto jednak zapewni, czy przyszłości aby nie wyznaczy tzw. fala?

Równie dawno, choć może i znacznie wcześniej, młyn, diabelski rzecz jasna, zniknął z pejzażu wesołych miasteczek, i miast takoż. Przede wszystkim od dawna przestał być ekonomiczny (naprzemienne wspinanie się i spadanie jest niepotrzebnie wyczerpujące), a i zabawny również. Bo i pomyśleć wystarczyło, by nabrać pewności, że te bezustanne obroty i podobnie niepokojące postoje musiały w końcu kogoś zirytować, o wyciągnięciu konsekwencji nawet nie wspomnę. Należało wszak ustalić wreszcie granice żartu i kompetencji!

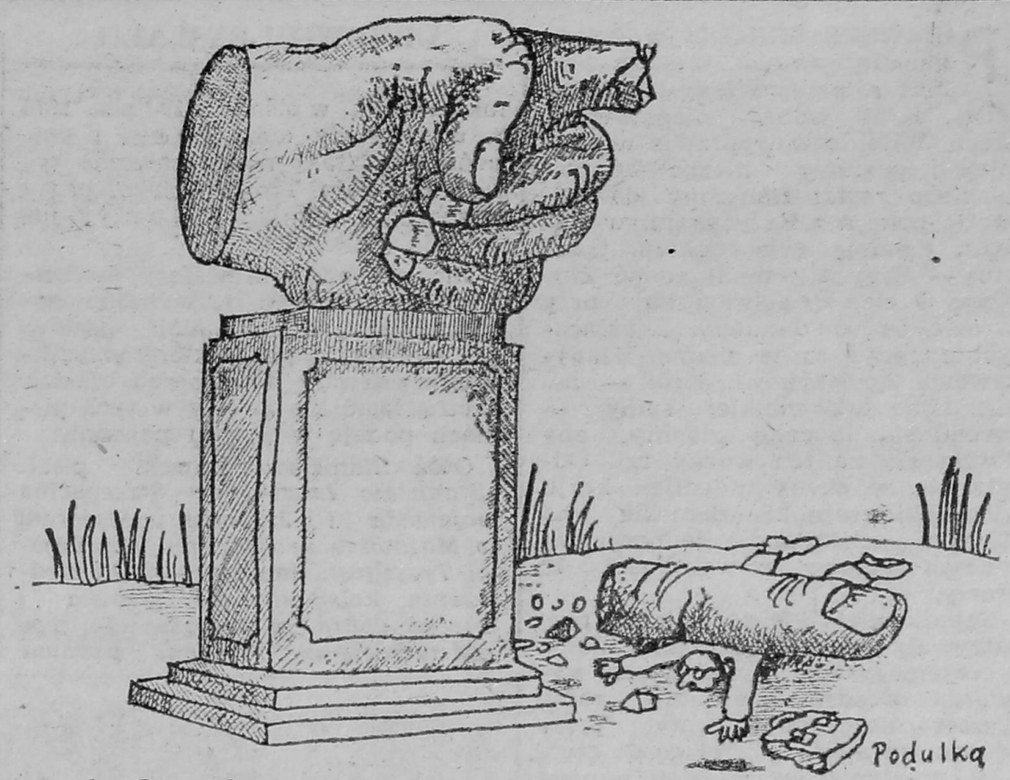

Istnieją wprawdzie szanse pojawienia się tego wehikułu(?) tu lub tam, ale prawdopodobieństwo, że będzie to w Warszawie czy Łomży, albo odwrotnie, jest podobne. Podobno niewielkie.

Po tzw. oczyszczeniu tzw. przedpola mogę wreszcie przejść do sedna i objawić, choć wielu się już z pewnością domyśliło, faktyczną intencję przyświecającą poczynaniom zmierzającym do uruchomienia windy w bardzo poważnej instytucji wojewódzkiej. Otóż ma ona, czyli winda właśnie, zapewnić właściwą łączność między górą i dołem, dołem i górą, nie wyłączając poziomów (a tfu!) pośrednich. Proste?

Nie od rzeczy będzie, przy tak świątecznej okazji, wspomnieć o innych pozytywach towarzyszących temu przedsięwzięciu. Na przykład, w porę zadbano o kadry, angażując — już! — specjalistycznie przygotowanych i oddanych sprawie fachowców, co za powszechnie obowiązującą zasadę uznać trudno. Nikogo więc chyba nie zdziwi, że od razu zapowiadam relację z pierwszych dni działania windy.

Z najlepszymi życzeniami kreślę się

Wasz
WINDZIARZ

P.S. Wakuje etat konserwatora.

CUDA OGŁASZAJĄ

Z mojej młodzieńczej pasji do lingwistyki pozostała mi niewątpliwie pewna wrażliwość na słowa. Z czasem dołączyło do niej, nabywane w dziennikarskim doświadczeniu, zainteresowanie faktami i rzeczywistością, w której się one dokonują.

Jednym z oswojonych i ucodziennionych słów jest „cud" i jego pochodne, mówiące o niezwykłości i niesodzienności. „Cudujesz" np. może znaczyć „opowiadasz rzeczy nieprawdopodobne", „cudowny" lub „cudny" — „niepowtarzalnie, niebiańsko piękny". Gdy się dziwimy, wykrzykujemy też chętnie: „Toż to cud prawdziwy!", „Jakim cudem?!" itp. Istnieje osiem cudów świata. Aż i zaledwie, bowiem od czasu do czasu jakiś obiekt lub zjawisko pretenduje do dziewiątego, bezskutecznie wszakże, bo cud jest cudem i wstęp do galerii osobliwości świata jest pilnie strzeżony.

W Polsce cuda były rzadkością, ale jednak zdarzały się. To właśnie pod ukraińskim Cudnowem cała armia rosyjska Wasyla Szeremetiewa poddała się w 1660 r. wojskom dowodzonym przez Jerzego Lubomirskiego i Rewerę-Potockiego. W polskim zaś Cudnowie, w manufakturze Sanguszków, w XVIII i XIX wieku produkowano przepiękne szlifowane naczynia.

W ostatnich czasach na żadne podboje terytorialne nie liczymy, w żadne cuda gospodarcze też nie uwierzymy. Ostał się jednak w ludzie naszym spory margines wiary. Zapewne w związku z tą niespożytkowaną pozostałością zapotrzebowanie na cuda znacznie wzrosło. W każdym szanującym się mieście czy województwie objawił się jakiś uzdrawiacz. Dzielą się oni, podobnie jak lekarze — na ogólnych i specjalistów, na skutecznych i nieskutecznych, na biorących i z powołania.

W dostępie do cudowności chorzy nie mogą być uprzywilejowani. Zdrowym też się coś należy. A że chcieć, to móc... Jak nie w Olecku, to w Nowym Dworze czy Oleśnicy ukazuje się Matka Boska lub krwawi krzyż.

Zawsze chciałam sprawdzić, czy i mnie udałoby się do tego dość szerokiego grona wybrańców wcisnąć. Jednakowoż lenistwo od lat walczy we mnie o lepsze z ciekawością, a rezultat tej walki wyznacza zmienną mej pracowitości. W 1981 roku już się wybierałam do Olecka, uprzedził mnie jednak redakcyjny kolega. I bardzo dobrze, bo doczekałam się cudu w Łomżyńskiem, konkretnie pod Miastkowem. Gdy dopytywałam się w siedzibie gminy o szczegóły, na ochotnika do odpowiedzi zgłosiła się grupka jedenastoletnich chłopców:

— O Rydzewo pani chodzi? O ten cud? — Potwierdzenie wywołało niezrozumiałe dla mnie salwy śmiechu. Przekrzykując się, opowiadali, jak to całą paczką „pojechali na cud".

Na lekcjach religii ksiądz opowiadał im o cudach, które czynił Jezus, i o tych, które przydarzyły się niektórym świętym. Wiedzieli, że cud to rzecz wielka i niepojęta. I bardzo chcieli go ujrzeć. W Rydzewie zobaczyli na oknie jakąś ciemną plamę i kupę ludzi w nią wpatrzonych. Jedna kobieta dopatrzyła się w tym Chrystusa w cierniach, inna — Matki Boskiej w koronie. Ale jak którejś zwidziało się, że Niepokalana Panienka pali papierosa, nie zdołali powstrzymać śmiechu. — A kompotu z makowin nie pije? — krzyknął któryś. Więcej komentarzy nie było, bo bezbożnicy zostali z niezwykłego miejsca przepędzeni. Wracali więc do Miastkowa piechotą, odpierając ataki rówieśników, którzy na znak dany im przez dorosłych — kijami i kamieniami bronili honoru rodzinnej wsi.

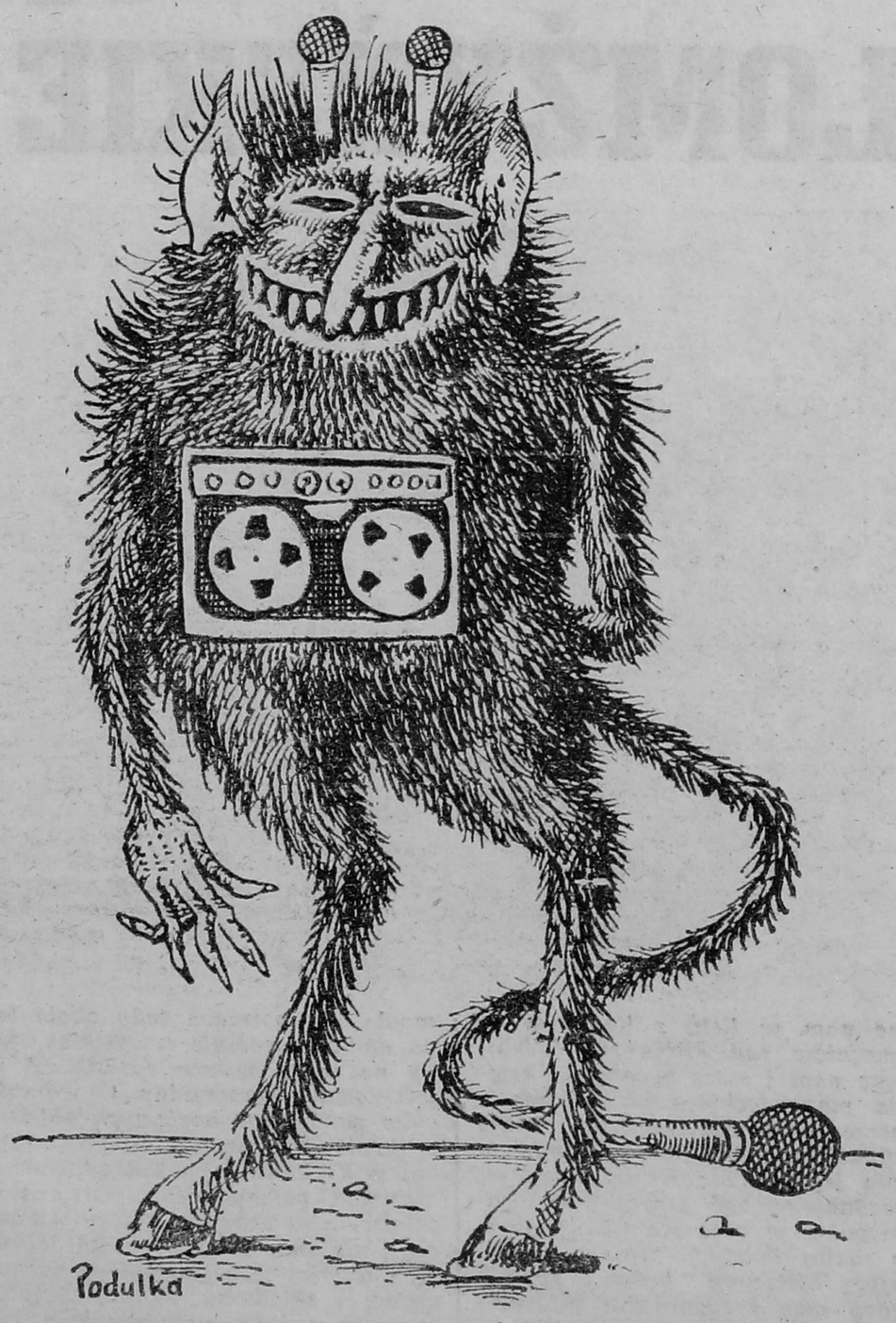

— Chłopaki z Rydzewa też na pewno w ten cud nie wierzą — przekonywali się nawzajem. Błahsze powody bywały przecież pretekstem do potyczek...

Mnie też odebrali ochotę na pielgrzymkę do Rydzewa.

— Taki cud zrobił też w naszej szkole jeden malarz. Szkoła była remontowana. Ten facet siknął na parę okien ciemną farbą. Ludzie zaraz się zlecieli na cud. Malarze tak się śmiali, że się strop o mało nie zawalił.

— A nauczycielki nie mogły rozgonić zbiegowiska. Ile tam matek uczniów się zleciało! Takiego zlotu na wywiadówki nigdy nie było.

— I nie będzie, bo na wywiadówkach cuda się nie zdarzają: o żadnym ośle pani nie powie, że jest orłem...

Pogadaliśmy sobie jeszcze uczenie o sprawach szkoły i wychowania, jako że uczniowie i nauczyciele są w tej mierze najlepszymi ekspertami. Na koniec poradzili mi jeszcze:

— Cudu w Rydzewie pani nie zobaczy, ale ciemnotę ludzką na pewno. Też zjawisko ciekawe...

Według encyklopedii — cud to *„zjawisko rzekomo nadnaturalne [...] odgrywało rolę zwłaszcza w starożytności i średniowieczu, często wykorzystywane przez przedstawicieli kultu religijnego jako instrument ich władzy [...] wiara w cuda w społeczeństwach cywilizowanych utrzymuje się jedynie w charakterze przeżytku kulturalnego".*

Współczesnym polskim cudem wydaje się żywotność owego przeżytku. Na korze drzewa, w jego korzeniu, w przepływających obłoczunku dla wyznawanej religii. Powszechność prymitywizmu rodzi smutne refleksje. Dobrze więc, że chociaż dzieciom pozostał jeszcze zdrowy rozsądek. W nich przecie nadzieja na światlejsze jutro.

kach czy plamie z farby, podobnie jak w zastygniętym plastrze stopionego wosku, dopatrywać się można wszelkich kształtów i obrazów. Niektóre z nich traktowano jako wróżby. Nazywanie ich cudem to już gruba przesada. Zaskakuje ten brak krytycyzmu, wyczucia śmieszności własnej i — niejednokrotnie — sza-

KAROLINA

refleksje

ŁOMŻYŃSKIE SEJMIKI

CZESŁAW BRODZICKI

PIERWSZE SEJMIKI w Polsce zapoczątkowane zostały w 1404 r. przez Władysława Jagiełłę. Król wobec niepowodzeń księcia Witolda w wyprawie wschodniej i postawy możnowładztwa polskiego został zmuszony do zawarcia pokoju z Krzyżakami w Raciążu. Zgodnie z warunkami traktatu — Krzyżacy mieli oddać Złotoryję i ziemię dobrzyńską przy zwrocie 54 800 dukatów, wypłaconych niegdyś za te ziemie Władysławowi Opolczykowi. Król — nie posiadając tak wielkiej sumy — zwrócił się do całej szlachty, aby złożyła się na ten ważny cel. Odbyły się wówczas w całym kraju szlacheckie sejmiki ziemskie, na których uchwalono jednorazowy podatek łanowy w wysokości 12 groszy.

Sejmiki ziemskie początkowo rozpatrywały propozycje królewskie, a z czasem zyskały sobie prawo wysyłania przedstawicieli do rady. Wzrost znaczenia szlachty przez sejmiki sprawił, że król coraz częściej odwoływał się do nich zamiast do rady królewskiej. Sejmiki zaczęły przejmować władzę lokalną, przede wszystkim obejmującą sądownictwo i skarbowość.

Wszystkie sejmiki można podzielić na elekcyjne i gospodarskie. Do elekcyjnych należały sejmiki służące wyborowi urzędników ziemskich i deputackie, na których wybierano sędziów, czyli deputatów do trybunału. Przedłużenie sejmików poselskich stanowiły relacyjne, na których przekazywano uchwały sejmowe i sprawozdania posłów z wykonania zleceń uprzednio im przekazanych w formie instrukcji sejmikowej; zajmowały się również sprawami administracyjnymi i gospodarczymi danej ziemi.

Pierwsi wybrani na sejmikach posłowie przybyli do króla na sejm w 1493 r. Regularny wybór posłów ustalił się dopiero od roku 1505. Szlachta przez swoich posłów starała się zdobywać dalsze prawa polityczne, które by jej dawały rzeczywistą władzę. Dążyła do tego, by sejm przyjmował za jedyne wytyczne opinie sejmików oraz by ich opinia uznawana była za wolę całej szlachty. Każda ziemia lub powiat równy ziemi miał prawo wyboru dwóch posłów na sejmiku. Ziemia łomżyńska, w skład której wchodziły cztery powiaty: łomżyński, kolneński, zambrowski i ostrołęcki — zbierała się w Łomży, najczęściej w kościele farnym.

Intrukcje przekazywane posłom na sejmikach dla przedstawienia na sejmie były spisywane w dwóch egzemplarzach; jeden zabierali posłowie, drugi pozostawał w archiwach miejskich. Księgi ziemskie i grodzkie łomżyńskie z okresu rzeczpospolitej szlacheckiej bezpowrotnie zginęły w czasie powstania warszawskiego, spalone wraz z innymi dokumentami ziem sąsiednich. Nieocenione wprost są więc wypisy z tych akt, dokonane przez prof. Kazimierza Tymienieckiego (częściowo publikowane), a także teki akt łomżyńskich, przepisanych przez Adolfa Powińskiego pod koniec XIX w. i złożonych w ówczesnej Akademii Umiejętności w Krakowie. Przetrwały one szczęśliwie do dziś i znajdują się w bibliotece PAN-u w Krakowie.

NAJSTARSZA ZACHOWANA instrukcja dla posłów z sejmiku łomżyńskiego pochodzi z 1574 r. Kategoryczne żądania zawarte w instrukcji odnosiły się do posłów, a nie do sejmu, i one wiązały posła z wyborcami. Tak było w całej Polsce. Posłowie powoływali się na nie, gdy zachodziła konieczność przeciwstawienia się w jakiejś sprawie. W miarę rozwijania się sejmików i osiągnięcia przez nie faktycznej władzy w państwie — instrukcje stawały się coraz dłuższe. Miały odbicie w nich także przywary szlacheckie — gadulstwo i warcholstwo, przedkładanie spraw prywatnych nad państwowymi. Z drugiej strony — widoczna była troska o bezpieczeństwo kraju, o rozwój gospodarki, oświaty i kultury.

Sejmik 1574 r. w Łomży znajdujący się wówczas w okresie swojego rozkwitu, był odbiciem spraw najważniejszych dla ówczesnej Polski. Król Henryk Walezy, po otrzymaniu wiadomości o bezpotomnej śmierci brata, Karola IX, opuścił skrycie tron polski i uciekł do Francji. Należało przygotować się do wyboru nowego króla. Stanisław Ławski ze Strzegocina, wojewoda mazowiecki, w piśmie z 19 lipca 1574 r. do starosty łomżyńskiego i kolneńskiego (taki nosił wówczas tytuł), Mikołaja Troszyńskiego, prosił o zebranie sejmiku w Łomży już w dniu 2 sierpnia!

Nic nie odda atmosfery ówczesnych przygotowań do wyborów nowego króla, a wcześniej posłów, jak wyjątki z pism, które szczęśliwie przetrwały do naszych czasów. Liczne łacińskie zwroty w tych pismach podaję w języku polskim.

Otóż Stanisław Ławski pisał: *„Stanisław Ławski z Strzegocina wojewoda i JKr-mci wicesgerent w Mazowszu urodzonemu Mikołajowi Troszyńskiemu staroście łomżeńskiemu, kolskiemu etc. zdrowia i wszego dobra, w niebytności jego podstarościemu. Urodzeni panowie dane nam są listy z Krakowa od ichmościów rad koronnych, oznajmując nam i wsze rycerstwu księstwa mazowieckiego obmywanie i opatrzenie niebezpieczeństw, które przypaść mogli za takiem nagłem Króla jegomości z Korony polskiej odjechaniem, być potrza temu zapobiegając w czas ichmoście panowie małej Polski, którzy onego miejsca bliższymi będąc spólnie między sobą przygotowali informacje dla całej Rzeczypospolitej a powinności swej naradzili gdyż o tak wielkich a ważnych rzeczach a prawie o zdrowie ojczyzny zachodzących jednemu bez drugich ale wszystkiem spólnie o sobie radzić, myśleć, rzeczpospolitą opatrować jesteśmy powinni ku spólnemu zjechaniu na św. Bartłomieja rad koronnych i wszego rycerstwa tak w Polsce jako i w wielkim księstwie litewskiem i innych wszystkich państw do Korony należących i podległych, lecz miejsca tej koronacyej w Warszawie wedle konstytucyej nie oznaczyli, więcej drogę okazując do Lublina przez te racje, które waszmość z listu od ichmościów panów rad obaczysz, którego przepis dla wiadomości potrzeb wszytkich na tę konwokację przypadających posyłam. Byłoby to przeciw konstytucyjej i zwyczajowi indziej miejsce sejmowi składać, coby potem w następstwa mogło iść: potrzeba tedy około tego namowy spólnie wszystkich, żeby na jedno miesce zgodzili. A iż jest wola i napominanie ichmościów panów rad koronnych abyśmy z powinności urzędu swego, jako też w krakowskiej i sandomierskiej ziemiach postanowiono jest czas i miejsce powiatowego zjazdu naznaczyli nie omieszkując nic dla dobrego i miłości rzeczypospolitej naznaczamy i składamy sejmik powiatowy wszystkim urzędnikom i rycerstwu ziemi łomżyńskiej ku spólnemu ich zjechaniu do Łomży w dniu drugiego sierpnia napominając, aby ichmoście na czas mianowany zjechali się i tam spólnie namówiwszy się do sejmiku generalnego dla dobra rzeczypospolitej pewną rezolucję odnieśli. A tak waszeci oficjalnie my napominamy, aby ten czas zjechania wszystkim oznajmił i obwołać rozkazał, wpisawszy ten nasz list do akt sądowych, na wieczną pamięć to jako napisanej dla miłości rzeczypospolitej waszmość uczynisz, niewątpimy. Napisano w Ławach 19 lipca 1574 r."*

WOJEWODA ŁAWSKI nie przybył na sejmik, ale przysłał swojego przedstawiciela, szlachetnego Abrama Nożewskiego, dając mu pismo, w którym nie zgadzał się na obranie sędziów do sądów ostatniej instancji, i polecając czekać na ustalenia sejmiku generalnego w Warszawie oraz *„wszech w obec prosząc i napominając, aby pokój pospolity między szlachetnymi spólnie był zachowan"*. Druga prośba była szczególnie ważna ze względu na częste kłótnie i bójki; dobierano się nawet do szabel i spory kończyły się pokaleczeniem lub nawet zabójstwem.

Sejmik zebrał okoliczną szlachtę, wśród której wyróżniali się: Mikołaj Troszyński, starosta łomżyński i kolneński, Mikołaj Kisielnicki z Łomżyńskiego, Marcin Mężyński z Zambrowskiego, Mikołaj Wierzbicki, notariusz ziemi łomżyńskiej, Grzegorz Tyszka, sędzia grodzki łomżyński, Jakub Rakowski, Mikołaj Zamojski, Christofer Jawor z Zalesia, Feliks Zawadzki, Walenty Chrostowski, Marcin Barzykowski, Mikołaj Kossakowski, Stanisław Duchnowski. Mimo sprzeciwu wojewody — wybrano sędziów do sądów ostatniej instancji, którymi zostali *„szlachetni"* Grzegorz Tyszkowski z Łomżyńskiego i Krzysztof Jawor z Zalesia (powiat zambrowski). Posłem na Sejmik „generał" w Warszawie, mający się zebrać na św. Katarzynę, wybrano jednomyślnie Marcina Mężyńskiego, podsędka zambrowskiego. Otrzymał on instrukcję rozpoczynającą się zawsze zwrotem: *„My dygnitarze, urzędnicy wszyscy i rycerstwo, ślachta wszystka ziemi łomżyńskiej i powiatów postanawiamy* [...]". A dalej w instrukcji, która dawała pewną swobodę działania posłowi, czytamy: *„poruczyli też to jemu, żeby to wszystko skutecznie doszło i dzierżone było co jest postanowione [...] gdyż jest to opatrzone i obwarowane [...] tedy niech przy tym stoi"*.

Jaki finał miała sprawa powołania sędziów ostatniej instancji na sejmiku „generale" w Warszawie — niestety, nie wiadomo, gdyż zachowane dokumenty nic o tym nie mówią. Z relacji z następnego sejmiku — w 1575 r. — wynika raczej, iż doszło do zgody *„panów braci szlachty"* i zgodnie na elekcji grudniowej 1575 r. obrała ona królem Stefana Batorego.

Należy przypuszczać, że poseł Marcin Mężyński dobrze zrelacjonował przebieg „generału" na spotkaniu z wyborcami, które musiało się odbyć na sejmiku relatywnym w Łomży.

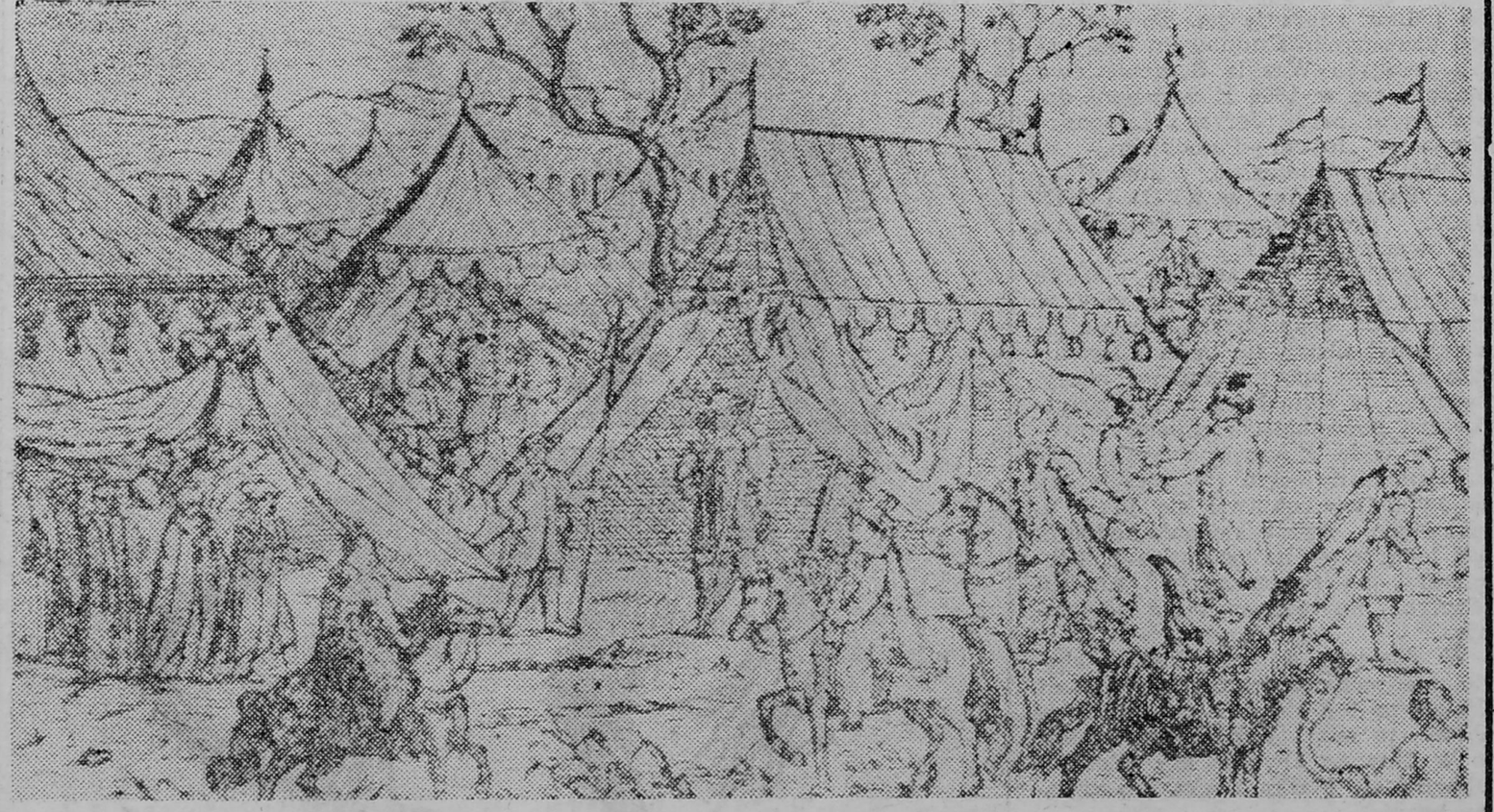

łomżyniana

ZYGMUNT GLOGER

WESELE MACIEJA WOJNY

Ogółem na 17-tu dojrzałych uczestników wesela było (wliczając pana młodego) 8-miu jeszcze w stroju polskim, a 9-ciu już we frakach, kapeluszach, pończochach i trzewikach, słowem istne dwa oddzielne narody. Ale z czupryną podgoloną i przy karabeli był już tylko w tej całej kompanii jeden — wysoki, chudy, kościsty, a prosty jak trzcina, choć już 81-letni, o marsowej pozornie, a w gruncie rzeczy dobrotliwej, dziwnie typowej polskiej twarzy, pan podwojewodzy. [...]

Jakoż na dwa tygodnie przed ślubem pojechał pan Maciej do Warszawy, aby zakupić dary ślubne i zamówić muzykę. Bryką poczwórną, wyprawioną na tydzień przed ślubem do stolicy, zwieziono kapelmistrza Zarzyckiego i czterech jego synów, którzy grywali w orkiestrze teatralnej. Byli to młodzieńcy polerowani i elegancko ubrani. Dwóch odznaczało się niezwykłą urodą. Ojciec grał na „basetli", synowie na oboju, klarnecie i dwóch na skrzypcach. Umówieni byli każdy po dukacie na dzień, czyli pięć dukatów dziennie na dni 6. Przywieziono ich z Wojn do Pęs w nocy z niedzieli na poniedziałek, tak że rano w wilję ślubu, gdy jeszcze spała „Jagulka", kapela zabrzmiała pod jej oknem wesołą serenadę na „dzień dobry".

Ponieważ zwyczajem dawniej dość powszechnym panna młoda była po urodzeniu ochrzczona tylko „z wody", a ceremonię odłożono do wyjścia za mąż, ksiądz Sokołowski zaś objaśnił, że dwa sakramenty nie mogą być jednej osobie udzielone w dniu jednym, chrzest zatem z ceremonii odbył się w przeddzień ślubu. Po obiedzie pojechano gromadnie do kościoła, gdzie w pierwszą parę trzymał Jagulkę pan miecznik Mleczko z piękną starościcową Rydzewską, a w drugą starościc z szambelanową Szczukową. Panna młoda ubrana była do chrztu w bieli i do gorsu. Po powrocie do domu cały wieczór tańczono i w nocy do godz. 3-ej, jak zwykle w ostatni wieczór przedślubny na pożegnanie dziewiczego stanu Panny młodej. [...]

Podczas tego wieczoru przysłał pan Maciej ślubne dary dla narzeczonej. Podług zwyczaju przyjętego, były one następujące: 1) pierścionek z topazem, otoczonym 12-tu brylancikami, 2) wspaniały „bicz" korali (nie nazywany wówczas sznurem), 3) szal karmazynowy ze szlakami, haftowany ręcznie jedwabiem i petą, 4) chustkę dużą jedwabną, 5) drugą chustkę białą tybetową, 6) trzecią chustkę muślinową haftowaną zlekka złotem i ostebnowaną niebieskim jedwabiem, 7) sztukę białego, haftowanego perkalu na letnik, 8) trzy pary białych, jedwabnych rękawiczek, długich za łokcie, 9) trzy pary białych jedwabnych pończoch, 10) trzy pary białych jedwabnych atłasowych trzewików, 11) sztukę białej szerokiej atłasowej wstęgi. Oprócz tego na osobnym wozie przywieziono kilkadziesiąt donic prześlicznych kwiatów (które pan młody kupił w Klukowie w ogrodzie Starzeńskich) [...]

Około 9-tej rano kapela Zarzyckich zagrzmiała znowu serenadą pod oknem „Jagulki", do której pokoiku zeszły się teraz panie: Rydzewska, Szczukowa i inne jako swachy weselne i od godziny 10-tej do 12-ej w południe ubierały pannę młodą do ślubu. Suknia ślubna z białego ptifeniu w małe muszki (wchodzącego wówczas w modę, a kupionego w Ełku po 6 złp. za łokieć), wąska „w kliny" z krótkimi rękawami, miała ogon długi na 3 do 4 łokci. Na jej przodzie naszyte były z szerokiej, białej, atłasowej wstążki dwa jakby słupy, co dawało podobieństwo fartuszka. Na krótkich rękawach było z takiejże wstążki po 4 pasy. Spódnica u dołu obszyta była pasem białego „szejpanego fluerensu w kontrafałdki". W pasie była „Jagula" przepasana także białą atłasową wstęgą. [...]

Przed samem południem zjechał przed dwór pęski i gwałtownym trzaskiem bata pan młody w poczwórnej kolasie ze swoim swatem, przybrani obaj w kontuszu byłego województwa Podlaskiego, i z synowcem sędziego we fraku. Stoły były już nakryte na osób 40 i gdy „Jagula" ukazała się w ślubnej sukni i ze smętnym uśmiechem powitała pana Macieja, pousadzano wówczas gości i podano dwojakie śniadanie: gorące i zimne. Po obobfitym posiłku, około godziny 2-ej kazano zaprzęgać do pojazdów, a gdy dzielne cugi podjeżdżać zaczęły, rozścielono stary perski kobierzec na podłodze w „pokoju bawialnym" i poczęło się błogosławienie młodej pary. Na tym kobiercu stanęli najprzód poważni podwojewodztwo, przed którymi uklękli państwo młodzi i uścisnęli ich kolana. Pobłogosławieni, pożegnani i podniesieni, podchodzili do innych stojących w koło starszych małżeństw i osób, wszystkim po kolei oddawali niski pokłon, od wszystkich otrzymując serdeczne życzenia i błogosławieństwa. Starsi błogosławiąc całowali pannę młodą w głowę, która usiłowała stłumić w sobie płacz rzewny. Wąsacze płakali także jak bobry. Podwojewodzy wręczył żonie dukat dawny polski, a ta wraz z małym kawałkiem chleba i cukru, zawinąwszy go w papierek jako symbol dostatku i słodkiego pożycia na wiek cały, włożyła za gors córce w chwili, gdy ta po raz ostatni jako panna miała opuścić próg rodzinny. Druhom, drużbom i państwu młodym poprzypinano bukieciki z rozmarynu, mirtu i kwiatu pomarańczowego.

Po chwili długim łańcuchem posuwały się kolasy i skarbniki po drodze wiodącej do Rutek przez półmilowy, ciemny, głuchy, górą niebotyczny, dołem zwarty i zawalony odwiecznymi łomami bór podwojewodzego.

Z AGNIESZKĄ DOBRZYNIECKĄ W PĘSACH ROKU 1809

Rodzice, dawnym zwyczajem, na ślub córki nie pojechali. Wiozła ją w swojej karecie szambelanowa Szczukowa z dwoma druhnami. Pan młody jechał samowtór z panem Idzikowskim jego powozem, swój oddawszy innym drużbom. Pannę młodą prowadziło do ołtarza dwóch szambelanów: Dominik Szczuka i Eustachy Mleczko, pana młodego — dwie druhny panny młodej. Po dopełnionym ślubie i serdecznym, rozrzewniającym przemówieniu księdza Sokołowskiego, pan młody, wziąwszy żonę pod rękę; obszedł z nią dookoła ołtarza, przyczem rzucił dukata do skarbony kościelnej „na ofiarę", pierwej już bowiem zapłacił drugiego dukata za ślub i światło proboszczowi. Od ołtarza odprowadzili panią młodą chrzestny jej ojciec, miecznik Mleczko i starościc Rydzewski, a pana młodego dwie swachy: Szczukowa i jej córka, Rydzewska.

Po powrocie z kościoła zastano już stoły nakryte do uczty weselnej, którą podano około 7-ej wieczorem. Państwa młodych posadzono obok siebie na miejscu najstarszym w końcu stołu. Dalej siedziały naprzemian swachy z kontuszowcami, czyli swatami, w młodszym końcu naprzemian drużbowie i druhny. Na ucztę złożyło się wszystko podwójnie, a więc zupa biała i rumiana, sztuka mięsa biała i rumiana, potrawy z kapłonów i kaczek, pieczyste z saren i jarząbków, których wielką obfitość posiadał bór pęski. Na końcu podano dwojaką leguminę z jakichś pian i konfitur, bo galaret i kremów jeszcze wówczas nie używano po domach staropolskich. Wino krążyło trojakie: węgierskie wytrawne, muszkatel i szampańskie. [...]

Gdy kapela napełniła do syta swe żołądki, kontuszowcy dali hasło do poloneza, od którego każdą zabawę w Polsce rozpoczynano. Polonez weselny miał urok tańca symboliczno-obrzędowego. Pan miecznik Mleczko, ojciec chrzestny „Jaguli", wziąwszy rogatywkę do ręki (z czapką bowiem zwykle poloneza tańczono), poprowadził w pierwszą parę panią młodą, a okrążywszy salę i okręciwszy się parę razy z tancerką, oddał ją z uprzejmym gestem do ręki matce rodzonej. Ta przetańczyła ze swoją córką i wręczyła ją ojcu. Starzec podkręcił wąsa, zarzucił wyloty i z uroczą córką na czele prowadził dzielnie posuwisty korowód, przeciągając go dłużej i dłużej, bo już go tańczył z „Jagulą" raz ostatni. Potem nagle się zwrócił, oddał ją ze stanowczym gestem panu młodemu i wylotem kontusza otarł szybko łzę z siwej rzęsy. A to było właśnie zakończeniem tego uroczystego poloneza.

Po poważnym „tańcu polskim" szedł dziarski mazur, od którego hołubców trzęsły się stare ściany i zielone piece dworu pęskiego. (...) Potem tańczono tańce modne, a mianowicie walca, wprowadzonego u nas za czasów pruskich, kontredansa, upowszechniającego się dopiero za Księstwa Warszawskiego, i najmodniejszego w owej dobie — angleza. [...]

Nad ranem, po wielu mazurach i anglezach, otworzono szeroko podwoje od sypialni, gdzie na państwa młodych oraz wszystkich żonatych gości i panie zamężne oczekiwała „cukrowa kolacja". Pan sędzia Idzikowski jako swat, a więc i jakby mistrz obrzędów weselnych, dał znak staremu Zarzeckiemu, który zrozumiawszy go, w tejże chwili zagrzmiał z synami odwiecznego poloneza, sędzia zaś, ująwszy zapłonioną „Jagulkę" z prawej strony, a podwojewodzy z lewej, ruszyli posuwisto w pierwszą parę na czele wszystkich żonatych i mężatek uroczystym tańcem do cukrowej wieczerzy. Komnata, zwana po staropolsku „łożnicą", była, starym zwyczajem, rzęsiście oświetlona światłem jarzęcem, czyli świecami z wosku jarego (podbieranego w ulach pasieki pęskiej, zanim plastry miodem wypełnione zostały). Cała przybrana była w bukiety, girlandy i wazony kwiatów, w których silnej woni dominowały białe lewkonie z ogrodu Starzyńskich. Przy jednej ścianie stało biało lakierowane łoże pod namiotem, czyli kotarą z białego muślinu. W pośrodku komnaty na dużym stole zastawione były cukry, konfitury smażone w miodzie, wina i ciasta, wśród których dominował kolisty tort marcepanowy, zwany dawniej od swego kształtu „kołaczem" lub wprost „marcepanem".

Najprzód pannę młodą usadowiono na oddzielnym fotelu do „oczepin", a gdy pani Rydzewska zaczęła odpinać z jej głowy koronę z klejnotów, girlandę mirtową i ukryte we włosach obrzędowy ruciany wianeczek, wówczas siedmiu kontuszowców huknęło silnym głosem starożytną pieśń oczepinową: „Oj chmielu, chmielu, ty bujne ziele".

Wianeczek ruciany z mirtową girlandą oddano do rąk panu młodemu, a pani podwojewodzyna zaszyła go nazajutrz w pościeli córki. Gdy pani Rydzewska przystąpiła do milczącej „Jaguli" ze strojnym białym czepcem, wówczas stary podwojewodzy zawołał do córki: „Nie daj sobie włożyć, Jagulku, czepka, nie daj!" Jakoż pani młoda, z oczami pełnymi łez, usiłowała kilkakrotnie odepchnąć kładziony jej na głowę czepiec, bo tak i siostry jej starsze, wychodząc za mąż, przy oczepinach czyniły. Ale skończyło się oczywiście na oczepieniu i uśmiechu.

Teraz zaczęły się wiwaty, pijatyka i śpiewy, głuszone przez muzykę w salonie, która przygrywała młodzieży, tańczącej tam w dalszym ciągu. Każdy podnosząc toast wstawał z napełnionym pucharem w ręku i miał albo krótką przemowę, albo śpiewał zastosowaną do toastu zwrotkę. Najwięcej się rozśpiewał pan starościc Rydzewski i teściowa jego, szambelanowa Szczukowa. Oboje śpiewali pieśń, którą do dziś lud w tych stronach śpiewał na weselach: „Zosiu, ach już cię tracimy".

Na podstawie tekstu Zygmunta Glogera pt. „Wesele babuni", zamieszczonego w jednodniówce „Z nad brzegów Narwi" (wydanej w Warszawie 1902 z przeznaczeniem na dochód Łomżyńskiego Towarzystwa Dobroczynności) — do druku przygotował STANISŁAW JAN ROSTWOROWSKI.

obyczaje

ROCK SERWIS

Ringo Star jest już dziadkiem. Stało się to za sprawą 20-letniego syna ex-Beatlesa, Zaka, oraz jego żony — Sary. Ich córeczka zwie się Tatia Jane Starkey (bo takie jest prawdziwe nazwisko Ringo Stara).

Ringo i jego obecna żona, aktorka Barbara Bach, będą mogli stale zajmować się wnuczką, bowiem młodzi mieszkają razem z rodzicami. Były perkusista słynnego zespołu ma dużą posiadłość ziemską pod Londynem z dwiema wspaniałymi willami. Jedną z nich Ringo podarował młodym, i nic dziwnego, skoro w jednym z wywiadów powiedział: „Jestem ogromnie zadowolony, że zostałem dziadkiem. Tatia jest prawdziwą pięknością i myślę, że będzie to moja ukochana wnuczka".

— ● —

Dave Steward — druga połowa duetu „Eurythmics" — zdecydował się reżyserować najnowszy teledysk Boba Dylana (na zdjęciu), którego najnowszy album „Empire Burlesque" nie dotarł nawet do 10 miejsca na listach przebojów. Dla wytwórni CBS, gdzie LP nagrano, wiadomość ta była niespodziewanym, zimnym prysznicem.

— ● —

Zespół „TSA" zakończył nagrywanie podkładów do drugiego LP dla firmy „Mausoleum Records". Muzykę zarejestrowano w brukselskim studiu, w którym swój pierwszy album nagrywała grupa „Black Sabbath". Płyta ukaże się w pierwszej połowie przyszłego roku, wcześniej powinna ukazać się jej wersja polska.

— ● —

Wytwórnia CBS nie zezwoliła na rozpowszechnianie najnowszego teledysku Freddiego Mercury'ego. Film kosztował 30 tys. funtów, a nakręcony został w czasie przyjęcia urodzinowego, jakie Freddie wydał w jednym z klubów w Monachium dla 300 najbliższych przyjaciół. Poprosił on swoich znajomych o ubranie się w najdziwniejsze stroje. Sam występował w bawarskim mundurze z orderami i w spodniach Arlekina. Wielu biesiadników zjawiło się w strojach Adama i Ewy.

— ● —

Bruce Springsteen zakończył wielkie, 13-miesięczne tournee obejmujące wszystkie kontynenty świata. Ostatni koncert odbył się dla 85 tysięcy widzów na stadionie w Los Angeles. Występ rozpoczął piosenka „Born in the USA", wykonywaną na tle olbrzymiej flagi Stanów Zjednoczonych. W sumie koncerty Bruce'a obejrzało ponad 5 milionów fanów.

— ● —

Znany z występów w Polsce zespół „Kajagoogoo" — obecnie „Kaja" — nagrał w wytwórni „Parlophone" nowy album — „Crazy People's Right To Speak".

— ● —

Niezwykle popularną w Europie Zachodniej jest obecnie Jennifer Rush — stale mieszkająca w Monachium, urodzona w Nowym Jorku, a występująca w Wielkiej Brytanii. 23-letnia piosenkarka potrzebowała aż 17 tygodni, aby jej płyta, The Power of Love" doszło do pierwszego miejsca brytyjskich bestsellerów.

— ● —

Najpopularniejszym piosenkarzem z Europy Zachodniej w Polsce jest bezspornie Shakin' Stevens (na zdjęciu). Największym powodzeniem cieszy się wśród 12—15-letnich panienek.

— ● —

Tracy Ullman (Polka z pochodzenia) postanowiła więcej nie nagrywać płyt. W oświadczeniu dla prasy stwierdziła, że zawsze uważała się za aktorkę, a śpiewanie traktowała jako urozmaicenie swojej pracy zawodowej.

— ● —

Za spowodowanie wypadku samochodowego, w którym zginął Razzle z zespołu „Hanoi Rocks" Vince Neil został skazany na 30 dni więzienia i zapłacenie odszkodowania w wysokości 2,6 mln dolarów. Ponieważ od pewnego czasu Neil jest członkiem grupy „Motley Crue", a zespół przebywa aktualnie na bardzo udanym tourneé po Stanach Zjednoczonych, kara więzienia została odroczona.

REDAGUJE KRZYSZTOF KURIANIUK

JAK BYŁO?

Koniec roku to dobra okazja do wszelkich podsumowań, na najlepszych, najbogatszych, najlepiej ubranych, najlepiej śpiewających i grających. Trzeba jednak wiedzieć, że nic nie zmienia się tak szybko w show businessie jak moda. Nie wiem, czy ktokolwiek pamięta jeszcze idoli sprzed roku, ich piosenki i płyty. Zagrali, zaśpiewali i poszli w cień. Tylko naprawdę utalentowanym udało się przetrwać i cieszyć się sławą przez następne miesiące. W ubiegłym roku pisałem o Michaelu Jacksonie, gwieździe amerykańskiej muzyki pop, jego sukcesach i płycie „Thriller" — jednej z lepszych w 1984 r. Teraz o tym utalentowanym artyście nie mogę napisać nic, ponieważ Michael niczym szczególnym nie błysnął w 1985 roku. Odbierał zasłużone nagrody i liczył pieniądze zarobione w ostatnim czasie. Mieszka sobie spokojnie i wygodnie w bajkowym pałacu, a czy myśli o muzyce i dalszej karierze? O to trzeba byłoby zapytać już samego Jacksona.

Mijający rok przyniósł wiele niespodzianek i rozczarowań. Powstało kilka interesujących grup, kilka też rozpadło się. Wszyscy doskonale wiedzą, jak trudno jest utrzymać się na fali zainteresowania, a także jak niesłychanie trudno powrócić na estrady, gdy publiczność ciągle czeka na nowe emocje i wrażenia artystyczne. Z takim come backiem mieliśmy do czynienia w końcówce ubiegłego oraz przez cały 1985 rok. Myślę, oczywiście, o Tinie Turner. Jej płyta „Private Dancer" zdobyła wszelkie możliwe nagrody, a sama piosenkarka, mimo wieku, wystąpiła we wszystkich możliwych koncertach, zbierając zasłużone laury. Kilka miesięcy temu pojawiła się kolejna płyta Tiny, z której nagranie „We Don't Need Another Hero" pretenduje w wielu zestawieniach do miana przeboju '85. Tina Turner pracowała ciężko przez wiele lat, aby to, co osiągnęła ostatnio, było zauważone i nagrodzone. Jakiejż więc trzeba siły woli i stalowych nerwów, aby napięcie to wytrzymać, zwłaszcza gdy jest się już babcią.

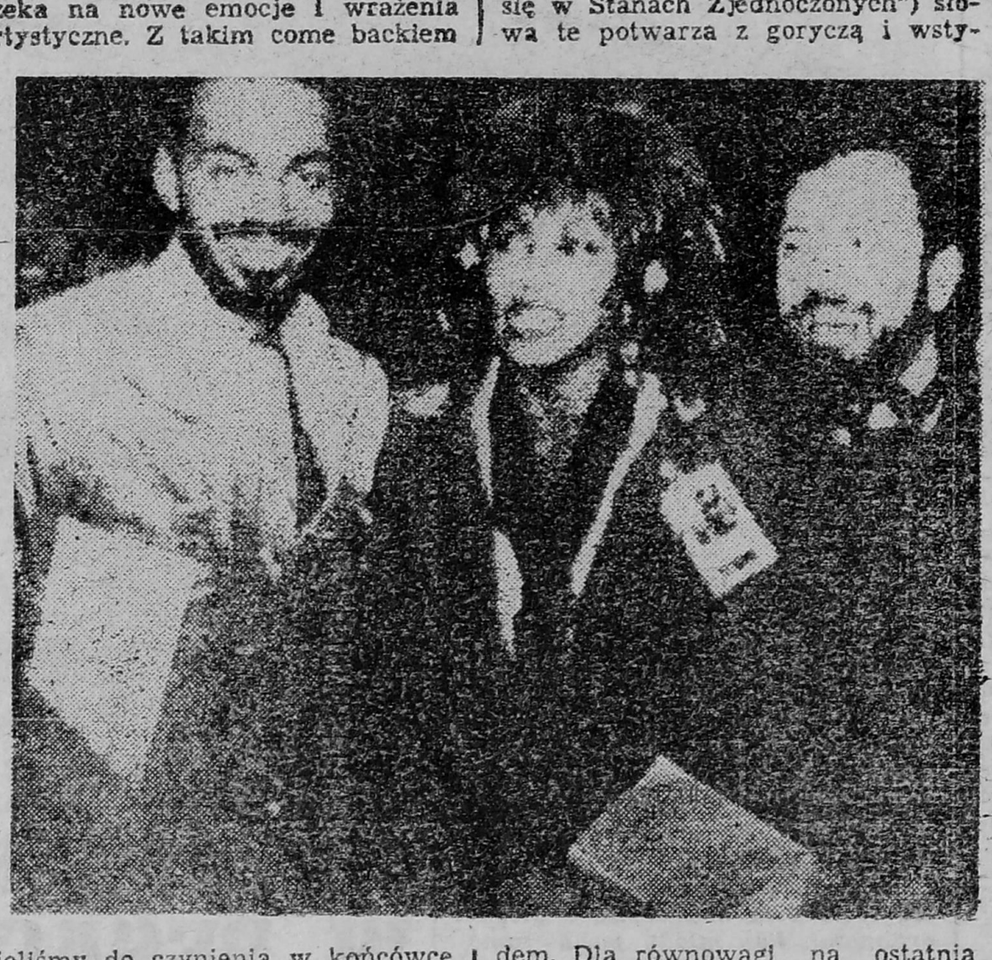

Lionel Richie to kolejny wykonawca, któremu udało się przebić przez show businessowy gąszcz. „Czekoladowy Man", jak nazywają niektórzy Lionela, swoimi nastrojowymi utworami wnosi tyle ciepła i liryzmu, że lubiany jest zarówno przez starych, jak i młodych. I jeszcze jeden idol mijającego roku — amerykańska gwiazda numer jeden — Bruce Springsteen. Gdy w 1972 roku wkroczył do biura Johna Hammonda z firmy „Columbia", nikt nie przewidywał, że ten nikomu nie znany prowincjusz osiągnie kiedyś cokolwiek. Dziś Bruce jest idolem, za którym uganiają się miliony. Gra muzykę, która drażni i irytuje, a śpiewa o najbardziej bolesnych problemach dzisiejszej Ameryki — o wietnamskiej tragedii młodych ludzi, upokarzającym i poniżającym bezrobociu. W piosence „Born In The USA" („Urodziłem się w Stanach Zjednoczonych") słowa te potwarza z goryczą i wstydem. Dla równowagi na ostatnią płytę wprowadził balladę „My Hometown", gdzie mówi o patriotyzmie, swojej ojczyźnie i radości życia.

O Springsteenie przywykło się pisać jako o samotniku walczącym ze złem tego świata. Bohaterowie jego piosenek to zwykli ludzie skłóceni z życiem i światem, targani wewnętrznym niepokojem i gnający gdzieś przed siebie. Jednak opisywany przez Bruce'a świat, który składa się z mrocznych zaułków miasta-molocha, jest opisem bardziej instynktownym niż świadomym. To, co robi ten utalentowany artysta, podoba się wielu ludziom, może nie zawsze dlatego, że śpiewa o zwykłym i prostym życiu, ale dlatego, że sam jest zwykły i prosty — szczery i niezakłamany. Na estradzie jest normalnym mężczyzną, który nie musi malować się, farbować i przebierać w błyskotki. Potrafi podbić publiczność swoim głosem i muzyką, tekstami i zwykłym, sportowym strojem. Moim zdaniem był najlepszym zagranicznym wykonawcą mijającego roku.

W polskim światku muzycznym nie działo się zbyt wiele. Zespoły i wykonawcy bardziej interesowali się tym, jak wyjechać za granicę i tam pochałturzyć za kilka „zielonych", niż tym, jak dobrze zagrać, by się podobać w kraju. Wcale się nie dziwię takiemu myśleniu, bo muzyk — zwłaszcza rockowy — w naszym kraju na wiele pozwolić sobie nie może. Pierwsza rzecz to bzdurne weryfikacje Ministerstwa Kultury i Sztuki, które pragnie zaszufladkować, policzyć, przeegzaminować i wysłać na trasy koncertowe. Nikt jednak z tych panów nie zastanawiał się nad tym, czy zawsze istnieje potrzeba, aby młody muzyk, który może przecież po roku zmienić swoje zainteresowania, powinien wiedzieć, czym różni się twórczość Chopina od twórczości Mikołaja z Radomia. Wielu profesjonalnych muzyków w krajach zachodnich nie zna do tej pory nawet nut, a śpiewają czysto i przynoszą swoim mecenasom niemałe dochody. U nas tak być nie może. Musi być papier, kwit, a na nim pięć pieczątek i dziesięć podpisów stwierdzających np. że: „Ob. Jackowska Olga wie, co to ósemka z kropką i jak brzmi gama, oraz że ww. Jackowska może dostać za jeden występ tyle to a tyle". Nikt jednak nie pomyślał, że wyżej wymienionej Jackowskiej takie pieniądze, jakie przewiduje tabela honoracyjna, mogą nie interesować. Bowiem wyżej wymieniona Jackowska jest na tyle dobra i popularna w kraju, że może sobie wraz z „Maanamem" wyjechać np. do Republiki Federalnej Niemiec i tam przez kilka miesięcy śpiewać, robić popularność, a przy tym i pieniądze. Opłaca się to zarówno zapraszającym Niemcom jak i zapraszanej Korze z „Maanamem". Czy komisji weryfikacyjnej MKiS też?

Obserwowałem przez mijający rok nasz muzyczny światek i albo nie zauważyłem, albo do końca nie zrozumiałem, ale uważam, że nic nowego nie pojawiło się na horyzoncie. Dominowała stara gwardia, czyli „Maanam", „Budka Suflera" „Kombi" i „Lombard". Młodzi zeszli do piwnic i tam szarpią struny i wydają dzikie wrzaski. Pozostała jeszcze tzw. muzyka środka — czyli muzyczne hafty, którymi katuje nas Program I Polskiego Radia. Jest jeszcze Edyta Geppert, piosenkarka z niewielkim stażem artystycznym, ale już ukształtowanym artystycznym genrem. Zaskakuje talentem interpretacyjnym, pracowitością i temperamentem scenicznym. Ale cóż może zrobić jedyna Edyta Geppert? — Tylko śpiewać i cieszyć ucho swoich sympatyków.

Nie był to rok udany dla polskiego rocka, nie było przeboju, który zostaje w pamięci na długie lata. „Daj mi tę noc" — przeboik lata '85 dowodzi, ku czemu zmierza polska muzyka młodzieżowa.

KRZYSZTOF KURIANIUK

ODWIECZNY TYRAN

Wreszcie nadeszła owa noc, w wypadki brzemienna. Po wieczerzy, którą śmiało można by było nazwać biesiadą, a podczas której, prawie niczego nie tknąłam, przeżuwając w zamkniętych ustach rzadkie kąski i zaledwie próbując wina — bez żadnych wstępów i kazań zaprowadzono mnie do sypialni gospodyni.

Ledwie próg przestąpiłam, zaraz ci mój miłośnik drzwi z hałasem zatrzasnął i nie czekając, aż mu ktokolwiek szatki zdjąć pomoże, w mig się rozebrał, rozwalił się w łożu jak długi i począł kaptować sobie moją przychylność najsłodszymi w świecie słowami: „Uczynię cię tak wielką panią i tyle ci ofiaruję, że nie pozazdrościsz najpierwszym rzymskim kurtyzanom!"

Nie mogąc się doczekać mego przyjścia, zerwał się i ściągnął ze mnie majteczki!

Na nic zdał się mój opór! Powrócił do loża, a gdy i ja za nim tam pospieszyłam, odwrócił się do ściany, bojąc się widocznie, aby mojej wstydliwości zbytnio nie urazić. Zgasiłam lampę, choć błagał mnie, abym światło zostawiła, a gdy tylko poczuł me jędrne ciałko koło swego cielska — rzucił się na mnie tak żarliwie, jak matka na odzyskanego syna, którego śmierć już była opłakała; całował mnie, tarmosił, obmacywał z przodu i z tyłu i gniótł w ramionach jak oszalały.

Ręką zakrywałam swoją dobrze nastrojoną lutenkę i zwinąwszy się w kłębuszek pozwalałam mu pieścić dłonią moje organki, ale gdy zuchwale chciał wstawić w kądziel wrzeciono — stanowczo odmówiłam

„Moja duszko, moje śliczności anielskie — skamlał. — Nie ruszajże się choćby przez sekundeczkę, przez mały, maluchny momencik. Zabij mnie, jeśli ci boleść sprawię."

Ja trzymałam się mocno, zaś on nieustannie ponawiał swe błagania próbując od czasu do czasu ślepego pchnięcia. Te nieudane fortele jeszcze bardziej wyczerpywały jego cierpliwość.

„Słuchaj — mówił wsuwając mi ptaszka w rękę — włóż go sobie sama, ja nawet palcem nie kiwnę". „Ki diabeł — mówię. — Takie to wielkie, twarde i czerwone. Czy wszyscy mężczyźni mają takowe dębczaki! Przecież ty mnie tym pa-

tyczkiem nadobnym na dwoje rozłupiesz."

Tak gaworząc drażniłam go nieustannie ruchami swojej zmórki, a w pewnej chwili odwróciłam się doń tyłkiem, zostawiając go z pianą na ustach i z rozpaczą w sercu. Od próśb przeszedł do gróźb i do sprośnych wymysłów: „Ha, ty frybro zdradziecka, ty k... zatracona, zadławię cię, uduszę jak szczeniaka!" Przy tych słowach chwytał mnie dla postrachu za gardziel. Potem znowu uderzał w prośby tak korneże, zmiękczona, ułożyłam mu się wedle woli, ale gdy już wsadzał ożóg do pieca, znowu mu umknęłam. Wówczas skoczył na równe nogi, jakby go giez ukąsił, porwał za koszulę i począł się z tych opresji salwować, lecz ja schwyciłam go za rękę i zawołałam: „Zostań, zostań, przytul się do mnie, zrobię wszystko, co chcesz".

„Mój aniołeczku, moja królowo złocista, moja najmilsza, nie upieraj się po próżnicy, przecież nie będzie to bolało; ot, ukąszenie muchy, nic więcej; zobaczysz, jak nam gładko pójdzie!"

Pozwoliłam mu wsunąć liszkę do połowy i znowu na bok czmychnęłam, a wtedy oczy mu w słup poszły i istny szał go ogarnął. Zziajany, blady i sokiem nabrzmiały, ukląkł na skraju łoża, spuścił głowę na dół i — za pomocą własnej dłoni — dał upust straszliwym chuciom, które ja ugasić miałam. Noc jałowo i bezpłodnie spędzona dobiegła swego kresu, pozostawiając mu na twarzy wyraz gorzkiego smutku jak graczowi, który wraz sen i pieniądze daremnie stracił.

Biedaczysko, uparty jak gracz, który postanowił się odegrać, poszedł sobie precz, a po małej godzince przysłał krawca ze sztuką zielonego jedwabiu na suknię dla mnie. Przekonany był widać, że następnej nocy wynagrodzi sobie sowicie czas daremnie stracony.

A gdy wieczór nadszedł (zdaje mi się, że czas wlókł się memu kochankowi równie marudnie jak temu, kto czeka na spotkanie się z ukochaną nie widzianą od lat dziesięciu), zjedliśmy dobrą wieczerzę i udaliśmy się do tego samego łoża, w którym poprzednią noc spędziliśmy.

Po prawdzie do uległości jego żądaniom byłam tyleż skłonna, co Żyd do udzielenia pożyczki niepewnemu dłużnikowi! Więc też oberwało mi się parę wcale niezłych szturchańców; przyjęłam je zacisnąwszy zęby i szepnąwszy do siebie po cichu: „Poczekaj, ty obwiesiu, zapłacisz mi za to wszystko z nawiązką". Koniec końcem doprowadziłam do tego, że — powtórzywszy te same, co poprzedniej nocy, zabiegi — sam sobie krwi upuścił.

Rozjątrzony do żywego, chciał mnie pchnąć sztychem, aż mnie zimny strach obleciał, musiałam mu przeto nieco pofolgować. Odwróciwszy się tyłem, położyłam mu się na wznak na piersiach; było to niby zaproszenie, które mocno wzmogło lubieżny apetyt jego wielmożności!

Zaczął pode mną kręcić się jak wrzeciono, drygać jak tancerz i — na podobieństwo linoskoczka — dziwne łamańce wyczyniać, póki zabiegi one wymyślne do celu go nie doprowadziły.

Leżałam jak kłoda, ale gdy zuchwalec natrafił już na właściwą drogę, zerwałam się i odwróciłam się doń twarzą. „Dość już tego tarmoszenia, tych nadobnych igraszek. Czas wstawać" — rzekłam.

On ułożył mnie znów tak jak poprzednio, każąc mi oczyma belki na pułapie rachować, i od nowa rozpoczął swoje diabelskie praktyki.

Ale i do połowy nie dojechał, gdy krzyczeć wniebogłosy zaczęłam: „Puście mnie, puście, już nie mogę więcej, nie myślałam, że to takie okropne!"

Wtedy sięgnął gorączkowo po sakiew pod poduszką ukrytą, wygarnął z niej tuzin dukatów i sporą garść talarów, wsunął mi złoto w ręce, mówiąc: „Masz!" A ja na to: „Nie chcę, nie potrzebuję, wynoście się precz!"

Jednakże pieniądze w garści mocno zacisnęłam, pozwalając mu wsunąć fistaszka do połowy; tutaj siły go opuściły.

PIETRO ARETINO

zwierzenia

zważywszy na ciężar i znaczenie sprawy, przyprowadzono do niego dziewczynę, by ją przesłuchał i ustalił jej tożsamość. Mnie powierzono przyprowadzenie Isaury. Ach! Czy wyobrażasz to sobie? Przez łzy, które wymuszała na niej smutna sytuacja, przeświecała pełnym blaskiem zwyczajna ludzka godność Nie znalazłbyś w niej śladu niewolniczej pokory ani czegokolwiek sprzecznego z czystością i szlachetnością ducha. Była obolałym aniołem wygnanym z niebios i zaciągniętym przed ziemski trybunał. Zwątpiłem nawet w okrutną rzeczywistość. Komendant policji, pełen respektu wobec tak szlachetnej i miłej osoby, traktował ją nader serdecznie, przesłuchując łagodnie i uprzejmie. Cała czerwona ze wstydu wyznała wszystko z sobie właściwą szczerością. Uciekła w towarzystwie swego ojca, aby uniknąć zalotów rozpustnego pana, lubieżnego okrutnika, który przez męki i cierpienie usiłował zmusić ją do spełnienia swych dzikich zachcianek. Ale Isaura, przez naturę od dziecka obdarzona poczuciem godności i wstydu, wzmocnionymi przez prawdziwe wychowanie i staranne wykształcenie, stanowczo i odważnie odrzuciła zaloty i umizgi swojego niegodziwego pana. W końcu zagrożona barbarzyńskim i poniżającym traktowaniem, które już wprowadzono w czyn, zdecydowała się na jedyne wyjście, jakie jej pozostało, znajdując ocalenie w ucieczce.

— Szczerze mówiąc, Alvaro, powód ucieczki, nawet najbardziej szlachetny, czyniący z dziewczyny prawdziwą bohaterkę, niczego nie zmienia. Isaura pozostaje nadal zbiegłą niewolnicą.

ROZDZIAŁ XV

Minął już prawie miesiąc od opisywanych wydarzeń. Dzięki odważnej interwencji Alvara, Isaura i Miguel nadal zamieszkiwali tę samą chatkę w dzielnicy Santo Antonio. Obecnie, gdy prawie niemożliwe było myślenie o ucieczce lub zaszyciu się w jakiejś głuszy, słuchając rad swego opiekuna tu znaleźli azyl i oczekiwali na wynik ryzykownych starań, jakie Alvaro podjął w ich obronie, zawsze jednak smutni i zaniepokojeni jak Damokles, nad głową którego umieszczono ostry miecz zawieszony na końskim włosie.

Alvaro prawie codziennie odwiedzał uciekinierów, w ich domu spędzał długie godziny, rozważając sposoby uwolnienia swojej protegowanej, pocieszając ojca dziewczyny i próbując natchnąć ich nadzieją lepszego losu.

Po to, aby zdać sobie sprawę ze wszystkiego, co zaszło na owym nieszczęsnym balu, posłuchajmy rozmowy Alvara z jego przyjacielem, doktorem Geraldo, rozmowy, która toczyła się w domu Isaury.

Następnego ranka po owym fatalnym balu doktor opuścił Recife i udał się do pewnego miasteczka w głębi kraju, dokąd go wezwano,

NIE

OPYCHAĆ SIĘ WITAMINĄ C

Witamina C (kwas askorbinowy) zrobiła w ostatnich dziesięcioleciach wręcz oszałamiającą karierę. Szczególne zainteresowanie naturalnym i otrzymywanym syntetycznie związkiem chemicznym zanotowano mniej więcej przed piętnastu laty, kiedy to ukazała się książka znanego chemika amerykańskiego, Linusa Polinga — „Witamina C i zdrowie". Twierdził on, że wszelkiego rodzaju przeziębienia występują u każdego prawie człowieka mniej więcej trzy razy do roku i powodują niekiedy poważne komplikacje. Zdaniem Polinga — schorzenia te można zlikwidować na świecie w ciągu jednego-dwóch dziesięcioleci. Za jedynie radykalny środek uznał Poling kwas askorbinowy i zalecił jego zażywanie w dużych dawkach.

Dotychczas nie udało się ustalić, czy ludzie leczący się przez dłuższy czas dużymi dawkami askorbiny chorują rzadziej od tych, którzy przyjmują ją w zwykłych ilościach. Wszystko wskazuje jednak na to, że zażywanie większych dawek witaminy C nie ma sensu, ponieważ organizm samoczynnie usuwa niepotrzebne nadwyżki.

W literaturze medycznej pojawiły się ostatnio hipotezy, że w rezultacie jej nadużywania istnieje niebezpieczeństwo powstania kamicy nerkowej.

stragan

KOGUCI MATUZALEM

Według ocen naukowców — koguty i kury żyją najwyżej 8—10 lat. Dlatego też powszechne zainteresowanie wzbudził kogut, który przeżył prawie ćwierć wieku. Gdy zapytano bułgarskiego właściciela o przyczyny długowieczności ptaka, ten z całą powagą oświadczył: „Nigdy nie palił, nie zaglądał do kieliszka, a i względem kur też nie był ochotny".

Mowa pogrzebowa

„Drodzy przyjaciele! Ten, którego odprowadziliśmy na wieczny spoczynek, był uczciwym Szkotem, ale niestety, w ubiegłym tygodniu pożyczył ode mnie dziesięć funtów i nie zdążył ich zwrócić. Proponuję więc — w trosce, by pamięć naszego przyjaciela pozostała bez skazy — urządzić zbiórkę w celu zwrotu moich pieniędzy."

SWAWOLNIK

W sprawie rozwodowej Lawristonów sąd w Chicago szybko przychylił się do wniosku. Powód twierdził, że jest szykanowany przez żonę: ulubioną fajkę bowiem mógł palić tylko w jednej pozycji — poziomej, z głową wsadzoną w kominek.

KRÓLOWA ŚWIATŁA

Już tylko w niektórych szwedzkich wsiach uchował się zwyczaj obchodzenia w grudniu dnia królowej światła. Wówczas to młode dziewczyny — w wieńcu na głowie z gałązek świerkowych i płonącymi w nim świeczkami — chodzą od domu do domu śpiewając pieśni na cześć światła. Gospodarze wybierają również królową światła w oborze. Zostaje nią zwykle najdorodniejsza krowa, na której łeb wkłada się również choinkowy wianek ze świeczkami.

TANIE DANIE

ŚLEDZIE WIGILIJNE

50 dag śledzi (solonych), duże jabłko, cebula, pół szklanki śmietany, sól, cukier, cytryna lub ocet, łyżeczka siekanej zielonej pietruszki.

Śledzie wymoczyć, sprawić, odfiletować, obrać z ości i skóry. Filety podzielić na 3—4 części. Jabłko zetrzeć na tarce o dużych otworach, cebulę obrać, posiekać. Jabłko i cebulę wymieszać ze śmietaną, dodać do smaku sól, cukier, sok z cytryny lub pół łyżeczki octu (jeśli śmietana jest mało kwaśna). Wlać 1/3 sosu na dno salaterki, ułożyć filety śledziowe i zalać pozostałym sosem. Z wierzchu posypać siekaną pietruszką.

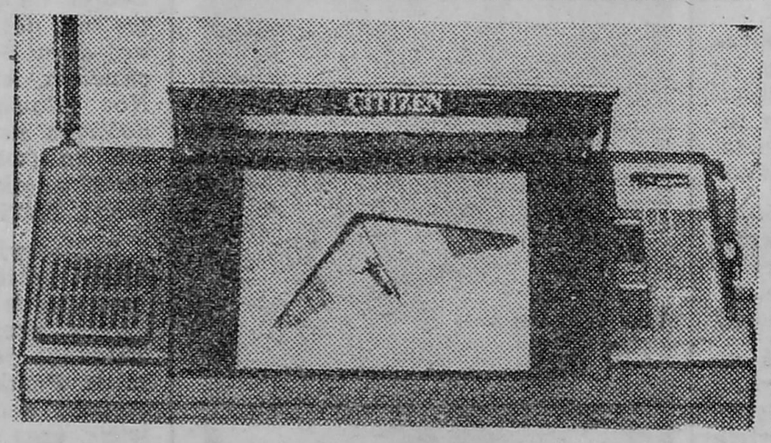

I MAŁPY LUBIĄ TELEWIZJĘ

Okazuje się, że na programy TV niezwykle żywo reagują małpy. Najmocniejsze reakcje wzbudza u nich strzelanina w filmach kowbojskich i gangsterskich oraz walki bokserskie.

TAJNA SZKOŁA MAGICZNEGO CUDOTWÓRSTWA

JAK

utrzymać w ręku rozpalone żelazo

Weź czerwonego arszeniku i ałunu po równej części, potłucz i utrzyj razem dobrze, domieszaj do tego sok z rośliny Sedums empervivum i trochę gumy, która z pachnącego drzewa laurowego wysiączy, tak że to wszystko razem się na maść utworzy. Tą maścią ręce się naciera trzy razy za razem, poczem rozpalone żelazo bez niebezpieczeństwa w ręku trzymać może aż się ostudzi. To nacieranie trzeba od czasu do czasu odnawiać.

STATEK Z ENERGIĄ

Na wszystkich dużych rzekach radzieckich wpadających do Oceanu Lodowatego pracują pływające elektrownie. Pierwsza z nich zarzuciła kotwicę u ujścia Kołomy przed 15 laty. Zakład w Tiumeniu (Syberia Zachodnia) jest jedynym w ZSRR przedsiębiorstwem, które opanowało seryjną produkcję statków energetycznych. Wyposażane w agregaty o mocy 24.000 kilowatów — mogą pracować nieprzerwanie nawet przy temperaturze minus 65 stopni Celsjusza.

Pływające elektrownie mają niewielkie zanurzenie, co umożliwia im pracę w płytkich zbiornikach wodnych. Początkowo pracowały one w oparciu o gaz ziemny; teraz mogą również wykorzystywać tanie paliwo dieslowskie. Koszt budowy statku-elektrowni zwraca się po 3—4 latach.

aby powierzyć mu jakąś ważną sprawę. Gdy w końcu miesiąca powrócił do stolicy, jednym z jego zamiarów było odszukanie Alvara. Doktor kierował się nie tylko uczuciem, ale również chęcią zaspokojenia swej ciekawości. Po prostu chciał wiedzieć, jak zakończyło się to całe dziwne zdarzenie. Kilkakrotnie nie zastawszy Alvara w jego własnym domu, bez trudu domyślił się, że łatwiej odnajdzie go u Isaury, bo jeśli przebywa ona jeszcze w Recife, to niewątpliwie mieszka w swej dawnej chatce.

Alvaro rozpoznawszy głos swego przyjaciela, gdy ten już przy wejściu do ogrodu pytał o niego, wyszedł doktorowi na spotkanie, ale wcześniej zapewnił gospodarzy, że nowo przybyły jest jego bliskim przyjacielem, któremu całkowicie ufa, i poprosił o wpuszczenie doktora.

Geraldo został wprowadzony do saloniku, mieszczącego się we frontowej części domu. Ta niezbyt obszerna salka, umeblowana z wielką prostotą, zazieleniona, pachnąca i cienista, pełna kwiatów od drzwi wejściowych do okiennic, cała opleciona przez gałęzie i gir-

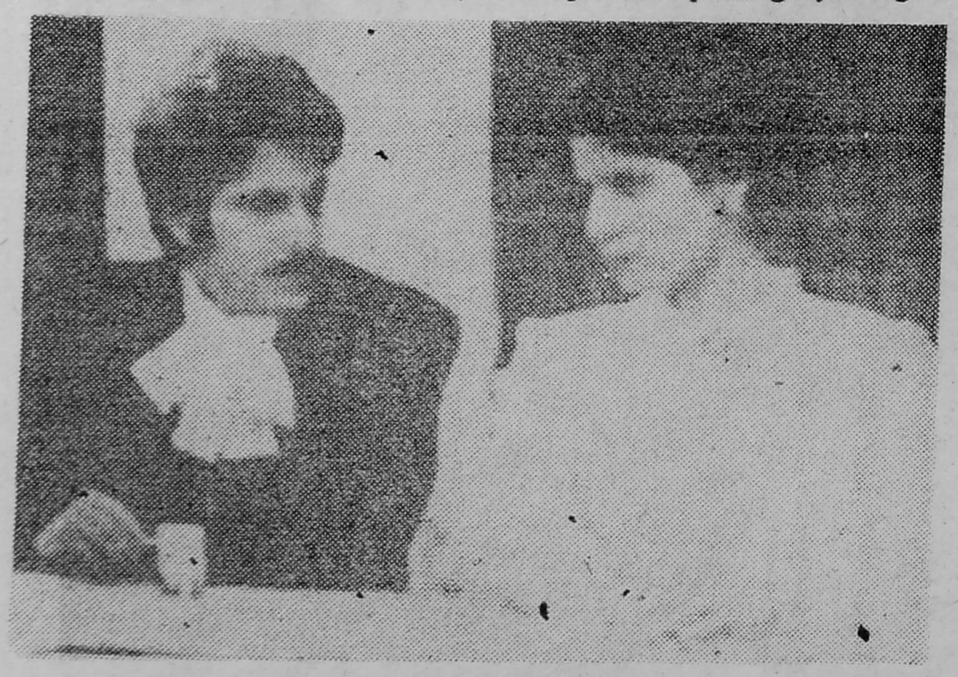

landy, bardziej wyglądała na altankę lub ogrodową grotę niż na pomieszczenie mieszkalne. Przez duże, otwarte drzwi do werandy, wychodzącej na morze, przenikało prawie całe światło potrzebne w tym zacisznym zakątku. Z werandy przez pnie palm kokosowych, które roztaczały wokół domu cień i ochłodę, spojrzenie ześlizgiwało się ku tafli oceanu, aby stamtąd chłonąć głębię czystego nieba i bogactwo blasków.

Miguel i Isaura, po przywitaniu gościa i wymienieniu z nim zwyczajowych grzeczności, domyślając się, że przyjaciele pragną być sami, dyskretnie odeszli w głąb domu.

Copyright for the Polish translation by „Kontakty", Łomża 1985

— Naprawdę, Alvaro — powiedział uśmiechnięty doktor — to takie miłe mieszkanko, że nie dziwię się twojej chęci spędzania tu większości swego czasu. Już samo miejsce wygląda jak tajemnicza grota jakiejś czarodziejki. Szkoda, że ten przeklęty łowca Murzynów nagle zdarł z twojej nimfy cały jej czar i zamienił ją w zwykłą niewolnicę.

— Och, nie żartuj, drogi doktorze. Ta niezwykła scena wywarła na mnie dziwne i smutne wrażenie. Jednak, mogę ci to szczerze wyznać, ani na chwilę nie odmieniła uczuć, jakie żywię do tej kobiety.

— Co powiesz? Aż tak daleko zabrnąłeś w swym dziwactwie?

— A co chcesz? Takim uczyniła mnie sama natura. W pierwszych chwilach zaślepił mnie wstyd, a nawet coś w rodzaju gniewu; prawie z przyjemnością obserwowałem jej ogromny strach. Jakie smutne i bolesne rozczarowanie! Widziałem, jak w jednej chwili legł w gruzach i utonął w błocie wyśniony zamek, który wzniosła moja miłość! Zwyczajna niewolnica zwodziła mnie przez tyle czasu, a w końcu boleśnie zakpiła sobie ze mnie, uczyniwszy przedmiotem drwin całego towarzystwa! Wyobraź sobie, jak musiałem być zmieszany i skonfundowany wobec tylu znakomitych dam, które podczas balu, w obecności najświetniejszego towarzystwa, zdarzyło mi się porównać ze zwykłą niewolnicą!

— A co najważniejsze — dodał Geraldo — z niewolnicą, która przyćmiła je wszystkie swoją oryginalną urodą i blaskiem talentu. Działając nawet rozmyślnie nie zdołałbyś ich bardziej poniżyć. To zbrodnia, której ci nigdy nie wybaczą, chyba że uznają i ciebie za oszukiwanego.

— No dobrze, Geraldo, ja wówczas zmieszany i spięty, który nie wiedziałem, gdzie schować twarz, dzisiaj śmieję się i jestem zadowolony z tego, że stworzyłem im sposobność do takiej przygody. Wydaje się, że Bóg rozmyślnie przygotował tę interesującą scenę, aby w sugestywny sposób pokazać, jak puste czy śmieszne jest uznanie bogactwa lub dobrego urodzenia za czyjąć zasługę, i aby obrócić w proch całą pychę oraz pretensjonalność możnych, a wywyższyć i przydać chwały maluczkim, dowodząc, że niewolnica może znaczyć więcej niż księżniczka.

Krótko trwało to pierwsze, nieprzyjemne wrażenie. Dość szybko współczucie, ciekawość i zainteresowanie, jakie nieszczęście wzbudza wśród nieszczęśliwych, a może i miłość, która nawet po tym głośnym skandalu nie zdołała wygasnąć w moim sercu, zmusiły mnie do zapomnienia o wszystkim. Zdecydowałem się na to, żeby otwarcie, za każdą cenę, bronić pięknej niewolnicy. Gdy tylko przekonałem się, że Isaura odzyskała przytomność i nie zagraża jej żadne niebezpieczeństwo, pobiegłem do domu komendanta policji, żeby wyjaśnić całe zajście. Dzięki przyjaznym stosunkom, jakie z nim utrzymywałem, zdobyłem zezwolenie na to, by Isaura i jej ojciec, gdy przekonano się, że jest on prawdziwym ojcem dziewczyny, mogli schronić się we własnym domu, zachowując wolność pod warunkiem, że zaręczę za to, iż nie uciekną. I tak się też stało, wbrew wrzaskom Martinha, który nalegał na natychmiastowe aresztowanie. Jednak rakiem następnego dnia ten sam komendant zażądał, aby

NAGRODY

2 PARY ŁYŻEW ● MASZYNKA DO GOLENIA
2 LOKÓWKI ● 4 PIŁKI SIATKOWE

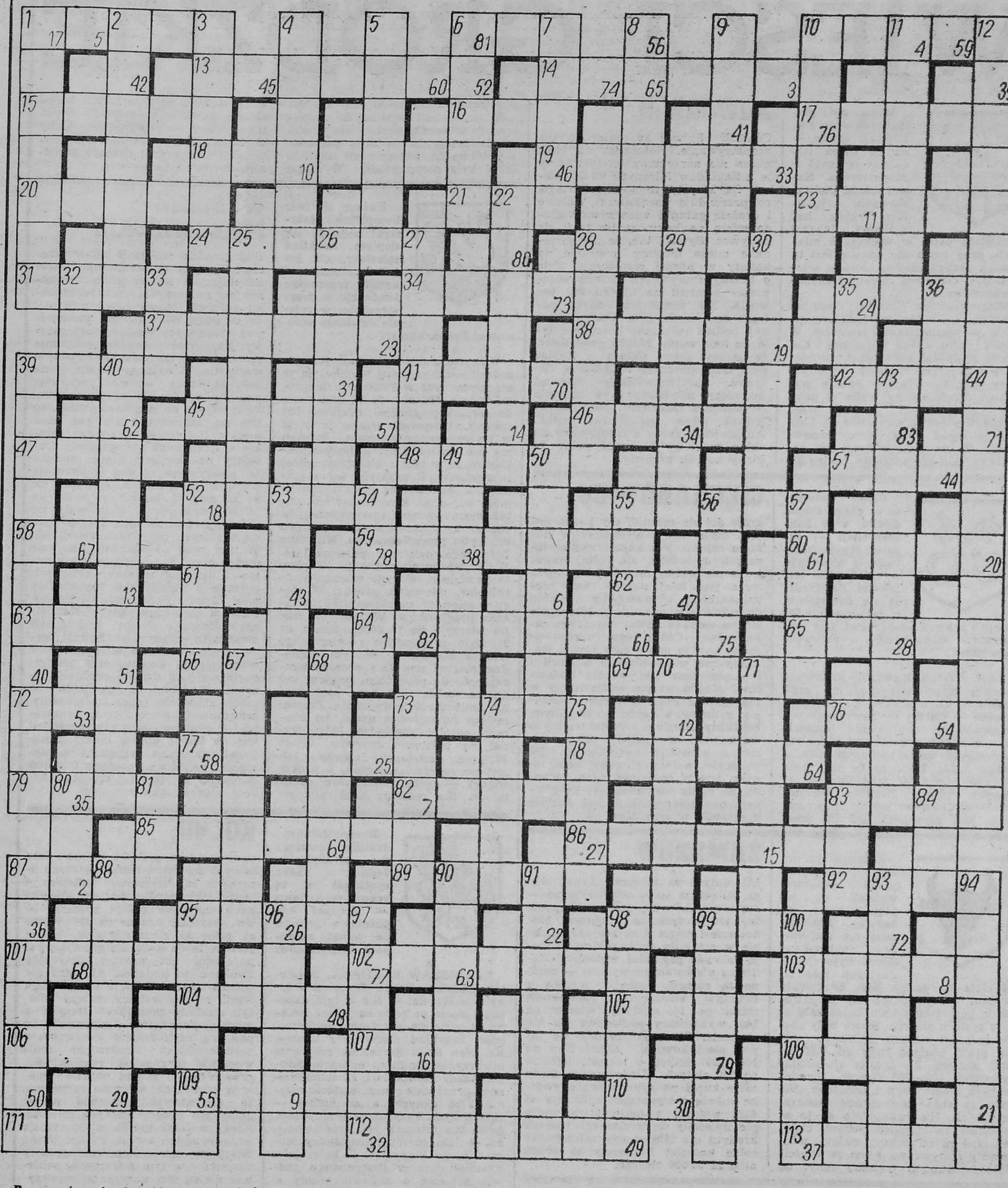

Po rozwiązaniu krzyżówki litery z kratek ponumerowanych w prawym dolnym rogu, ustawione w kolejności od 1 do 83, utworzą dodatkowe hasło.

POZIOMO: 1) dawny instrument muzyczny, 6) przeciąg, przewiew, 10) niejeden w orkiestrze, 13) pociągnięcie piórem, pędzlem, 14) wynik odejmowania, 15) popularny taniec lat sześćdziesiątych, 16) kolor karciany, którego karty biją wszystkie inne kolory, 17) rodzaj cukierka, 18) strojniś, modniś, 19) wprowadzający coś nowego w życie, 20) rodzaj śruby, 21) doniosły czyn, 23) krewny pochodzący od wspólnego przodka w linii męskiej, 24) przywódca Palestyńczyków, 28) łódź rybacka z żaglem rejowym, 31) starożytne liczydła, 34) roślina — symbol siły, krzepy, 35) klub sportowy z Czarnej Białostockiej, 37) miasto w Czechosłowacji, 38) otwory zewnętrzne nosa, 39) miara długości, 41) zimowy pojazd dla dzieci, 42) grupa osób popierających się, 45) mała rzeczka, strumień, 46) przyjmuje życzenia 3 października, 47) niejedna w kalendarzu, 48) gilza, 51) szczyt, najwyższy punkt, rozkwit, 52) narząd, 55) rezerwa, 58) okręg, rejon, 59) dochód, zysk, 60) metal szlachetny, 61) grający krążek, 62) miasto wojewódzkie, 63) siostra Balladyny, 64) dawniej walka, zapasy, pojedynek, 65) pierwiastek chemiczny, 66) produkt tartaczny, 69) termin z tresury psów, 72) do, re, mi, 73) pasek materiału przyszyty do ubrania, 76) sposób sprawdzania zdobytych wiadomości, 77) składnik stali, 78) stan długotrwałego, głębokiego snu, 79) składnik powietrza, 82) skowronek borowy, 83) chroni głowę żużlowca, 85) barwny motyl dzienny z rodziny rusałkowatych, 86) ten, kto coś spowodował, 87) wstrząs, 89) paryski rzezimieszek, 92) górna część tułowia, 95) rzeka otaczająca Hades, 98) wiszące łoże, 101) państwo europejskie, finalista najbliższych mistrzostw świata w piłce nożnej, 102) niejedna pod świąteczną choinką, 103) kopia oryginału, 104) płaksa, mazgaj, 105) umysł, 106) parada, popis, 107) część siewnika rzędowego, 108) dęty instrument muzyczny, 109) myśliwy, 110) luzak wojskowy, 111) rośnie na murawie, 112) przyrząd do rozdrabniania jarzyn, 113) klika.

PIONOWO: 1) pieniądze do dyspozycji w każdej chwili, 2) gałgan do mycia, 3) lubi piękno, porządek, 4) pewien wydzielony obszar, 5) dłuższa wypowiedź utrzymana w podniosłym stylu, 6) wiejski budynek mieszkalny kryty strzechą, 7) pali się pod nogami, 8) papierosy, kawa, herbata, 9) dzień tygodnia, 10) gatunek herbaty indyjskiej, 11) łatwo wpada w złość, 12) skrzynka do przechowywania kosztowności, 22) drogocenny wyrób jubilerski, 25) dowolny obracający się układ fizyczny, 26) zagłębienie w murze, zwykle z otworem na drzwi, 27) osoba zobowiązana do zapłacenia sumy podanej na tracie, 28) wygnaniec, 29) zapas, 30) napaść, najazd, 32) wąż dusiciel, 33) cyfrowy zapis na kopercie, 35) sidła, potrzask na ptaki, 36) matka bogów, 39) lokal gastronomiczny, 40) sztycharstwo, 43) przedstawiciel królowej sportu, 44) ubóstwo, bieda, 49) skaza, wada, 50) rulik, 52) resztka pozostała po wyprodukowaniu produktu, 53) poziomy występ na zboczu skały, 54) jezioro we wschodniej Afryce, 55) miasto w płn. Nigerii, 56) chybiony strzał, 57) kawał, spłacheć, 67) część składowa jakiejś całości, 68) ozdobny gzyms budowli, 70) bok pudełka od zapałek, 71) serpula, 73) rodaczka, krajanka, 74) cieplica, 75) likier kminkowy, 80) wada wzroku, 81) klepisko, 83) oprawca, tyran, 84) produkt mleczarski, 87) ważna ruda żelaza, 88) gatunek jaskółki, 90) przeciwieństwo capstrzyku, 91) urządzenie dźwigowe, 93) armatura, 94) roślina wiosenna o kwiatach fioletowych, 95) bajarz góralski, 96) japoński fizyk teoretyk (ur. 1907 r.), laureat nagrody Nobla, 97) ucieka przed nagonką, 98) okup, 99) np. Luwr, 100) z igłą magnetyczną.

EUGENIUSZ JACEL

Wśród Czytelników, którzy do 5 stycznia 1986 r. nadeślą do redakcji prawidłowe rozwiązanie (tylko hasło), rozlosujemy specjalne — świąteczne — nagrody, ufundowane przez Bank Gospodarki Żywnościowej w Łomży.

WIEŚCI GRODZKIE

NOWOGRÓD

Mimo optymistycznych ocen stabilizacji rynku — na co dzień widoczne są braki w zaopatrzeniu. Nawet wśród podstawowych artykułów wybór jest znikomy. Inaczej wyglądają półki w większych miastach, przy czym nie zawsze jest to zasługa rozdzielników, bowiem wiele zależy także od inwencji zaopatrzeniowców.

Wiceprezes ds. handlu Gminnej Spółdzielni: — My też jeździmy po kraju w poszukiwaniu towarów. W piątek prezes wrócił z Kurowa i Łukowa; załatwiał koncentrat pomidorowy i pastylki miętowe. Produkujemy krówki, więc, w drodze wymiany, otrzymaliśmy wafle w polewie czekoladowej. Jeszcze przed świętami pojedzie samochód do Lublina po miód pitny. Mamy zapewnienie, że na święta karpi nie zabraknie. Ale nie możemy pochwalić Centrali Rybnej za systematyczne zaopatrywanie. Natomiast na brak mięsa nie narzekamy (otrzymujemy je z Zakładów Mięsnych w Ostrołęce). Są kłopoty ze sprzedażą tego, co przewiduje rozdzielnik. Wołowe i droższe gatunki wieprzowiny długo wiszą na haku, zanim trafi się nabywca. Bywa i tak, że nie sprzedane mięso musimy przerobić na kotlety w naszej restauracji. Tyle o branży spożywczej. Kolega wiceprezes załatwił na Śląsku 300 ton węgla. Nie zaspokoimy chyba potrzeb opałowych, jeśli wiadro zielonek będzie na skupie kosztować tyle, co tona węgla. Można powiedzieć, że mamy dobre układy z Zakładem Gospodarczym WZSR-u w Giżycku. Otrzymywaliśmy stamtąd komplety młodzieżowe, a ostatnio — łóżeczka dziecięce. Nie mamy jednak gdzie sprzedawać mebli. Adaptujemy jeden z magazynów na sklep meblowy i spożywczy. To plany na rok przyszły.

CIECHANOWIEC

Chore zwierzęta to chore mięso, mleko, a w konsekwencji — ludzie. Wyrywkowe badania wykazują, że mleko jest złej jakości. Powtarzają się doniesienia o zatruciach włośniem i innymi pasożytami. Czy weterynarze mogą pomóc w poprawie tego stanu?

JAN BONDARENKO, kierownik lecznicy specjalistycznej im. prof. Tadeusza Jastrzębskiego w Ciechanowcu: — Łatwo zaobserwować pęd rolników do zwiększenia hodowli, ale nie każdy posiadający kilka czy kilkanaście sztuk zwierząt uświadamia sobie fakt, że to już mała fabryka mleka, wymagająca szczególnych starań. Niestety, świadomość rolników w wielu przypadkach jest niewielka. Aż 70 proc. krów doi się ręcznie; czy każda dojąca myje ręce i wymiona? W naszym rejonie jest kilkanaście schładzarek do mleka, ale bodaj nawet jedna nie jest czynna. Najważniejsza teraz jest telefonizacja wsi; niejednokrotnie wystarczyłby telefon do udzielenia porady, a często nie można wezwać nawet pogotowia ratunkowego. Cóż z tego, że sprowadzono bardzo dobre rasy bydła, jeśli nie ma warunków do hodowli i niedostateczna jest wiedza hodowców? Każda wizyta weterynarzy w zagrodzie to małe szkolenie. Pouczamy, radzimy, a często rozwiązujemy konflikty rodzinne. Mimo trudnych warunków, w jakich pracujemy, można mówić o osiągnięciach. Do rzadkości należą choroby koni, owiec, trzody chlewnej. Stan zachorowań bydła utrzymuje się na równym poziomie. Większa jest dbałość o czystość w zagrodach.

ZAMBRÓW

Rozsądni już na dwa tygodnie przed świętami wybrali się na plac targowy po zakupy. Niestety, ceny nie zachęcały nabywców. Sporo było sprzedających jaja po 34 złote za parę. Nie brakowało drobiu: oskubane ale nie wypatroszone gęsi można było kupić za półtora tysiąca złotych. Spore były rozbieżności w cenach indyków: żywe ptaki cenione były od 1500 do 2300 złotych. Za koguty sprzedający chcieli 500—700 złotych. Niewiele było masła, sera i śmietany. Nie było też widać tegorocznego urodzaju jabłek. Nie brakowało za to amatorów świątecznej pieczeni cielęcej. Już przed bramą cielęta znajdowały nabywców, mimo że właściciele wystawiali wysokie ceny: od 240 złotych za kilogram żywej wagi. Nawet za słabo odżywione zwierzęta nie dało się utargować poniżej 190 złotych za kilogram. Monotonne i ciągle kulejące zaopatrzenie w artykuły przemysłowe próbują ratować prywatni wytwórcy. Sądząc z oferowanego wyboru — modne są różnego rodzaju wyroby z tworzyw sztucznych: plastykowe miski po 145 złotych, wiadra po 290, wykładziny podłogowe po 455 za metr. Stragany uginały się też pod plastykowymi Mikołajami po 100—200 złotych i takimiż lalkami po 300 złotych. Młode mamy mogły sobie kupić na sywestrową prywatkę suknię z błyszczącą aplikacją za 4350 złotych, a małżeństwa, które nie zmieściły się w ciasnych ramach kredytu dla MM, mogły zafundować sobie komplet kuchenny za 30 000 albo za 38 000 złotych.

GRAJEWO

Rozmowę prowadzimy w chwili pierwszego ataku zimy w tym roku. Na drogach w okolicach Grajewa nie widać ani jednego pługa. Dopiero dzisiaj ustawiono płotki przeciwśnieżne.

BARBARA ROMANOWSKA, kierowniczka działu utrzymania w Rejonie Dróg Publicznych w Grajewie: — Szczerze mówiąc, mam bardzo ograniczone środki do walki ze skutkami zimy. Gdyby zaczął się atak zimy i cały sprzęt, który posiadamy, trzeba byłoby wykorzystać, paliwa wystarczyłoby na 6 dni. Nie jest dobrze z zaopatrzeniem w sól. Zaplanowaliśmy zgromadzenie 1800 ton, a dotychczas udało się zwieźć na składowisko 700 ton. Nie wiem, czy do końca roku zbierzemy resztę. Kopalnia soli w Kłodawie odpowiada, że brakuje wagonów. W takiej sytuacji uprzedzamy kierowców, że cudów na drogach nie stworzymy. Nawet na najważniejszej drodze w naszym rejonie (nr 11), Rajgród—Łomża, może nie być czarnej nawierzchni. Na pozostałych, drugiej i trzeciej klasy, będziemy posypywać tylko łuki jezdni, skrzyżowania i przystanki. Swoją pracę planujemy na podstawie codziennych informacji z Instytutu Meteorologii. Jeśli zapowiadają pogorszenie pogody, ustanawiamy dyżury pracowników. Z moich szesnastoletnich obserwacji wynika, że zaopatrzenie w środki służące do utrzymania przejezdności dróg pogarsza się. Mimo to zdarzyło się tak, że drogi były nieprzejezdne. W czasie zimy stulecia w Stawiskach został nawet przebity w zaspach wąski tunel. Pamiętam przypadek, kiedy w Grajewie posypywano ulice nawozami sztucznymi; naszego przedsiębiorstwa na to nie stać.

Kończy się rok; kompletne statystyki pojawią się dopiero za kilka miesięcy, ale już teraz można określić tegoroczne tendencje w przestępczości w rejonie działania miejscowej Prokuratury.

Wiceprokurator Prokuratury Rejonowej: — Z rejestru wynika, że w ubiegłym roku w Prokuraturze prowadziliśmy 696 spraw. W tym roku, do początków grudnia, mieliśmy 564 sprawy. Uzupełnić trzeba je o 18 w trybie przyspieszonym, których my nie prowadzimy. Z liczb wynikałoby, że w tym roku będzie mniej przestępstw. Z praktyki wiem jednak, że pod koniec roku liczba ta może wzrosnąć. Ewentualny ich spatek można wiązać (przynajmniej w części) z wprowadzeniem w lipcu br. trybu przyspieszonego. Widoczne było jego działanie odstraszające. Większość popełnionych przestępstw to kradzieże, w tym włamania do sklepów, mieszkań, piwnic. W ciągu 9 miesięcy zanotowaliśmy 21 takich przypadków. W tym też czasie zdarzyło się 12 bójek. Sporo, bo 21, było przypadków nielegalnego handlu alkoholem. W tym względzie martwi nas duży procent wracających do procederu, bowiem sąd orzeka wobec nich karę pozbawienia wolności w zawieszeniu. Później melina funkcjonuje nadal, bo ukarany odrabia pieniądze, które wydał na opłacenie grzywny. Około 40 proc. przestępstw popełnianych jest po spożyciu alkoholu, a jeszcze więcej — przez nietrzeźwe osoby młode. Nie możemy pochwalić się skuteczności realizacji ustaw przeciwdziałających demoralizacji. Wielu uchylających się od pracy formalnie jest związanych z gospodarstwami rolnymi. Mamy sporo pretensji do organów administracji państwowej stosujących przepisy tej ustawy. Zamierzamy właśnie dokładnie skontrolować ich działalność w tym względzie. Z naszego rejonu sporo osób wyjeżdża do USA. Niestety, powroty często nie są sielankowe. Wpływa też do nas wiele skarg od żon na znęcających się nad nimi mężów. Natomiast po słynnej sprawie w Raciborach nie notujemy kradzieży na kolejach. Inna sprawa, że wykrywane są one dopiero na stacji w Białymstoku. Zdarzyły się za to trzy śmiertelne wypadki na torach; dwie ofiary znajdowały się pod wpływem alkoholu. Zdarzył nam się też jeden przypadek zabójstwa. W tym roku ujawniliśmy działanie dwóch grup przestępczych, dwudziesto- i dziesięcioosobowej, złożonych głównie z nastolatków (najmłodszy miał 13 lat). Włamywali się do domów w okolicach Zaręb Kościelnych. Znaczną liczbę przestępstw popełniają recydywiści. Milicja często przeprowadza z nimi rozmowy ostrzegawcze. Prokuratorzy nie uchylają się od działań profilaktycznych: chodzimy na spotkania do szkół, zakładów pracy, ostrzegamy, informujemy. Zimą chcemy przeprowadzić cykl rozmów z mieszkańcami wsi na temat upraw maku. Zanotowaliśmy jeden przypadek narkomanii, ponadto notujemy wśród młodzieży przypadki wąchania środków odurzających.

WYSOKIE MAZOWIECKIE

KOLNO

Rezmieślników drażnią rozmowy o pieniądzach. Jednak każde spotkanie z tą grupą zawodową — prędzej czy później — schodzi na temat zarobków i podatków.

STANISŁAW RUCHAŁA, inspektor Oddziału Cechu Rzemiosł Różnych w Kolnie: — Nic w tym dziwnego, skoro co roku są jakieś zmiany w systemie obciążeń rzemieślników. Przykład pierwszy z brzegu: Krajowa Rada Rzemiosła uchwaliła utworzenie funduszu mieszkaniowego. Każdy rzemieślnik za zatrudnionego pracownika musi wpłacić rocznie 2700 złotych, a za ucznia — 1350 złotych. Przyznam, że nie wiem, gdzie ten fundusz jest gromadzony, ani w jaki sposób rzemieślnicy mogą z niego korzystać. Z kolei Izba Rzemieślnicza w Białymstoku podjęła uchwałę o budowie szkoły w Suwalskiem, więc rzemieślnicy mają obowiązek złożyć w Cechu po 1200 złotych. Albo weźmy ubezpieczenie ZUS-owskie. Rzemieślnik płaci składki, ale w razie wypadku nie otrzymuje odszkodowania. Musi być dodatkowo ubezpieczony. Rzemieślnik przy trzeciej grupie inwalidzkiej nie dostaje renty, natomiast inne grupy zawodowe ją otrzymują. Zasiłek chorobowy dostaje wyłącznie za ponad 30-dniowe zwolnienie lekarskie. Nie ma też jednoznaczności w systemie podatkowym. Np. w przypadku usług budowlanych cenniki są nieaktualne. Wartość usług wycenia się na podstawie kalkulacji. Musi wykonać ją fachowiec, i to nie za darmo, co podnosi ceny w budownictwie. Izba Skarbowa wydała w październiku decyzję o zwolnieniu od podatku na dwa lata nowych zakładów rzemieślniczych uznanych za deficytowe. Mniejsza o błędy, jakie popełniono przy klasyfikacji zakładów (moim zdaniem — nie wszystkie uznane za deficytowe są takie w rzeczywistości); ważne jest to, że do kwietnia obowiązywał poprzedni akt prawny dotyczący zwolnień od podatku. Ale nikt nie potrafi odpowiedzieć, dlaczego mają tracić ci rzemieślnicy, którzy założyli zakłady pomiędzy starymi a nowymi przepisami o zwolnieniu od podatku, czyli między kwietniem a październikiem. Środowisko zbulwersował przypadek rzemieślnika, prowadzącego zakład naprawy maszyn rolniczych, któremu zarzucono, że remontował samochód marki „Żuk" nie będący maszyną rolniczą. Kiedy w jakiś sposób udało mu się odparować ten zarzut, z kolei Urząd Skarbowy zakwestionował naprawy ciągników w tym warsztacie, ponieważ nie są one maszynami rolniczymi, gdyż podlegają rejestracji. Rzemieślnicy narażeni są na różne zarzuty, a ja niewiele mogę im pomóc. Nie dysponuję nawet zbiorem „Dzienników Ustaw" ani czasopismem „Rzemieślnik", ponieważ łomżyński Cech nie chce zaprenumerować tych czasopism. Takie są skutki braku samodzielnego cechu w Kolnie. Był jeszcze w czasach powiatowych. Gdybyśmy teraz chcieli wrócić do samodzielności, musielibyśmy wprowadzić dodatkowe opłaty. Ale może wtedy łatwiej byłoby o przydział materiałów i surowców? Rzemieślnicy opowiadają, że np. w Gdańsku każdy posiadacz zakładu usługowego otrzymuje talon na paliwo. U nas tylko ci, dla których samochód jest warunkiem wykonywania zawodu.

WIEŚCI GRODZKIE

wieści gminne

MAŁY PŁOCK. Mieszkańcom Rogienic nie odpowiadała pozorowana działalność kulturalna Klubu „Ruchu" i sami zamierzają gospodarzyć w wiejskiej świetlicy. Przeprowadzili remont budynku i kupili nowe meble. Oficjalnie samodzielna działalność rozpocznie się od zabawy sylwestrowej. Potem mają być kursy dla kobiet, pogadanki i prelekcje. Po zezwolenie na urządzenie wesela w świetlicy nie trzeba będzie już jeździć do dyrekcji PUPiK-u w Grajewie; będzie mógł wydać je sołtys.

◆ Mieszkańcy tych samych Rogienic nie mogą zapomnieć czasów, kiedy wieś była siedzibą Gminy. Śni się im zwłaszcza smak chleba z piątnickiej piekarni. Po zmianach granic administracyjnych wieś została przypisana do gminy i piekarni w Małym Płocku. Mieszkańcy wsi darowaliby jakoś nową przynależność, ale uważają, że jedzenie kwaśnego chleba to już za wiele. Doprowadzili nawet do spotkania prezesów obu gminnych spółdzielni — Kolna i Małego Płocka, ale bez skutku. Nikogo natomiast nie dziwi fakt, że sąsiednia wieś, Murawy, korzysta z bazy magazynowo-skupowej w Rogienicach, mimo że jest położona w sąsiedniej gminie.

◆ Posiadaczy przydomowych stad drobiu zaskoczyła decyzja „Poldrobu", który w tym roku — wraz z pisklętami — nie dostarcza mieszanki na ich odchów, a jedynie koncentrat paszowy. Rozgoryczenie decyzją wynikło nie tyle z faktu, że mieszanki nie będzie, co z tego, że zbyt późno o tym poinformowano. Trudno teraz przygotować odpowiednie pasze domowe.

GRABOWO. Prostujemy informację sprzed dwóch tygodni: w miejscowej czytelni jest 400 czytelników, a nie — jak podawaliśmy — 1800. Ale nie książki mieszkańcom gminy w głowie, kiedy zbliża się karnawał. W drugi dzień świąt miejscowy LZS organizuje zabawę taneczną. Natomiast bal sylwestrowy przygotowuje miejscowa organizacja ZSMP.

◆ Przygotowania do świąt przebiegają bardziej prozaicznie niż do Sylwestra. Wracają stare problemy z proszkiem do prania. W ubiegły piątek, w czasie dostawy do miejscowego kiosku, ustawiła się kilkudziesięcioosobowa kolejka.

WĄSOSZ. Do miejscowego ośrodka zdrowia zjeżdżają pacjenci nawet spoza województwa po poradę do pediatry. Niestety, nawet najlepszy pediatra nie zastąpi stomatologa, którego brak w ośrodku. Mieszkańcy gminy muszą podróżować po okolicy z bolącymi zębami; niestety, bezskutecznie. W Radziłowie ich nie przyjmują, a w Szczuczynie przyjęcie wymaga specjalnych próśb. W Grajewie, gdzie jest siedziba dyrekcji ZOZ-u, odsyłają do rejonu, czyli do Radziłowa i Szczuczyna.

◆ Nienormalna sytuacja panuje na rynku matrymonialnym; polega ona na tym, że w Wąsoszu, który jest przecież wsią, łatwiej o pannę niż o kawalera, czyli odwrotnie niż w innych wsiach. W samym tylko Urzędzie Gminy pracuje pięć panien, które nie odżegnują się od małżeństw z rolnikami. Ponoć pewnym wyjaśnieniem tej sytuacji jest fakt, że w organizowanych co pewien czas meczach piłkarskich kawalerowie kontra żonaci ani razu nie zwyciężyli zawodnicy stanu wolnego.

◆ Miejscowi aktywiści kulturalni nie mogą doczekać się zakończenia budowy GOK-u. Mają nadzieję, że może wówczas uda się wzniecić zainteresowanie mieszkańców wsi imprezami kulturalnymi. Sytuacja jest bowiem taka, że na jednej z ostatnich wieczornic wiersze musieli deklamować dyrektorka GOK-u, inspektor oświaty i instruktor, a naczelnik gminy przyniósł z domu samowar. Po wznowieniu działalności baru po raz kolejny okazało się, że najliczniejsza jest drużyna skautów piwnych.

Święta przed telewizorem...

Tegoroczny program zapowiada się niezbyt atrakcyjnie. Wielkich przebojów nie będzie, kilka pozycji możemy jednak telewidzom polecić.

Od 22 grudnia przez 5 kolejnych wieczorów śledzić będziemy perypetie emeryta — wyreżyserowane przez Edwarda Dziewońskiego, z nim samym w roli głównej. Towarzyszą mu Grażyna Barszczewska, Ewa Borowik, Joanna Jędryka i Henryk Borowski.

W Wigilię zobaczymy sentymentalną opowieść o spotkaniu dwojga ludzi po 50 latach i „Opowieść wigilijną" według Karola Dickensa. W ciągu dwóch świątecznych dni obejrzymy filmową opowieść o trzech, a następnie o czterech muszkieterach, wyreżyserowaną przez słynnego Josepha Loseya, „Asa nad asy", czyli Jean-Paula Belmondo, Jana Kiepurę w erefetanowskim filmie „Dla ciebie śpiewam", „Romans w Orient-Expressie" i „Latarnię na końcu świata" wg Julesa Verne'a.

Mocnym uderzeniem dla ucha i oka będzie zapewne relacja z katowickiego Spodka koncertu „Przebojów dwójki", sporo zwolenników znajdą też prawdopodobnie filmy dokumentalne: „Historia Johna Lennona" i „Świat oczami zwierząt".

W Sylwestra zobaczymy m.in. „Królową Sabę" i radziecki film „Siedem szczęśliwych nut" (drugą jego część telewizja zaproponuje w Nowy Rok), a ponadto: „Panna W." z Romanem Wilhelmim, „Człowieka z Hongkongu", czyli znów Jeana-Paula Belmondo z uroczą Ursulą Andress oraz angielską komedię „Ach, jaki pan szalony" i — również angielski — film fantastyczno-naukowy „Galaktyczny ogród".

...i nie tylko

Redaktor RYSZARD BADOWSKI: — Po raz pierwszy od wielu lat spędzę Święta z rodziną. Nie wyobrażam sobie żadnego polskiego domu bez suto zastawionego stołu i włączonego telewizora. Sam jednak nie oglądam całego programu. Marzę o długich spacerach. Wybiorę zapewne kilka dobrych filmów. Sportem ostatnio interesuję się mniej, a od kiedy atmosfera na stadionach się popsuła, nie chodzę na mecze. Chętnie za to oglądam transmisje z tenisa stołowego czy pełnych gracji tańców na łyżwach. Polecam wszystkim telewidzom swój program (25 grudnia) o Tybecie, do którego Polacy docierają niezmiernie rzadko.

Psycholog MAREK KOTAŃSKI: — Zarówno moja rodzina, jak i „Monar", są moim osobistym życiem. Święta też dzielę między dom i ośrodek. Spróbuję jednak jak najwięcej czasu poświęcić żonie i 14-letniej córeczce Asi oraz złożyć w Wigilię życzenia w Programie III radia wszystkim uzależnionym od narkotyków. Święta w monarowskich ośrodkach mają bardzo rodzinny, domowy charakter. Dekorujemy choinki, sami przyrządzamy tradycyjne potrawy, a Mikołaj przyjeżdża z masą podarunków, szczególnie dla naszych dzieci. Jest bardzo ciepło i serdecznie. Niektórzy z nowych pacjentów przez lata nie przeżywali takich normalnych Świąt.

Aktorka HANKA BIELICKA: — Mam nadzieję, że zdążę się do nich przygotować. Dotychczas 20 dni miesiąca spędzałam w podróżach, czyli na trasie występów „Estrady". W listopadzie osiem dni byłam w Łomży. Pobyt w rodzinnym mieście wspominam bardzo mile. Następny raz przyjadę jednak dopiero z nowym programem.

Teraz, po dziesięciu latach przerwy, wróciłam do teatru „Syrena". Na szczęście spektakl z okazji jubileuszu „Szpilek" kończymy 18 grudnia i zacznę na dobre rozpakowywać walizki, prać firanki, odkurzać, pichcić.

Święta Bożego Narodzenia spędzę tradycyjnie: Wigilię — z siostrą jedynie, na spokojnych, nostalgicznych nieco wspomnieniach. W Święta zjawią się liczni goście. Swoich osobistych dzieci wprawdzie nie mam, lecz przyszywanych, i bardzo kochanych, sporo. A już i one mają dzieci, więc będzie, jak zwykle, gwarno i wesoło.

Spikerka EDYTA WOJTCZAK: — Święta cieszą mnie nie ze względu na atrakcyjny program telewizyjny, lecz na spotkania towarzyskie, które bardzo lubię, a na które normalnie wciąż brakuje czasu. Sama wybieram pozycje do oglądania bądź ze względu na interesującą mnie tematykę, bądź na ulubionych reżyserów czy wykonawców. Mam też nadzieję, że telewidzowie nie będą narzekać w Święta na telewizję.

z marginesu

Grudzień jest miesiącem ożywionych zakupów, a także kradzieży portmonetek. Mniej wyrafinowani fachowcy — zamiast delikatnego wyłuskiwania portmonetek z torebek i kieszeni — kradną towary. Jan R., wspólnie z nieletnimi, obrabiał kioski warzywniczo-owocowe z gum do żucia, kawy i pieniędzy. Parafianin Kazimierz N. z Bronowa zwędził księdzu proboszczowi kanister z benzyną, 7 proszków do prania i 2 kartony darów. Nieznani sprawcy skradli kolorowy telewizor z prywatnego mieszkania w Szczuczynie, a nawet betoniarkę z podwórza rolnika w Romanach (gmina Ciechanowiec). W Łomży z szafki ubraniowej w pomieszczeniach Pogotowia Ratunkowego ktoś zabrał 30 000 złotych, a w Liceum — kurtkę z foki i skórzane rękawiczki jednej z nauczycielek. W grajewskiej Szkole Podstawowej nr 2 spenetrowano sklepik (zysk: 3000 w gotówce) oraz Przedszkole nr 1 (kawa i papierosy z dyrektorskiego biurka).

□

Dwaj panowie po czterdziestce z Wejherowa podróżowali pociągiem relacji Gdańsk—Białystok na alkoholowym luzie. Wojciechowi H. „przypasowały" świetlówki, a Jerzemu K. — zasłonki okienne ze znakiem firmowym PKP. Na dworcu w Grajewie wyskoczyli do kiosku „Ruchu", i choć ten (po 22.00) był już nieczynny, nie przeszkodziło to im w zaopatrzeniu się w towary po wybiciu szyby. Jerzy K., ojciec dwojga dzieci, wziął dwa egzemplarze tygodnika „Razem" i książkę „Dzwonnik z Fredland"; Wojciech H. dzieci ma czworo, więc przywłaszczył dwa egzemplarze „Dzwonnika" i 12 — „Razem" oraz 3 komplety mazaków, gwizdek, portmonetkę i szabelkę dziecięcą. PKP poniosła szkodę w wysokości 3500, a „Ruch" — 500 złotych. Dzieci i żony nie doczekały jednak „Mikołajów", których osadzono w grajewskim areszcie.

□

W końcu roku rosną obroty dolarami: oficjalnie w „Pewexie" i nieoficjalnie — przed „Pewexem" oraz w ustronnych miejscach. Niepracujący kawaler pod czterdziestkę, Ryszard P. z Grajewa, sprzedał 100 dolarów USA Czesławowi Ch., emerytowi po siedemdziesiątce. Postępowanie wszczęto przeciw obu panom.

□

Inny grajewianin, wszedłszy przez okno balkonowe, zaopatrzył się w 800 dolarów i 23 000 złotych. Właścicielka mieszkania i walorów, Irena S., podejrzewała o kradzież swego byłego męża, Bogdana. I słusznie.

□

Pewnego wczesnego popołudnia do RUSW w Zambrowie zgłosiła się 27-letnia H.K., by powiadomić organ ścigania o gwałcie nocnym, popełnionym na niej przez, o dwa lata starszego, żonatego i dzieciatego taksówkarza P. Zanim naruszył jej panieńską godność, od 22.30 przez dwie godziny konwersowali przy wódeczce u koleżanki H.K. — Marii. Pogawędce towarzyszyły ostre zaloty P. do K. Po północy P. opuścił gościnne progi pani Marii, a H.K. poszła jego śladem. Wtedy okazało się, że P. czekał na nią i zaproponował papierosa w samochodzie. Przystała na to. Potem P. uruchomił silnik i pojechali poza miasto. Na polnej drodze zatrzymał wóz, rozłożył siedzenia i zaczął ją rozbierać. Odpychała go, płakała, drapała nawet. Zmagania trwały blisko dwie godziny, tzn. do około 3.30 nad ranem, po czym P. odwiózł ją pod dom. Jako dowód zgwałcenia H. K. przedstawiła otarcie naskórka w okolicy krocza. Prokurator natychmiast zatrzymał P. oraz polecił zabezpieczyć jego spodenki. Gdy rzecz całą zbadano wnikliwiej, okazało się, że to panna H.K. zatrzymała P. i zaproponowała mu wieczór towarzyski u kochanki. Zjawił się po ostatnim kursie. Panie już były miło usposobione. K. siadła mu na kolanach, czuliła się, więc reszta nocy była niejako naturalnym przedłużeniem prowokacyjnego zachowania się panienki. Na ciele P. nie znaleziono żadnych zadrapań czy sińców. Trudno pojąć, dlaczego panienka — po wyspaniu się — najpierw postanowiła partnera oskarżyć, a po przemyśleniu sprawy wycofała oskarżenie. Czy to tylko jeden ze sposobów na życiową nudę? Nie polecamy, bo na fałszywe oskarżenie też jest paragraf.

□

Marek W. i Waldemar K. z Kielecczyzny odwiedzili ziemię łomżyńską, by kupić cztery konie na targu, czego dokonali bez trudu. W Klukowie zatrzymał ich milicjant prosząc o dokumenty do kontroli. Zamiast nich podali 2000 złotych. Funkcjonariusz pieniędzy nie przyjął, a kupcy — sądzeni w trybie przyspieszonym — muszą zapłacić za łapówkarstwo po 100 000 złotych każdy.

□

Kierownik sklepu w S. robił mikołajkowe prezenty, nie wiedząc — komu. Zamiast zamrażarek, pralek, mikserów itp. przyjmował do sklepu faktury i pieniądze. W areszcie ma czas się zastanowić, czy on komuś oddał przysługę, czy też raczej ktoś się jemu przysłużył.

□

Wszystkim panom szukającym wyręki bądź pomocy w przedświątecznych porządkach radzimy dobrze patrzeć na ręce „pomagaczy". Sylwester Sz., osiemnastolatek, zamiast sprzątnąć mieszkanie z kurzu, oczyścił je z 80 000 złotych i 20 dolarów.

□

Regulacja Narwi, a dokładniej — wykładanie jej brzegów faszyną — ma obecnie miejsce w gminie Zbójna. Monotonne dość zajęcie pracownicy rzeczni zaczęli sobie urozmaicać pracami ubocznymi i wkrótce do posterunku z Zbójnej dotarły słuchy, że obcy kłusują. Milicjanci przespacerowali się po lesie i znaleźli 30 wnyków. Czekali jednak na świeży śnieg i wyraźne ślady. Którejś nocy aura okazała się dla kłusowników niepomyślna i rankiem na barkach przypłynęli milicjanci. Oprócz pęku wnyków znaleźli zająca, a u Stanisława S. — butelkę po bimbrze, 35 litrów zacieru i aparaturę do pędzenia samogonu. Za bimbrownictwo S. został natychmiast skazany na rok „odsiadki" i 50 000 grzywny plus 16 000 kosztów sądowych, natomiast za kłusowanie odpowie (wraz z kolegą) po odrębnym postępowaniu. Żyło się szyprom nieźle: świeże ryby, dziczyzna, bimbrek. Nie przewidzieli, że w okolicznych lasach więcej jest rodzimych kłusowników niż zwierzyny i żadna obca konkurencja nie ma szans.

□

Ustawa z 1 lipca br. nie powstrzymała prawdopodobnie wielkich producentów bimbru, lecz wielu pomniejszych zlikwidowało swój niedozwolony interes. Nie ma jednak tygodnia bez czyjejś wpadki na nielegalnym handlu „monopolówką". Kary są wysokie, a za obrazę funkcjonariusza, o którą w „nerwach" nietrudno, o 80 000—100 000 wyższe.

□

W zaprzyjaźnionym województwie na wiejskim weselu tradycyjnie obficie zakąszano i jeszcze obficiej popijano. Samogonkę, oczywiście. Jakiś zazdrośnik poinformował o tym tym telefonicznie posterunek. Milicjanci zjawili się niezwłocznie. Serca mieli twarde, acz nie z kamienia. Wesele trwało nadal; pozwolili nawet młodemu na skonsumowanie małżeństwa, a rankiem świeży żonkoś, wraz z teściem, powędrował na rok za kratki. Przypominamy bimbrownikom oraz kłusownikom wszelkiej maści: strzeżcie się, a szczególnie w Noc Wigilijną; wtedy mówią nawet zwierzęta.

**Artykuły gospodarstwa domowego oraz części zamienne do:
ODKURZACZY, ŻELAZEK, LODÓWEK, PRODIŻÓW, ROBOTÓW
P O L E C A**
nowo otwarty sklep: Łomża, ul. Księcia Janusza I 4, Wiśniewski.
K-7365

ogłoszenia drobne

SPRZEDAM ciągnik radziecki T 25 A. Krajewo Budziły, gm. Szumowo. K-7360

SPRZEDAM dom jednopiętrowy. Wiadomość: Łomża, Mickiewicza 19/4. K-7363

SPRZEDAM pawilon handlowy (60 m, centralne, siła). Łomża, tel. 48-08. K-6712

ŁOMŻA, spółdzielcze M-3 zamienię na podobne w Poznańskiem. Telefon: Poznań, 170-082. K-6716

Wyrazy głębokiego współczucia
płk. rez. MO MIKOŁAJOWI BASIAKOWI
z powodu tragicznej śmierci
CÓRKI BARBARY
Wojewódzki Sztab ORMO i funkcjonariusze Wydziału Prewencji WUSW w Łomży.
K-533

ADRES REDAKCJI: ul. Świerczewskiego 7, 18-400 Łomża. Telefony 42-43 (centrala), 40-22 (redaktor naczelny), 57-11 (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji). Telex 62-22-83. Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch" Białostockie Wydawnictwo Prasowe. 15-959 Białystok, ul. Wesołowskiego 1. Druk: Białostockie Zakłady Graficzne. Zam. 2260/85 r. Nakład 43 800 egz. PL ISSN 0208 6840. Nr indeksu 36 328. Ogłoszeń na terenie kraju. Biuro Reklam i Ogłoszeń Red. Tyg. „Kontakty", 18-400 Łomża, ul. Świerczewskiego 7, tel 42-43 oraz wszystkie biura ogłoszeń. Prenumerata kwartalnie — 195 zł, półrocznie — 390 zł, rocznie — 780 zł. Tekstów nie zamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów i zmiany tytułów. G-3.

KONTAKTY

Konszachty

WYTNIJ! ZACHOWAJ! SPRZEDASZ

MAŁA ENCYKLOPEDIA WIEDZY TAJEMNEJ

HARRY MEDOX (2)
(1909-1981)

W swoim sklepie zoologicznym Medox handlował najróżniejszymi zwierzętami, począwszy od drobnych płazów na wielkich drapieżnikach kończąc. Dziwny to był sklep i dziwaczny handel. Żaby przychodziły do Medoxa wzywane po imieniu, węże łasiły się do niego niczym zwykłe koty domowe, natomiast dzikie koty, rysie, żbiki, lamparty i tygrysy zachowywały się jak najłagodniejsze baranki. Medox miał liczną klientelę, jednak przychodziła ona do niego raczej nie po zakupy, ale po to, żeby obcować ze zwierzętami w towarzystwie przedziwnego kupca. Zwierzaki, jeśli ktoś przypadkiem je kupił, już za progiem sklepu zachowywały się zupełnie inaczej. Drapieżniki stawały się agresywne, płazy mało inteligentne itd. itp. Harry Medox zginął uduszony przez pytona, który mieszkał z nim w domu prawie dwadzieścia lat...

Z ZYSKIEM W ANTYKWARIACIE!

Uniwersalna wróżba na dwa tygodnie

Czekają Cię bardzo ciężkie dni, które mogą się zakończyć dolegliwościami typu gastrycznego. Składając świąteczne wizyty, pomyśl czasem o swojej wątrobie, a nie tylko o tym, że jak można za darmo, to już trzeba do końca.

KASSANDER

KRYZYSOWE JEDNO DANIE *świąteczne*

1. Kawior czarny á 24 000 zł/kg.
2. Homary á 15 500 zł/kg.

Produkty te podobno mają się znaleźć w sklepach przed świętami. Smacznego!

GOSPODYNI

FIGURANT

Sprawujący ten na poły świecki, na poły zaś duchowny, urząd, za swoje główne i jedyne zadanie miał dopilnowywanie, aby wszystkie cechy rzemieślnicze wywiązywały się właściwie z obowiązku corocznego fundowania figur do szopek (jasełek) kościelnych. Ponieważ jednak cechy zazwyczaj same dbały o to skrupulatnie, tedy urząd ten był fikcyjny i stąd, prawdopodobnie, nic nie robiącego dostojnika nazywamy do dzisiaj figurantem.

MAŁY SŁOWNICZEK BYDLĘCY

Najnowsze badania przeprowadzone przez grupę samodzielnych magistrów z Uniwersytetu Podlaskiego wykazały, że w wieczór wigilijny bydło rzeczywiście pragnie rozmawiać ze swoimi właścicielami, jednakże nie w języku polskim, z którego zna tylko kilka słów kończących się przeważnie na -wa i -ać. Niżej podajemy kilkanaście najważniejszych zwrotów bydlęcych, z jakimi każdy może się spotkać po wejściu do obory w dniu 24 XII, między godz. 18.30 a 23.45.

Muu-uu-u	— *Kiedy podrożeje wołowina?*
Mumumu-uuu	— *Nie syp ixi do mojego mleka!*
Mumumumuuuu	— *Zjeżdżaj, pachniesz bimbrem!*
Muuuuumu	— *Coś zrobił z cielakiem, bydlaku?*
Mmmmuumuuu	— *Posprzątaj oborę!*
Mmmmu-uuu-mmm	— *Kup mi telewizor!*
Muuuumummuuu	— *Jak tam kryzys, długo jeszcze?*
Muum	— *Działasz trochę?*
Uuuumuuuumuu	— *Podobno wraca nowe?*
Muuuuuuuuu	— *Śpij spokojnie, mleko w cenie.*
Mumumumumum	— *Pocałuj mnie w tatara!*
Mmmmm	— *Wpadnij na małe mleczko, to sobie znowu pogadamy.*

PODWÓJNY SLOGAN TYGODNIA

Wesołych Świąt

mimo wszystko!

Cytat z pracy magisterskiej absolwenta filii...

(uczelnia znana podredakcji)

„[...] Podnosząc konkluzję do rangi uogólnienia, należy przyjąć, iż przedstawiona wyżej metoda badawcza mimo negatywnych wyników w zakresie końcowym, pozwala na stwierdzenie, że pewne wynikające z niej prawidłowości dające się ująć w określone ramy, można nazwać prawidłowościami zbadanymi, a co za tym idzie, nie zachodzi potrzeba dalszego ich badania stosowaną metodą bądź jej modyfikacjami, gdyż tylko zastosowanie zupełnie innych metod może doprowadzić do uzyskania wyniku pozytywnego w zakresie postawionych pytań i odpowiedzi na nie, na które praca niniejsza z przyczyn przedstawionych wyżej odpowiedzi pozytywnych dać nie mogła i nie dała. Reasumując powyższe, w tym świetle dochodzimy do wniosku, że mimo ogromu przeprowadzonych zgodnie z planowanym założeniem badań wnioski są negatywne, bo inne być nie mogły przy takiej obranej metodzie [...]"

A oto fragment recenzji tej pracy, wydanej przez doc dr. hab (nazwisko znane podredakcji).

„[...] Praca ta zasługuje na szczególne wyróżnienie z racji na oryginalne potraktowanie tematu i bardzo szczegółowe jego zbadanie. Wynik negatywny nie pomniejsza jej wartości, a nawet przeciwnie, pozwala na wniknięcie w osobowość magistranta, który nie zrażony brakiem powodzenia wytrwale kontynuował bezcelowe badania [...]".

od podredakcji

Parę dni temu stanęliśmy przed zadaniem nadzwyczaj trudnym do wykonania. Oto nasze bezpośrednie zwierzchnictwo zażądało od nas, abyśmy do podwójnego, świątecznego numeru „Kontaktów" przygotowali naszą konszachtową kolumnę — jak zwykle — pojedynczą, ale za to o podwójnej zawartości. Czas jakiś biliśmy się zatem z myślami, co czynić wypada, czy zastrajkować nielegalnie, czy może odwrotnie, aż nareszcie myśl zbawienna i ulgę niosąca przyszła nam do głowy. Przecie w tym kraju nie takie cuda się zdarzają. Czym jest podwójna kolumna na pojedynczym papierze w porównaniu choćby z blisko dziesięcioma dniami wolnymi od pracy w miesiącu grudniu, jakie sporo różnych instytucji funduje swoim pracownikom (inni mają dni siedem — pięć niedziel i dwa świąteczne), w dobie walki z ciężkim kryzysem gospodarczym, który u swego podłoża między innymi ma powszechną niechęć do wszelkiej pracy? Niczym, oczywiście! Tąk tedy pełni wiary oraz optymizmu, równie głębokiego jak ten cechujący wszystkich walczących z naszym kryzysem, oddajemy do rąk Czytelników pojedynczy numer podwójnie świątecznych „Konszachtów", życząc zdrowej i przyjemnej lektury!

PODREDAKCJA

Rys. Henryka Cebuli

DUBELTOWA FUTRYNA Z WIERSZYKIEM

Już dosyć miłości mamy na ekranie
Ciągle golą pupcią świecą same panie
Nagości się wstydzić co prawda nie trzeba
Trudno przecież cnotę zabrać do nieba

Ale kobietki, panienki — ceńcie swoje ciała
W tej materii podwyżka też by się przydała
Tak „miłością" szastacie na prawo i lewo
I w młodym jeszcze wieku
Wyglądacie jak suche drzewo

Nie ma to jak męski ród
On się nie rozbierze
No bo co za cud byśmy ujrzały
Gdyby im spodenki nagle pospadały?

Owłosione i zwiotczałe ciało
niejednej panience apetyt by odebrało!

Nota biograficzna: imię i nazwisko znane podredakcji, w każdym razie jest to kobieta i mieszkanka Łomży.

z pamiętnika seksualisty (76-77)

Tymczasem supermarszałek westchnął głęboko, splunął szeroko i w te słowa do mnie powiada: — Kim jesteś, zafajdańcze? Jak śmiałeś zbliżyć się do baby, widząc, iż stoję u bram obozu twego i niechybnie zaraz go zajmę? Czyżby ci rozum na młodość odebrało? Nie wiedziałeś, że każdego seksualca od lat piętnastu z wielkim ukontentowaniem zgładzam? Mów, albowiem nie mam czasu z tobą gadać, tak mi się śpieszy, aby oczy swoje napaść lubym widokiem, jaki dostarczy mi twoje ciało poddane straszliwym męczarniom!

— Panie! — rzekłem odważnie. — Racz uprzejmie zapytać ową babę, która tu siedzi golutka cała i ze strachu mowę jej odebrało. Niech powie, czylim winny, czyli też zmuszonym został do cielesnego z nią obcowania, do czego zresztą nie doszło, gdyż niewinny jestem młodzian niczym niedołężny baranek i sam jeszcze w życiu moim wstrętnych owych słodkości nie zaznałem!

— Prawda to jest? — supermarszałek zwrócił się do wylęknionej niewiasty, ta zaś głową tylko pokiwała, dając w ten sposób znak, iżem w tym, co najważniejsze, nic nie skłamał.

Dowódca zamyślił się na chwilę, marszcząc czoło z wysiłku intensywnego rozumowania, a potem powiada: — Tedy, mój chłopcze, mianuję cię moim ordynansem. Wiedz bowiem, iż ze wszystkich straszliwych purystów jam jest najstraszliwszy i czystość swoją posunąłem do tego stopnia, że butów nie dam czyścić temu, kto choć raz w przeszłości z babą się zadawał! I nie może być inaczej! Muszę ja świecić szczególnym przykładem, jestem bowiem przywódcą w stopniu supermarszałka, przywódcą tych tutaj zawszonych oberwańców, muszę więc im świecić wszystkim, w tym nawet i gołym zadkiem!

— Tak jest, supermarszałku! — zameldowałem się służbiście, choć ma się rozumieć fałszywie. — Od dzisiaj buty twoje, mój panie, będą błyszczeć jak za przeproszeniem psu... — tu głos mi uwiązł w krtani, spostrzegłem bowiem, iżem się trochę zagalopował jakby. (Cdn.)

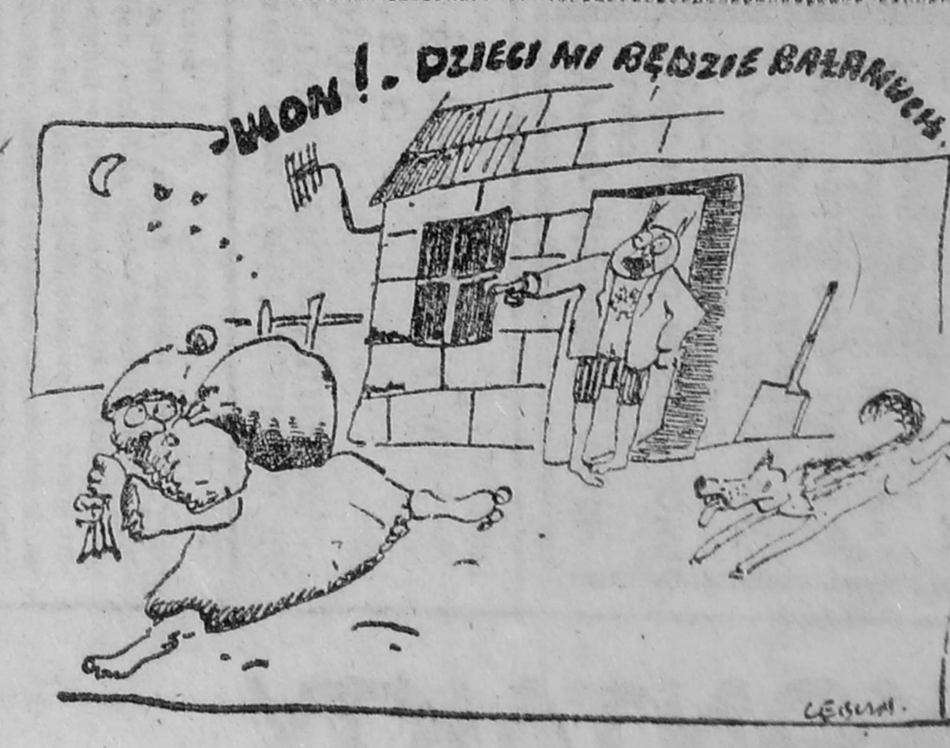

Rys. Henryka Cebuli